M.B. dla L.W. w Łodzi

- Ciekawa inicjatywa na osiedlu Radogoszcz — str. 3
- Śmiały plan kolonizacji Księżyca — str. 5
- Artystyczny skandal w Grand Hotelu — str. 10
- Borys Pasternak „Doktor Żywago" — str. 14
- Co nowego dzieje się w Sodomie? — str. 16

Nr Indeksu 36762
PL ISSN 0472-5042

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 13 (1513) ROK XXX 28 MARCA 1987 ROKU CENA 25 ZŁ

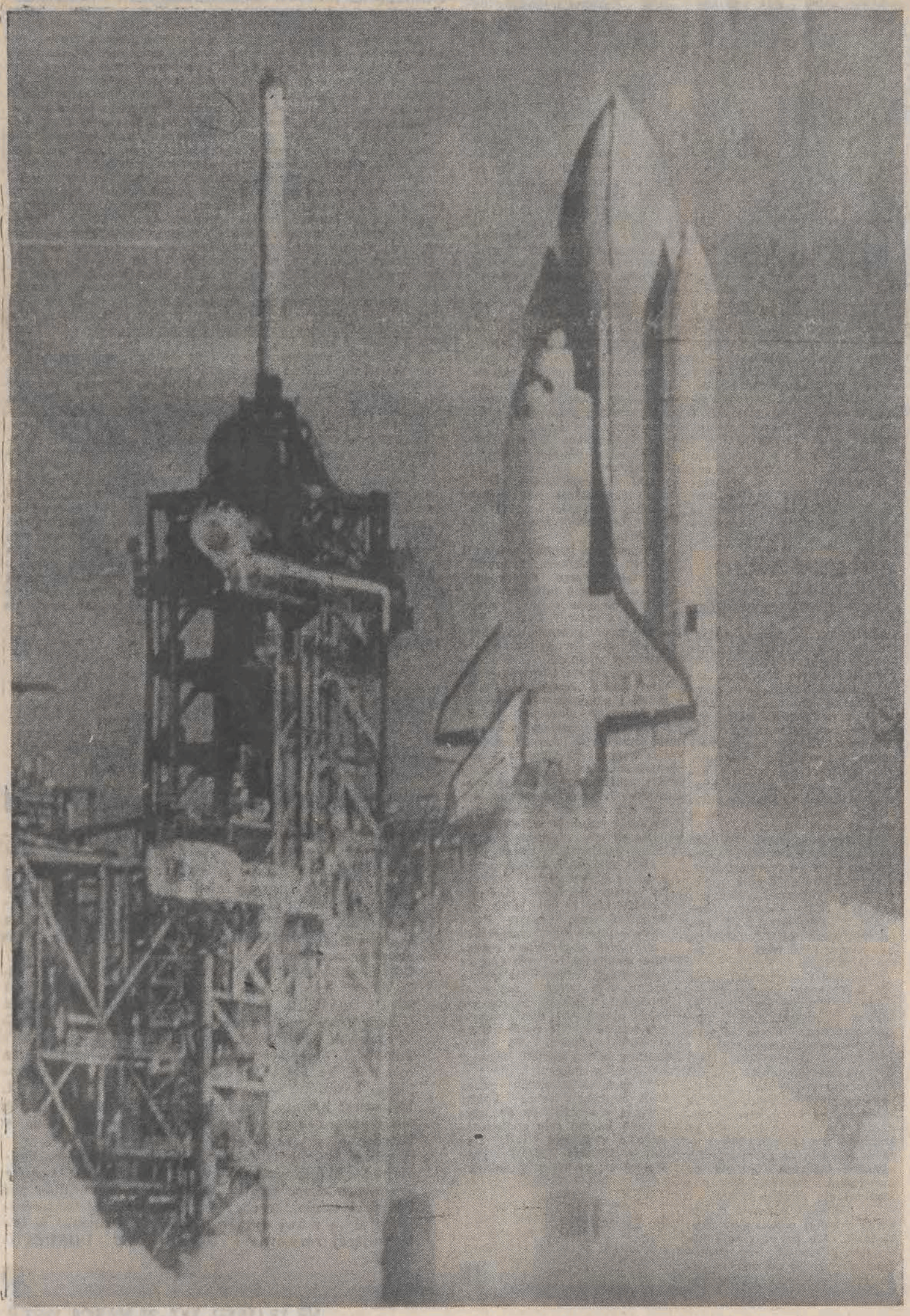

Od 1935 roku w Moskwie. Nie uniknął prześladowań. Był skromnym i pracowitym człowiekiem. Umiał przewidzieć zachowanie się człowieka w kosmosie.

Więcej cierni

ROZMOWA Z ILZĄ SZTERNFELD

— Zanim przedstawi mi pan swoje pytania, chciałabym podzielić się z panem przyjemną wiadomością. Otóż niedawno zatelefonowano do mnie, aby mi powiedzieć, że jeden z kraterów na Księżycu nazwano imieniem mojego męża, Arego Szternfelda, co później zostanie ogłoszone. Ucieszyłam się z tej wiadomości tym bardziej, że Ary wiele swoich prac poświęcił właśnie Księżycowi.

— To rzeczywiście wspaniała wiadomość.

— Tak. Ostatnio w ogóle zmienia się stosunek do Szternfelda — przede wszystkim w tym, co się o nim mówi i pisze, jest coraz więcej prawdy. Pan rozumie?...

— Rozumiem. Ale chciałbym ten wywiad zacząć od pytania: w jaki sposób Ary Szternfeld znalazł się w Moskwie w 1935 roku?

— Ary już jako młody człowiek był gorącym sympatykiem Związku Radzieckiego, a pierwszy raz przyjechał do Moskwy już w 1932 roku. Celem jego wizyty było wtedy podarowanie państwu radzieckiemu jednego z wynalazków, jakich dokonał. To był robot — android, rodzaj sztucznego ramienia mogący mieć zastosowanie zarówno na Ziemi, jak i w kosmosie. Wtedy też podczas miesięcznego pobytu Ary zobaczył, jakie warunki panują w Związku Radzieckim, jak trudno się tam żyje. Ale jednocześnie był zafascynowany budową nowego społeczeństwa, rozmachem upowszechniania kultury i oświaty, perspektywami rozwoju badań naukowych. Był przekonany, jak dwa lata wcześniej napisał w „L' Humanite", że drogę w kosmos pierwsze otworzy państwo socjalistyczne. Przyszłość pokazała, iż były to prorocze słowa, choć wówczas, w 1930 roku mogły się wydawać mrzonką. Kontrast między stanem techniki, poziomem przemysłu radzieckiego a zachodniego był przecież ogromny. Poza tym proszę pamiętać, że było to zaledwie w trzy lata po pamiętnym przelocie Lindbergha przez Atlantyk, uważanym za sensacyjne wprost osiągnięcie techniki. A tu jakiś młody Polak twierdzi z całą powagą, że już niedługo człowiek poleci w kosmos. Przyjmowano to jako wybryk fantazji.

W połowie lat trzydziestych Szternfeld był już znany i to nie tylko ze względu na nagrodzenie we Francji rękopisu jego „Wstępu do kosmonautyki". Był przecież także wynalazcą—konstruktorem i dzięki temu mógł w Paryżu dwa—trzy dni w tygodniu pracować zarobkowo, by utrzymać siebie, a nawet pomagać finansowo rodzicom mieszkającym w Łodzi, resztę zaś czasu zajmować się tym, co go naprawdę pasjonowało, czyli kosmonautyką. To rokowało mu dobrą przyszłość we Francji. Ale on wybrał inną drogę — na pewno trudniejszą, lecz — jak uważał — przybliżającą go do osiągnięcia zamierzonego celu. Droga ta wiodła przez Moskwę i dlatego wraz z pierwszą żoną Gustawą Erlich, która była działaczką KPP i Francuskiej Partii Komunistycznej, postanowił przenieść się na stałe do Związku Radzieckiego. Zaraz po przybyciu Ary dostał pracę w Instytucie Naukowo-Badawczym Napędów Odrzutowych, co wcześniej już zresztą było uzgodnione.

— Czy ten właśnie fakt miał decydujące znaczenie?

— Myślę, że tak, gdyż Ary chciał się wyłącznie poświęcić kosmonautyce, a praca w moskiewskim instytucie dawała mu taką szansę. Nawiasem, był to pierwszy tego rodzaju państwowy instytut w świecie.

Poza tym jeszcze w Paryżu Ary doskonale zdawał sobie sprawę, że tylko trzy kraje rywalizować mogą o pierwszeństwo w kosmonautyce: Stany Zjednoczone, Niemcy i Związek Radziecki. Ameryki nie lubił i nigdy nie chciałby się tam przenieść. W Niemczech u władzy był Hitler. Pozostawał więc Związek Radziecki. Zresztą jak już mówiłam, był przekonany, że to właśnie w ZSRR urzeczywistnią się jego idee.

Być może jakieś znaczenie miał również fakt, że Ary korespondował od jakiegoś czasu z Konstantym Ciołkowskim i bardzo chciał go poznać osobiście, przedyskutować z nim pewne problemy. Niestety, do Moskwy przybył w czerwcu 1935 r., a we wrześniu Ciołkowski zmarł. Nie zdążyli się więc nawet zobaczyć, gdyż Ciołkowski mieszkał w Kałudze i Szternfeld nie miał możliwości od razu go odwiedzić. Był też w tym pierwszym okresie bardzo zajęty, urządzał się...

— Jak został przyjęty?

— Bardzo dobrze, z ogromnym uznaniem dla jego dorobku naukowego... Ale wiem to tylko z opowiadań, gdyż myśmy się wtedy jeszcze nie znali. Dostał — jak już wspomniałam — pracę w Instytucie Naukowo-Badawczym Napędów Odrzutowych. Znalazł tam doskonałe warunki pracy i zetknął się z młodymi, wybitnymi naukowcami radzieckimi, między innymi z Siergiejem Korolowem. Chyba jako jedyny zajmował się czystą kosmonautyką. Pozwoliło mu to uzupełnić napisany w Łodzi „Wstęp do kosmonautyki" nowymi danymi i obliczeniami.

Ale szczęście nie trwało długo, bo zaledwie dwa lata. W 1937 roku w Związku Radzieckim nastąpiło nasilenie się kultu jednostki, któremu towarzyszyły masowe represje. Pan wie o tym? Dotknęły one miliony niewinnych ludzi. Dziś można już na ten temat mówić otwarcie.

Ary Szternfeld usunięty został z instytutu, rzekomo oczywiście „na własne żądanie". W ówczesnej atmosferze

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Bohdan Gadomski, Jacek Głębski, Witold Kasperkiewicz, Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemiński, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakoniecznv, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski, Maciej Świerkocki, Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli, osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 813. H-2.

Przegląd prasy

Wydarzeniem ubiegłego tygodnia stało się opublikowanie we wszystkich bodaj dziennikach oświadczeń związków zawodowych i rządu w sprawie polityki cenowo-dochodowej w 1987 roku. Członkowie Komitetu Wykonawczego OPZZ oraz przewodniczący krajowych i wojewódzkich porozumień uchwalili

BARDZO KRYTYCZNY DOKUMENT

pod adresem rządu. Czytamy w nim między innymi: *„Prowadzona obecnie polityka gospodarcza nie wyzwala pełnych możliwości tkwiących w naszej gospodarce, osłabia poczucie bezpieczeństwa ekonomicznego społeczeństwa oraz godzi w morale i wartość pracy. (...) Polityka taka faktycznie utrwala inflację i nierównowagę gospodarczą, przerzuca na ludzi pracy koszty marnotrawstwa, złej organizacji pracy, ochrony zacofanych struktur wytwórczych, powoduje spadek stopy życiowej coraz liczniejszych grup pracowniczych rzetelnie zwiększających wysiłek produkcyjny, prowadzi do ubożenia grup społecznych ekonomicznie najsłabszych, a sprzyja nieuzasadnionemu bogaceniu się grup społecznych pasożytujących na nierównowadze i inflacji".*

Związkowcy nie wyrażają zgody na proponowany przez rząd kolejny drastyczny wzrost cen. Uważają, że zakres i skala zamierzonych podwyżek są nie do przyjęcia. Domagają się przerwania gonitwy cenowo-płacowej, utrzymania dotacji do podstawowych artykułów żywnościowych, przedstawiania co kwartał informacji na temat kształtowania się płac i cen, utrzymania poziomu życia ludzi pracy.

Pod koniec oświadczenia kierowniczy działacze związków zawodowych kategorycznie stwierdzają: *„Żądamy: aby uchwały i stanowiska przedstawione przez OPZZ, a wyrażające opinie wszystkich ludzi pracy były z całą powagą rozpatrywane, uwzględniane i respektowane przy podejmowaniu decyzji przez centralne organa władzy. W przypadku braku realizacji postulatów zawartych w niniejszym oświadczeniu OPZZ udzieli poparcia wszystkim działaniom zgodnym z ustawą o związkach zawodowych podjętym przez zakładowe i ogólnokrajowe organizacje związkowe".*

W odpowiedzi rząd podkreśla, że od trzech lat podwyżki płac i świadczeń socjalnych przewyższają wzrost cen, że dotychczasowe podwyżki cen pod wpływem konsultacji ograniczano wbrew racjom ekonomicznym, że poziom życia społeczeństwa nie obniża się, że inflacja zmniejsza się i postępuje racjonalizacja gospodarki. W oświadczeniu OPZZ rząd dostrzega niekonsekwencje i sprzeczności. *„Dotychczas kierownictwo ruchu związkowego żądało wzrostu efektywności gospodarczej, m.in. w drodze zmniejszania dotacji, obecnie zaś sprzeciwia się nieodzownym skutkom takich posunięć, które przecież mają głównie na celu poprawę równowagi pieniężno-rynkowej. Związki zawodowe słusznie opowiadają się w swych dokumentach programowych przeciw cenom opartym o koszty produkcji, a za cenami równowagi. Natomiast w oświadczeniu krytykują wzrost cen, bez którego taki postulat jest nierealny".*

Według rządu ceny żywności nie rosną szybciej niż płace oraz ceny innych towarów i usług. Po 1982 r. ceny żywności wzrosły o 23 proc. mniej niż ceny towarów przemysłowych. Obecnie koszt wydobycia tony węgla jest dwa razy większy od ceny detalicznej. Aż 320 mld złotych dopłaca państwo do cen węgla. Poniżej kosztów wytwarzania sprzedawane są też energia elektryczna i cieplna, co nie sprzyja oszczędzaniu.

Nie wiadomo, jak skończy się ta konfrontacja. Pokazuje ona dodatkowo, że znajdujemy się w niezwykle złożonej sytuacji. Najgorsze jest to, że inne kraje

ZNACZNIE NAS WYPRZEDZAJĄ.

W latach 1980—1986 dochód narodowy Polski wzrósł o 1 proc. (słownie: jeden procent). A tymczasem NRD zwiększyła swój dochód o 29 proc., Bułgaria o 27 proc., ZSRR o 24 proc. Obecnie dotrzymujemy kroku państwom europejskim, ale podobnie jak to czynią na bieżni zdublowani zawodnicy. Pisze na ten temat w „TRYBUNIE LUDU" (nr 64) Andrzej Leszczyński.

Zdublowany zawodnik, aby mógł odrobić dystans, musiałby biec na skróty. W sporcie jest to niemożliwe, lecz w gospodarce wręcz zalecane. *„Jest nawet taki termin ekonomiczny — krzywa goniąca. Myśliwy, aby szybciej dojść zwierzynę, nie powinien kroczyć dokładnie jej tropem, ale iść po przekątnej — po krzywej goniącej. W gospodarce krzywą tę wyznacza postęp techniczny i technologiczny oraz wzrost efektywności gospodarowania".*

Zdaniem autora musimy najpierw załatwić pewne sprawy elementarne. Podaje on, że nominalny czas pracy jednego robotnika wynosił w 1970 roku 2234 godziny, a piętnaście lat później 2100 godzin. W tym samym okresie współczynnik zmianowości obniżył się z 1,57 do 1,29.

W ostatnim 6-leciu płace w Polsce wzrosły o 300 proc. (słownie: trzysta), a w Bułgarii o 24 proc., w NRD i ZSRR o 16 proc., w Czechosłowacji o 11 proc., *„Wiadomość niejako z ostatniej chwili: stan zapasów towarów w handlu rynkowym w stosunku do zasobów pieniężnych ludności wynosił w końcu grudnia ub. r. 32 proc. W styczniu br. udział zapasów był mniejszy i wynosił 30,6 proc. Ta nierównowaga rynkowa jest jednym z czynników napędzających inflację. Mamy w Polsce nie tylko wysoki pułap płac, ale też wysoki przyrost cen (wyprzedza nas niewiele krajów Europy, np. Portugalia, Jugosławia). W Polsce ub. r. ceny detaliczne wzrosły o 18 proc., w Bułgarii o 3,6, w ZSRR 1,9 proc. i w Czechosłowacji 0,6 proc. Wskaźniki te, notabene niższe niż wskaźniki wzrostu płac, wyznaczały w przybliżeniu stopę inflacji. (...) Jak wynika z opracowania GUS, inflacja w Belgii nie przekroczyła 1 proc., we Francji 3 proc. Najwyższa była w Hiszpanii — 8 proc., a potem we Włoszech 5 proc., i w W. Brytanii 4 proc. Na niezmienionym poziomie ukształtowała się w Holandii i Japonii, a w RFN koszty utrzymania spadły 1 proc."*

Przedłużające się perturbacje gospodarcze wpływają na samopoczucie ludności. W ostatniej „POLITYCE" (nr 12) Stanisław Kwiatkowski przytacza i komentuje dane obrazujące aktualny

STAN ŚWIADOMOŚCI SPOŁECZNEJ.

Okazuje się, że coraz więcej ankietowanych Polaków ocenia gospodarkę kraju jako złą. W roku 1984 było 33,2 proc. takich respondentów, a w ubiegłym roku aż 51,2 proc. Przy czym wyraźne pogorszenie nastrojów nastąpiło właśnie w 1986 roku. Niepokojąco narasta poczucie zagrożenia i pesymizmu. Ludzie tracą wiarę i nadzieję, że będzie lepiej, i obawiają się konsekwencji politycznych ewentualnych niepowodzeń ekonomicznych.

Badania sondażowe z lipca 1986 roku wykazały, że w powodzenie reformy gospodarczej wierzy zaledwie 10 proc. społeczeństwa. Większość stanowią wątpiący i nie wierzący. Niewiara w lepszą przyszłość jest tak powszechna, że obejmuje nawet zatrudnionych w sektorze prywatnym.

Stanisław Kwiatkowski pisze: *„W lapidarnym ujęciu moja diagnoza sytuacji jest taka: aktywnie produkcyjna część społeczeństwa ocenia obecny stan gospodarki coraz gorzej i z obawami, sceptycznie patrzy w najbliższą przyszłość. (...) Z samooceny położenia materialnego respondentów wynika, że biednie żyje kilka procent ludności. Co prawda aspiracje są skromne, ale w sumie lepiej ocenia się własne gospodarstwa domowe niż stan gospodarki narodowej. Państwo biednieje szybciej niż społeczeństwo".*

Od biednego państwa ludzie coraz częściej uciekają w prywatność. Ale prywatyzacja nie oznacza bierności, lecz wzmożoną aktywność na własny rachunek. Do sektora prywatnego przechodzą osoby najbardziej przedsiębiorcze, innowacyjne i twórcze. A w zakładach państwowych utrzymuje się obojętność i bierność.

W celu pobudzenia rozwoju naszej gospodarki Stanisław Kwiatkowski proponuje zmianę organizacji własności. *„Obok własności państwowej i spółdzielczej* — czytamy — *jest miejsce na własność grupową (też wspólną) i własność mieszaną — prywatno-państwową. Dlaczego nowe przedsiębiorstwa nie mogą powstać w formie socjalistycznej własności grupowej na finansowej bazie kapitału, którym dysponują ludzie pracy i socjalistyczne instytucje? A zakup akcji i obligacji, stosowany już na Węgrzech? System akcyjnej, uspołecznionej własności mógłby stać się uzupełniającym elementem w gospodarce, sposobem zdemokratyzowania zarówno alokacji środków inwestycyjnych, jak i odpowiedzialnego zarządzania przedsiębiorstwami socjalistycznymi przez ludzi pracy".*

W tych trudnych czasach zadziwiająco aktywną mamy politykę zagraniczną. Wyjeżdżają zarówno dostojnicy państwowi jak i kościelni. Prymas Polski kardynał Józef Glemp złożył niedawno tygodniową wizytę duszpasterską w Belgii. Na konferencji prasowej dość

OSTRO GO ATAKOWALI

licznie zgromadzeni dziennikarze. Obszerne fragmenty odpowiedzi prymasa według zapisu na taśmie magnetofonowej publikuje tygodnik „KIERUNKI" (nr 12).

Zapytany o reformy przeprowadzone przez Michaiła Gorbaczowa — w związku z wywiadem udzielonym wysłannikowi „Litieraturnoj Gaziety" — kardynał Józef Glemp powiedział: *„Mój wywiad dla «Litieraturnoj Gaziety» tym się różnił od pytań zadawanych mi przez przedstawicieli prasy belgijskiej, że w pytaniach pana Pocziwałowa znajdowałem elementy religijne, podczas gdy w pytaniach, jakie mi przedstawiali przedstawiciele prasy belgijskiej, tych kwestii nie było, a wyłącznie polityczne. Pan pyta, czy to ma w perspektywie wpływ na postawę Kościoła w Polsce? Oczywiście, dzisiaj nam trudno cokolwiek powiedzieć o tym, jakie reformy przebiegają w Związku Radzieckim, ale nie wykluczam, że jest to także reforma, która będzie prowadziła do większej demokratyzacji życia w Związku Radzieckim. Rzeczywiście, byłem zaproszony do Związku Radzieckiego, jednakże tym razem nie pojechałem, ale i samo zaproszenie jest znakiem pewnej otwartości także i Kościoła ortodoksyjnego na sprawy świata".*

Napastliwe pytanie postawił pewien dziennikarz żydowski. Zapytał, dlaczego Polacy mówią o stracie 6 milionów obywateli podczas wojny, skoro połowę stanowili Żydzi. Ponadto miał pretensję, że prymas Polski odwiedził cmentarz żołnierzy niemieckich. Oto odpowiedź Józefa Glempa: *„Ze względu na agresywność tych pytań i niegrzeczność nie powinienem odpowiadać, bo odbiegają od atmosfery, jaka się tu wytworzyła. Ale odpowiem. Nie znam tych cytatów z pamiętnika Hansa Franka. Były one osobistymi jego wypowiedziami. Dlatego dyskutować z tym nie można. Twierdzenie, że sześć milionów Polaków, obywateli polskich zginęło, wcale nie wyklucza, że wśród obywateli polskich byli ludzie narodowości żydowskiej. (...) Jeśli jestem biskupem Kościoła katolickiego, to nie tylko dla Polaków, bo ja muszę mieć serce otwarte dla wszystkich ludzi. Jeśli odwiedziłem cmentarz niemiecki, to dlatego, że tam zginęli ludzie, po prostu ludzie, i ja jestem też człowiekiem. Każdemu należy się jakaś pamięć. Na tym cmentarzu znajduje się bardzo dużo nazwisk polskich. To byli katolicy, którzy musieli walczyć w armii niemieckiej".*

W sprawie zniesienia przez USA restrykcji wobec Polski prymas stwierdził, że obciążyły one bardzo całe społeczeństwo, a zwłaszcza ludzi biednych. Dlatego Kościół wypowiadał się za ich zniesieniem.

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Pokojowe podchody

Podobno kiedy dwoch mówi to samo, nie oznacza to wcale tego samego. Z pewnością jest w tym dużo prawdy i chyba więcej niż się ludziom na ogół wydaje.

Przed kilkoma laty przeżywaliśmy w Polsce niezwykle ostry i skomplikowany konflikt społeczno-polityczny, w którym ani jedna, ani druga strona nie tylko nie odżegnywały się od patriotyzmu, ale przeciwnie — obie mocno go akcentowały, choć nie ulega wątpliwości, że pod zbliżonymi nierzadko hasłami kryły się zdecydowanie przeciwstawne dążenia, jedni i drudzy bowiem uważali zupełnie co innego za korzystne dla kraju.

Do takich pojęć, które bywają nie od dziś rozumiane rozmaicie należy też pacyfizm, pojmowany jako dążenie do pokoju między narodami i państwami. W latach poprzedzających pierwszą wojnę światową (nazywaną potem przez długi czas „wojną europejską") zaczął rozwiać się na zachodzie Europy, bodaj najsilniej we Francji i Niemczech, ruch pacyfistyczny, popierany przez partie lewicy i klasowe związki zawodowe, mający też swoich rzeczników wśród wybitnych, światowej sławy liberalnych intelektualistów, zwłaszcza ludzi pióra.

Pacyfiści zaczęli zdecydowanie przeciwstawiać się szowinistycznym hasłom, rozbrzmiewającym po obu stronach Renu i propagować uchylanie się od służby wojskowej, rozumując na pozór logicznie (ale w całkowitym oderwaniu od realiów życia), że jeśli nikt nie zechce wziąć karabinu do garści, to nie będzie miał kto strzelać, a wtedy tylko politycy i wojskowi, błogosławieni w imię tego samego Boga przez swoich czy to francuskich, czy niemieckich duchownych odbędą między sobą efektowną strzelaninę na oczach szyderczych tłumów.

Ruch ten rozwijał się początkowo dość bujnie, zdawałoby się, że już mało komu zechce się umierać czy to w obronie czci znieważonych monarchów, czy w zamiarach przesunięcia lub zapobieżenia przesunięciu granicy państwowej o ileś kilometrów, czy też dla pomnażania zysków fabrykantów broni i innych „handlarzy śmiercią". A jednak...

Tuż przed wybuchem pierwszej wojny, szowinizm, zwłaszcza w Niemczech, zaczął brać górę nad pacyfizmem, szkalowanym jako zdrada narodu, a kiedy Niemcy, depcząc neutralność Belgii, ruszyły na Francję idee pacyfistyczne w obliczu takiego zagrożenia przygasły i we Francji. Przypomnijmy zresztą, że na ziemiach polskich, podzielonych między trzech zaborców, ruch pacyfistyczny nie znajdował silniejszego oddźwięku, a nawet modlono się powszechnie słowami poety o „wojnę narodów", która mogła przywrócić nam niepodległość.

Szlachetną i zarazem utopijną wiarę wielu społeczeństw, że masowy opór jednostek w całym świecie przeciwko wojnie i nawet już przeciwko samej służbie wojskowej, może położyć kres wojnom podkopała druga wojna. Czy bowiem wobec agresji hitlerowskich Niemiec przeciwko Polsce we wrześniu 1939 można było nie chwycić za broń i czy następne miesiące i lata nie uświadomiły pokojowej części ludzkości, że nie wolno skapitulować bez zbrojnej walki przed międzynarodowym faszyzmem?

Zdajmy więc sobie sprawę, że na tle tak smutnych rozczarowań co do odporności narodów na szowinistyczne hasła dotychczasowy utopijny pacyfizm, oznaczający w praktyce bezbronność pokojowych społeczeństw i państw wobec agresji militarnych potęg, a więc z góry jakby premiujący agresora, ten pacyfizm musiał ustąpić miejsca bardziej realistycznym dążeniom pokojowym, występującym pod rasłem „wojna wojnie", ze słynnym gołąbkiem Picassa na niebieskim sztandarze.

Co bardzo znamienne, ruch pokojowy był po ostatniej wojnie zdecydowanie represjonowany w wielu krajach kapitalistycznych, zwłaszcza Stanach Zjednoczonych i Niemczech Zachodnich i dopiero od niedawna wszyscy politycy i przywódcy państwowi sami głoszą hasła pokojowe i zapewniają swoich obywateli i całą ludzkość o swoich pokojowych intencjach. Ale kiedy dwóch mówi to samo...

W większości państw należących do Paktu Atlantyckiego, którego powstaniu towarzyszyło nasilenie antykomunistycznej krucjaty zimnowojennej, zaczyna się od pewnego czasu lansować dość osobliwą propagandę pokojową, polegającą na zachęcaniu obywateli państw socjalistycznych do odmowy pełnienia służby wojskowej w imię deklarowanych pokojowych poglądów. Oczywiście nierespektowanie takiej argumentacji przez władze krajów socjalistycznych miałoby być „najlepszym dowodem" kłamliwości pokojowej polityki państw socjalistycznych.

Według mnie sprawa jest szyta zbyt grubymi nićmi, gdyż w obliczu istnienia tendencji rewizjonistycznych w Republice Federalnej Niemiec ogół Polaków zdaje sobie sprawę — czym by nam groziła nasza wojskowa bezbronność. Nie ulega przecież wątpliwości, że państwa Paktu Atlantyckiego mają znacznie skuteczniejszy sposób zapobieżenia wojnie, przez rezygnację z programu wojen gwiezdnych i w ogóle przyjęcie jak najszerszych propozycji rozbrojeniowych, niż nawoływania obywateli polskich do łamania prawa. Powoływanie się w tym kontekście na „prawa człowieka" nie pachnie zbyt ładnie pod względem moralnym.

JERZY KWIECIŃSKI ■

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— **Tajemnicza zbrodnia w Ozorkowie! Wieczorem 19 lutego 1987 roku na łące przy ulicy Łęczyckiej nieznany osobnik morduje i gwałci szesnastoletnią dziewczynę. Trwa intensywne poszukiwanie sprawcy, który na miejscu zbrodni zostawił ślady. Od ponad miesiąca życiem ozorkowian rządzi strach. Szczegóły już za tydzień w reportażu ROMANA KUBIAKA pt. „Miasto pod strachem".**

— **Co robią młodzi Polacy na emigracji? Wszyscy myślą, że dolary leżą tam na ulicy. Wystarczy podnieść i wrócić do kraju. Relacja JACKA MACIASZKA z Grecji, gdzie nasi rodacy cierpliwie czekają na pracę i wizę do „raju".**

— **Ten dzień nie jest wyjątkiem. Nabierają mnie przez cały rok. To może 1 kwietnia ogłosić dniem bez robienia kawałów? — zastanawia się ADAM OCHOCKI. Natomiast kawały, którymi nas raczą mass media, są tak toporne, że tylko przedszkolaki dają się nabić w butelkę.**

— **Handlowców mamy bardzo zdolnych i umiemy handlować. „Skórimpex" jest w Australii największym z krajowych eksporterów. Dostarczamy tam milion par butów. I w niektórych rodzajach jesteśmy bezkonkurencyjni — mówi dyrektor Ryszard Winiarski w interesującej rozmowie z DARIUSZEM DOROŻYŃSKIM.**

■

Co jest istotą pluralizmu? Czy pluralizm utrudnia czy ułatwia ujawnianie się konfliktów społecznych? Czy pluralizm przeszkadza realizacji przewodniej roli partii?

Pluralizm w socjalizmie

WOJCIECH GRABIŃSKI

W toczących się obecnie w Polsce dyskusjach na temat pluralizmu daje się wyróżnić kilka stanowisk.

Pierwsze — tożsame z potocznym rozumieniem pluralizmu, traktuje go jako nieodłączną cechę demokracji burżuazyjnej, utożsamia z systemem wielopartyjnym, z możliwością działania partii opozycyjnej.

Drugie — traktuje pluralizm jako maskę, jako zawołanie kamuflujące rzeczywiste zamiary polityczne, tj. jako instrument służący do demontażu socjalizmu. Niewątpliwie w takim rozumieniu pluralizm funkcjonował w propagandzie „Solidarności", która chciała zastąpić uniformizm i centralizm dawnego typu nowym uniformizmem organizacji przez siebie kontrolowanych. Tak też używany jest pluralizm obecnie przez niektóre kręgi opozycyjne.

Kolejne stanowisko traktuje pluralizm jako ersatz: w przypadku braku innych koncepcji politycznych, jeśli ktoś chce koniecznie pozyskać poparcie społeczne to sięga właśnie do pojęcia pluralizmu. Inne wreszcie uważa dyskusję o pluralizmie wręcz za dyskusję zastępczą, np. o reformie naszego systemu społecznego.

Myślę, iż pluralizm wart jest dyskusji, ale nie jako surogat, ale jako element dalszej demokratyzacji naszego systemu społeczno-politycznego. Aby tak było, trzeba odstąpić od uproszczonej interpretacji pluralizmu wiążącej go z jednym ustrojem i z jednym kierunkiem ideologicznym.

Nie ma jednego pluralizmu. Jest ich tyle, ile ustrojów społecznych i sfer życia społecznego. Pluralizm ma długą, wielonurtową historię w myśli burżuazyjnej. Jest także obecny w myśli politycznej ruchu robotniczego, w tym także jego marksistowskiego nurtu. St. Ehrlich w pracy pt. „Oblicza pluralizmu" analizując prace Karola Marksa i Fryderyka Engelsa, wskazuje na obecność w ich dorobku wątków pluralistycznych. Twierdzi, iż brak jest podstaw do odczytywania krytyki anarchistów Proudhona i Bakunina jako opowiedzenia się Marksa i Engelsa za centralizmem w ogóle i traktowaniem go za zasadę przyszłych rządów ludowych. Także dyskusje toczące się w ruchu robotniczym tuż przed, jak i tuż po Rewolucji Październikowej wskazują na obecność pluralizmu w myśli marksistowskiej oraz niedopuszczalność przeciwstawień pomiędzy pluralizmem a marksizmem.

Elementy pluralizmu pojmowanego jako wielość i zróżnicowanie są obecne także w praktyce społecznej socjalizmu. Zwłaszcza w Polsce mamy elementy pluralizmu ekonomicznego (w postaci np. zróżnicowania form własności), światopoglądowego, ideologicznego.

Najwięcej kontrowersji wywołuje kwestia pluralizmu politycznego w socjalizmie. Zwłaszcza zagadnienie racjonalności (efektywności) pluralizmu w tej sferze życia społecznego. Czym jest pluralizm w sferze praktyki politycznej? Na czym polega jego racjonalność?

Pluralizm na pewno nie jest cudownym środkiem zapewniającym efektywność systemu politycznego w socjalizmie. Można wskazać jego zalety, natomiast jego brak powoduje dysfunkcje. **Pluralizm polityczny** — jak utrzymuje St. Ehrlich — **można określić jako takie zróżnicowanie mechanizmów, instytucji i organizacji, które daje możliwość prezentowania różnorakich interesów i wielotorowego wpływania na decyzje polityczne.**

Należy rozróżnić pluralizm normatywny, postulowany, zawarty w ideach, programach, aktach normatywnych oraz pluralizm faktyczny — ten funkcjonujący w rzeczywistości społecznej. Te dwie płaszczyzny nie zawsze pokrywają się ze sobą; tzn. pluralizm postulowany nie zawsze funkcjonuje w praktyce. Także — co prawda rzadziej — można mieć do czynienia z pluralizmem rzeczywistym, mimo jego nieobecności w sferze normatywnej.

Pluralizm polityczny to nie tylko kwestia ilości, tzn. wielości organizacji bądź instytucji, ale jakości. Rzeczywisty pluralizm musi zakładać podmiotowość uczestników życia politycznego, czyli zdolność różnych grup społecznych i środowisk do podejmowania, za pośrednictwem swych organizacji i instytucji, suwerennych działań we własnym interesie. Nie jest pluralizmem sama tylko wielość organizacji nie mogących działać suwerennie i wyrażać interesów społecznych skutecznie. Zatem pluralizm polityczny — to w istocie wielopodmiotowość — wielość różnych podmiotów.

I odwrotnie — podmiotowość polityczna jednostek i grup społecznych jest w pełni możliwa w warunkach pluralizmu. Suwerenne i racjonalne działania jednostek i grup społecznych, jak dowodzi praktyka, nie są możliwe w warunkach koncentracji wszelkich przejawów inicjatywy społecznej w centralnych ogniwach systemu politycznego, przy blokadzie kanałów wyrażania myśli politycznej, gdy brak możliwości wyboru organizacyjnych form działania.

Można sformułować następujące kryteria pluralizmu politycznego w socjalizmie:

1. Istnienie wielości organizacji, instytucji odpowiadających różnym aspektom zróżnicowania społecznego.

2. Możliwość uprawiania krytyki społecznej, zgłaszania alternatywnych propozycji na różne istotne politycznie tematy, przy respektowaniu zasad zawartych w Konstytucji.

3. Następnie uwzględnienie ich przy podejmowaniu decyzji.

4. Możliwość kontroli ośrodka decyzji oraz aparatu państwowego.

Każde z tych kryteriów może być stopniowane. Wskazują one na stopniowalność pluralizmu. Najbardziej pluralistyczny jest taki system polityczny, który spełnia wszystkie wymienione kryteria w możliwie wysokim stopniu. Kryteria pluralizmu wskazują jednocześnie na ścisły związek pluralizmu z demokratyzmem systemu politycznego.

Interesujące byłoby spojrzenie przez pryzmat tak sformułowanej wykładni pluralizmu na funkcjonowanie np. systemu partyjnego w Polsce. Wydaje się, iż można sformułować pogląd, iż system partyjny w Polsce mimo, iż wielopartyjny jest pluralistyczny w mało zauważalnym społecznie stopniu. Tzn. po okresie ożywienia ideowego po sierpniu 1980 roku, aktywność, tożsamość stronnictw sojuszniczych zaznacza się w zbyt małym stopniu. Społecznie słabo odczuwalne jest stanowisko stronnictw sojuszniczych w kluczowych, dyskutowanych obecnie kwestiach.

Wyraźniejsze wyrażanie swoich stanowisk przez stronnictwa byłoby korzystne z psychologicznego i politycznego punktu widzenia. Spowodowałoby, iż jak zauważa E. Erazmus w książce „Spór o kształt partii" „utrzymując (...) równowagę w systemie politycznym, stronnictwa zabezpieczałyby system przed wypaczeniami i błędami. Będąc odpowiedzialnymi za wiele spraw pobudzałyby PZPR do działania wtedy, kiedy ujawniałyby się ujemne zjawiska".

Często formułowany jest pogląd i obawa, iż pluralizm eksponujący różnice stanowisk powoduje konflikty. Warto rozpatrzyć to zagadnienie nieco szerzej. Sprzeczności i konflikty społeczne są trwałym elementem życia każdego społeczeństwa. To, czy pełnią funkcję destrukcyjną, czy też staną się warunkiem rozwoju na dłuższą metę, zależy oczywiście od wielu okoliczności. Ale przede wszystkim zależy to od możliwości swobodnego ujawniania sprzecznych interesów i dążeń społecznych. Budowa i funkcjonowanie polskiego systemu politycznego do końca lat '0. nie spełniały tych warunków. Ta faza budowy socjalizmu, oprócz wielu cech charakteryzowała się, w pewnym uproszczeniu, wysoką centralizacją życia społecznego w tym oczywiście i politycznego. Przy zasadowym, formalnym funkcjonowaniu np. ciał przedstawicielskich partia stała się jedynym funkcjonującym kanałem prezentowania społecznych potrzeb, interesów. W ten sposób partia stała się jedynym podmiotem instytucjonalizacji poważniejszych konfliktów.

Większość tych konfliktów o znaczeniu politycznym (tzn. o ponadlokalnym znaczeniu) ujawniała się nie w formie wzajemnych pretensji dużych grup społecznych, lecz jako oddolnie formułowane żądanie jednej lub kilku grup adresowane wobec partii jako głównej instytucji systemu. Spychało to partię do roli dźwigni dla różnych partykularnych grup interesu. W takiej sytuacji partia nie była zainteresowana w ujawnianiu konfliktów, które mogły prowadzić do destabilizacji jej pozycji politycznej w systemie politycznym i dezorganizacji wewnętrznej. Zastępowanie konfliktów „poziomych" przez „pionowe" będące jednocześnie skutkiem i przyczyną wzrastającej centralizacji procesu sprawowania władzy, powodowało skłonność do przypisywania partii i aparatowi państwa odpowiedzialności za niemal wszystkie fakty oceniane przez obywateli jako niesprawiedliwe, krzywdzące etc.

Skutki tego ciągu wzajemnie warunkujących się procesów są znane: brak możliwości ujawniania sprzeczności i konfliktów społecznych, nieelastyczność systemu politycznego a w sumie jego nieefektywność. Zatem nie pluralizm rodzi konflikty, ale jego brak. Pluralizm je tylko ujawnia, „wydobywa na powierzchnię" by umożliwić ich regulację w sposób nie zagrażający stabilności systemu. Natomiast brak pluralizmu, czyli w istocie brak możliwości ujawniania interesów czasem rozbieżnych i sprzecznych, zapewnia spokój tylko pozorny i do czasu. Ponieważ jak dowodzi nasza praktyka, pewnego dnia dochodzi jednak do ujawnienia owych sprzeczności, jednak w sposób niekontrolowany i często destrukcyjny!

Prezentowane tu pojmowanie pluralizmu politycznego **nie jest sprzeczne z przewodnią rolą partii.** Oznacza tylko zmianę sposobu jej realizacji. Zamiast odpowiadania za wszystko i wszędzie, połączonego z „centralizacją słuszności" — twórcza integracja i wykorzystywanie wielości swobodnie ujawnianych poglądów, potrzeb, inicjatyw pluralistycznego społeczeństwa. Skala zróżnicowania ujawnianych poglądów może być duża, lecz nie może obejmować opozycji antyustrojowej.

Racjonalność pluralizmu politycznego ujawnia się nie tylko przy regulacji konfliktów, ale także w procesie decyzyjnym. Jednym z czynników optymalizacji decyzji politycznych jest bowiem wiedza ośrodka decyzji o stanie potrzeb i interesów odpowiednich grup społecznych. Pluralizm ułatwia funkcjonowanie systemu informacji w sposób niezakłócony. Wszelkie zakłócenia zaś, jak wskazuje praktyka, odbijają się natychmiast na jakości decyzji. Stąd system polityczny socjalizmu, by mógł wykazać wszystkie swoje walory, cechować winna wielość różnych mechanizmów wyrażania poglądów, interesów, a następnie ich uogólniania, uzgadniania i wykorzystywania w procesie decyzyjnym.

Pluralizm może odegrać także pozytywną rolę psychologiczną w ewolucji pożądanych postaw politycznych w Polsce. Jak zauważył J. Reykowski w dyskusji w PRON, pluralizm ma ścisłe związki z poczuciem wolności. Może służyć odblokowaniu inicjatywy społecznej, aktywności obywatelskiej, wykształceniu tolerancji wobec odmiennych postaw, słowem kształtowaniu pożądanej kultury politycznej.

Pluralizmu nie można absolutyzować. Jego racjonalność ma swoje granice. Nadmierny pluralizm, podobnie jak nadmierna uniformizacja i centralizm, zagraża efektywności systemowej. Nadrzędnym problemem w kwestii, ile pluralizmu, ile centralizmu, jest to, by wszystkie istotne interesy społeczne mogły być skutecznie wyrażane, przy zapewnieniu z drugiej strony efektywności funkcjonowania całego systemu politycznego. Stan taki oznacza osiągnięcie pewnego historycznie zmiennego „optimum" pluralizmu. Można zauważyć dążenie społeczeństw do jego osiągnięcia. Tak samo rzecz wygląda w socjalizmie. Można wskazywać efektywność uniformizmu w niektórych okresach historycznych i w niektórych sferach życia. Jednakże uniformizm organizacyjny i centralizm nie są atrybutami socjalizmu. Odejście od uniformizmu i centralizmu nie jest odejściem od socjalizmu, ale odejściem od jego dogmatycznej wizji. W Polsce pożądanego „optimum" pluralizmu dopiero poszukujemy.

Kiedy młodzież zrzeszona w różnych organizacjach nie potrafi myśleć o swoich sprawach, wtedy zrodził się pomysł, aby powołać na osiedlu Radogoszcz Młodzieżową Radę PRON i co z tego wynikło?

Gdy zrobi się coś dla innych, to...

JACEK GŁĘBSKI

W siedzibie Rady Osiedlowej PRON na osiedlu Radogoszcz — Zachód, przewodniczący **Artur Matiaszczyk zaaranżował spotkanie z dziewczętami z Młodzieżowej Rady Osiedlowej.** Zanim pojawiły się na sali, ustalono, co następuje: Młodzieżowa Rada powstała zaledwie w listopadzie 1986 roku. **Jest ona pierwszą i jedyną młodzieżową komórką PRON nie tylko w Łodzi.** Młodzieżowa Rada Osiedla na Radogoszczu — Zachodzie funkcjonuje pod opiekuńczymi (ale nie krępującymi swobody!) skrzydłami Rady Osiedlowej PRON. W tej ostatniej znakomitą większość stanowią ludzie w wieku emerytalnym, co jest sytuacją typową.

W wielu radach PRON ciągle wypływa problem pozyskania młodych ludzi na rzecz tego ruchu, nie da się więc ukryć, że utworzenie Młodzieżowej Rady na Radogoszczu jest nie tylko godnym naśladowania rozwiązaniem, ale także próbą zaszczepienia młodzieży idei społecznikowskich i zaktywizowania jej do działania na rzecz innych.

W małej salce, ni to konferencyjnej, ni to klubowej, pojawiają się dwie miłe, choć stremowane dziewczyny. Nie będzie to ich pierwszy kontakt z zaciekawionym dziennikarzem. Niedawno była tu redaktor z radia i dziewczęta — jak wyjaśniła sekretarz Rady Osiedlowej PRON, **Ryszarda Kozłowska** — zupełnie straciły rezon na widok srebrzyście połyskującego mikrofonu. Ale po tym doświadczeniu obie dziewczyny: **Justyna Martynowska** — przewodnicząca Młodzieżowej Rady Osiedlowej PRON i **Beata Spis** — wiceprzewodnicząca, uczennice ósmej klasy Szkoły Podstawowej nr 75, choć są jeszcze trochę onieśmielone, swobodniej udzielają odpowiedzi.

Młodzieżowa Rada Osiedla PRON skupia w swych szeregach 16 uczniów szkoły podstawowej. Najstarsi chodzą do klasy ósmej, najmłodsi do szóstej. Wcale nie jest ich mało, na przykład w „dorosłej" radzie zasiada 26 osób. Młodzi działają w trzech komisjach: kulturalno-oświatowej, porządkowej oraz sportu i rekreacji. Ich zadania to opieka nad osobami niepełnosprawnymi i dziećmi szczególnej troski, gromadzenie pieniędzy ze zbiórki surowców wtórnych i sprzedaży cegiełek Narodowego Czynu Pomocy Szkole na budowę basenu przy SP nr 75, współorganizacja bądź organizacja imprez sportowo-rekreacyjnych, dbanie o ład i porządek na osiedlu, udział w pracach Rady Osiedla, śledzenie historii i zamierzeń RSM „Lokator". Przede wszystkim jednak działalność nastawiona jest na uatrakcyjnienie wolnego czasu osiedlowej młodzieży, co jest ważne o tyle, że w wielu nowo zasiedlanych osiedlach w Łodzi, na Retkini, Widzewie-Wschodzie, a także i na Radogoszczu jednym z istotniejszych problemów do rozwiązania jest właśnie wypełnienie luk w organizacji dzieciakom wolnego czasu. Brak jest młodzieżowych domów kultury, kin, szkół mogących zaoferować ciekawe zajęcia pozalekcyjne, bibliotek. Na skutek takich luk i braku wyobraźni u dorosłych, młodzież zdana jest tylko na własną inwencję, na przykład na Retkini, nie tylko nudzi się, ale z nudów potrafi „bawić się" w gangi przestępcze, dewastować, dokonywać kradzieży, okupować strychy i hydrofornie, gdzie zbierają się początkujący narkomani. Tym cenniejsza jest więc działalność Młodzieżowej Rady Osiedlowej PRON na Radogoszczu.

Co już zrobili?

Przygotowali bal noworoczny dla dzieci specjalnej troski, pomogli w organizowaniu listopadowej edycji rajdu samochodowego, a także bloku imprez sportowo-rekreacyjnych pod nazwą „Zima na osiedlu Radogoszcz'87".

Co mają w planach?

Odbędą konkurs wiedzy o ruchu drogowym, o spółdzielczości (RSM „Lokator" ma już 75 lat!), konkursy plastyczne, zorganizują wieczór baśni filmowych, majową edycję samochodowego Rajdu Pokoju, imprezy z okazji Dnia Dziecka. Sympatyków i zwolenników przybywa jednak po każdej udanej imprezie.

Dlaczego akurat Beata i Justyna włączyły się do pracy społecznej w PRON?

— Chcę — odpowiada Justyna — by na osiedlu było ciekawiej, żeby nie tylko dorośli mieli prawo decydowania.

Dorośli oczywiście pomagają, choć nie robią niczego za Młodzieżową Radę, ot, po prostu młodzi konsultują się ze sobą, spotykają się, rozmawiają w szkole i w domu o tym, co chcieliby zrobić i z reguły robią to sami.

I wreszcie pytanie, które paść musiało. **Jakie korzyści czerpie ze swej działalności przewodnicząca Młodzieżowej Rady Osiedlowej?**

Justyna zmieszała się trochę i odparła:

— Na żadne korzyści nie liczę.

— Na żadne?

— Na żadne materialne. Ale kiedy wychowawczyni będzie pisała opinię do liceum, na pewno wspomni i o mojej działalności społecznej. Ale — zastrzega się — nie dlatego zostałam przewodniczącą. A tak poważnie: na pewno więcej ludzi mnie zna i na pewno czuję się trochę silniejsza i ważniejsza, bo mogę zrobić więcej dla kolegów i koleżanek.

— A dla siebie?

— Dla siebie też. Przecież jeśli organizujemy jakąś fajną imprezę, na przykład dyskotekę, albo zawody sportowe, to w tej imprezie, którą pomogłam zorganizować, sama wezmę udział i na pewno nie będę siedziała w domu.

Rodzice Justyny są zadowoleni z tego, co robi ich córka. Ojciec również jest społecznikiem, działa w PTTK i w Straży Ochrony Przyrody. Nie przypadkiem też chcą powołać Młodzieżową Straż Ochrony Przyrody. Justyna ma już wiele doświadczeń, jeździła z ojcem na różne akcje organizowane przez SOP.

Wizyta dobiega końca. Czas goni: o siedemnastej odbywają się dyżury Młodzieżowej Rady Osiedlowej. Co prawda dyżury są raz w miesiącu, we wtorek, ale akurat takiego dnia wypadło spotkanie. Na zakończenie **Ryszarda Kozłowska, sekretarz Rady Osiedlowej PRON,** dzieli się refleksją:

— Mimo wielu starań z naszej strony i mimo potrzeby nawiązania kontaktów, organizacje młodzieżowe jakoś nie kwapiły się do współpracy z Radą Osiedlową. Ani ZHP, ani nawet ZSMP nie nawiązały z PRON bliższych kontaktów, choć przecież troska o osiedlową młodzież powinna zjednoczyć nasze wysiłki. I gdyby nie fakt, że trudno było nawiązać kontakt z tymi organizacjami, być może nigdy nie powstałaby Młodzieżowa Rada Osiedlowa PRON.

ze str. 1

nikt nie miał odwagi ani możliwości go zatrudnić. Przyszło mu więc żyć w niezwykle trudnych warunkach, a cały ciężar utrzymania rodziny (a było już dwoje dzieci) musiała przejąć żona, której jakoś pozwolono wykładać dalej język francuski. Co prawda od czasu do czasu udawało mu się publikować w czasopismach artykuły, ale dochody z tego tytułu były znikome. Najbardziej dotkliwy dla niego był jednak brak warsztatu pracy.

— „Wstęp do kosmonautyki" zdążył się jednak jeszcze ukazać?

— Tak. Został nawet zgłoszony do nagrody państwowej, nazywanej wówczas nagrodą stalinowską, ale „wobec nieaktualności tematu" na zgłoszeniu się skończyło, choć — jak wiadomo — było to dzieło zawierające prekursorskie idee. Uznano jedynie, że tę „nieaktualną" pracę warto pokazać między innymi w radzieckim pawilonie na Wystawie Światowej w Nowym Jorku i w Paryżu w 1938 i 1939 roku.

Należy przypuszczać, że gdyby Ary złożył tę książkę później do druku, już by jej nie wydano.

Po latach, w 1974 roku z okazji wznowienia w Moskwie edycji „Wstępu..." kosmonauta Witolij Sewastianow napisał: „Jest to wielka księga wiedzy, przy której pomocy wchodziliśmy w kosmonautykę".

— Jak Szternfeld przyjął te wydarzenia?

— Nie załamał się. Kiedy stracił nadzieję, że będzie mógł etatowo zajmować się kosmonautyką, postanowił pracować na własną rękę, samotnie, w domu. Nic nie było go w stanie zawrócić z raz obranej drogi. I tak to już właściwie trwało aż do końca życia. Nie mnie o tym sądzić, ale niektórzy znawcy twierdzą, że pracując w pojedynkę Szternfeld dokonał więcej niż całe instytuty naukowe. Nie brak jednak i takich, którzy usiłują pomniejszyć jego wkład w rozwój kosmonautyki i widzą w nim jedynie popularyzatora. Więc pytam: czy że pisał popularnie, prosto, zrozumiale, to źle? Przecież to jest najtrudniejsze! I jeszcze jedno: nie ma prawie autora zajmującego się naukowo kosmonautyką, który nie powoływałby się na Szternfelda. Był taki okres, już po wojnie, kiedy Ary miał wielkie trudności z publikowaniem swoich naukowych prac, gdyż uważano, że nie jest to temat dla szerokiej publiczności. Przyoblekał więc swoje koncepcje, teorie, obliczenia w szaty fantastyki. Mimo, że było to na długo przed pierwszymi lotami w kosmos, posiadał taką zdolność naukowego przewidywania, że potrafił nawet opisać przyszłe wydarzenia w przestrzeni kosmicznej. Wiedział z całą pewnością jakie wrażenie wizualne, akustyczne odnosić będą kosmonauci, jakie będzie ich samopoczucie, jakie przygody mogą im się przytrafić i jak będą się wywiązywali ze swych zadań. Gdy się czyta wrażenia kosmonautów z ich lotów, analogie z tym, co pisał Ary, są olbrzymie, a niektóre fragmenty brzmią niemal dokładnie tak samo.

Charakterystyczny był na przykład fakt, że kiedy Leonow, jako pierwszy człowiek wyszedł w otwartą przestrzeń kosmiczną, czyli — jak to się mówi — orbitował, jakaś polska gazeta przypomniała fantastyczny reportaż Arego Szternfelda, opublikowany w 1952 roku, w którym on przedstawił właśnie orbitowanie i to ze wszelkimi szczegółami. Okazało się, że wizja Arego pokrywała się prawie zupełnie z relacją Leonowa. Była wszakże jedna istotna różnica. Otóż Ary przewidywał, że kosmonauta w otwartej przestrzeni odpychać się będzie od statku kosmicznego specjalnym pistoletem, a Leonow takiego pistoletu nie miał. Tylko, że wkrótce w pistolety do odpychania wyposażeni zostali amerykańscy astronauci. Przewidywania Szternfelda sprawdziły się więc całkowicie.

I tak było z każdą jego książką, z każdą publikacją. Przecież statki kosmiczne latają po orbitach, które on wyznaczył już pięćdziesiąt lat temu. Szczególnie koncentrował uwagę na optymalnych torach, które po latach znalazły zastosowanie w praktyce.

— A w jaki sposób państwo się poznali?

— Otóż ja na krótko przed napaścią Niemiec hitlerowskich na Związek Radziecki ukończyłam studia architektoniczne. W chwili wybuchu wojny organizowano w moskiewskim radio sekcję polską i między innymi mnie skierowano do tej pracy — na kilka dni. Zostałam trzydzieści lat, do emerytury. Po wojnie przychodził do nas Ary Szternfeld, zapraszany do mikrofonu. I tak się poznaliśmy. A potem, kiedy zmarła jego pierwsza żona, on bardzo potrzebował pomocy, zwłaszcza przy redagowaniu materiałów. Nasza znajomość zacieśniła się wtedy, przerodziła w serdeczną przyjaźń, no i skończyło się to małżeństwem.

— Wspomniała pani, że jest łodzianką.

— Tak. Urodziłam się wprawdzie w Zduńskiej Woli, ale niemal całe dzieciństwo i młodość spędziłam w Łodzi. W Łodzi chodziłam do gimnazjum — tego samego, w którym uczyła się pierwsza żona Arego oraz jego siostra Ada. Oczywiście nie znałyśmy się.

— A gdzie pani mieszkała w Łodzi?

— Przy alei Kościuszki 29. Niedawno właśnie oglądałam ten dom. Zapamiętałam go sobie jako bardzo ładny, elegancki,. teraz niestety jest zaniedbany jak wiele innych.

— A jak pani znalazła się w Związku Radzieckim?

— Już w moich łódzkich czasach byłam zaangażowana w nielegalny ruch rewolucyjny, potem rozpoczęłam studia na Politechnice Gdańskiej. W 1930 roku wstąpiłam w Gdańsku do partii komunistycznej, a w 1934 wyjechałam do Związku Radzieckiego. Ze względów konspiracyjnych zmieniono mi imię i nazwisko. Naprawdę nazywałam się Barbara Warszawiak, w Związku Radzieckim zaś — Ilza Braun.

— Jaki był pani mąż na co dzień? Jaki miał styl pracy, jakie przyzwyczajenia?

— Był szalenie pracowity i nie znosił, by mu przeszkadzano, przerywano pracę. Wyłączał się w sensie dosłownym, gdyż z powodu poważnej utraty słuchu musiał posługiwać się aparatem słuchowym.

Ze względu na jego upór nasze pożycie nie było łatwe. Toczyły się wieczne scysje o to, żeby trochę odpoczął, żeby wyszedł na spacer. Bo on tak był pochłonięty swoją pracą, że trudno go było do tego namówić. Obliczenia, jakich dokonywał, były bardzo skomplikowane i czasochłonne, a przecież nie miał w domu komputerów, którymi dysponują teraz już nie tylko naukowcy, ale nawet i studenci. Mąż posługiwał się stosunkowo prostą maszyną do liczenia, potem trochę ulepszoną. Mimo to, nie wiadomo mi, by jego obliczenia były nieprawidłowe. Pamiętam, że nieraz budził się w nocy z obawą, czy aby się gdzieś nie pomylił, wstawał z łóżka i sprawdzał wszystko jeszcze raz. Nie przywiązywał żadnej wagi do dóbr materialnych ani do wyglądu mieszkania. To go po prostu nie interesowało, choć w swojej pracy był dokładny, systematyczny, konsekwentny i zawsze wiedział, gdzie czego szukać w swoim ogromnym archiwum.

W życiu był wyjątkowo skromny. Prócz szklanki gorącej, dobrze zaparzonej herbaty niczego nie potrzebował. Nie troszczył się o pieniądze, nie zabiegał też o uznanie, zaszczyty, układy.

Dzisiejsze pokolenie w ogóle tego nie rozumie... Na przykład kiedy Szternfeld z pierwszą żoną przyjechał do Moskwy, zakwaterowano ich w apartamencie hotelu dla turystów zagranicznych. Ary nie mógł znieść, że z jego powodu państwo traci dewizy i z własnej nieprzymuszonej woli przeniósł się do marnego drewnianego domku, do pokoju we wspólnym mieszkaniu, tak zwanej komunałce, w której mieszkało jeszcze szesnaście osób. Warunki oczywiście były fatalne, ale on za to miał spokojne sumienie.

Nie był bynajmniej ponurakiem. Wręcz przeciwnie — lubił dowcipkować, miał ogromne poczucie humoru. A co najważniejsze, był niezwykle życzliwy, miał dla ludzi otwarte serce. Jego gościnność nie znała granic. Ktokolwiek przestępował próg naszego mieszkania, od razu zapraszany był przez Arego do stołu. Raz się zdarzyło, że włamywacza, który wkradł się do nas, mąż zaprosił na kolację. Złodziej onieśmielony tym wiercił się na krześle i prędziutko zwiał.

Bardzo lubił muzykę, często recytował mi z pamięci wiersze Mickiewicza, Słowackiego, całe fragmenty Cycerona, Horacego, Cezara — oczywiście po łacinie — zapamiętane z lat szkolnych. Uwielbiał Tuwima...

Chciałabym jeszcze podkreślić, że nie wybaczał domownikom ani nikomu innemu żadnego kłamstwa. Kłamstwo, nawet blahe, uważał za największy grzech, za dowód tchórzostwa.

Miał jednak okresy smutku, pogrążał się w sobie i trudno go było z tego stanu wyrwać.

— Czy po wojnie Ary Szternfeld w ogóle nie pracował już etatowo?

— No, niezupełnie. Przez chyba trzy lata zatrudniony był jako zwykły inżynier, ale to nie miało nic wspólnego z kosmonautyką. Mimo dokonania w tym czasie kilku kolejnych wynalazków, uznał, że jest to jednak strata czasu. Znał swoją wartość. Treść jego życia stanowiła przecież kosmonautyka.

— Czy mąż pani utrzymywał jakieś kontakty z tymi, którzy bezpośrednio uczestniczyli w pracach radzieckiego programu kosmicznego? Czy był na bieżąco o przebiegu tych prac informowany?

— Tak. Niektórzy specjaliści zwracali się do niego, aby pomógł im rozwiązać jakiś problem, on przed opublikowaniem nosił im do przeczytania swoje artykuły. Cóż, zdarzało się i tak, że niektóre swoje myśli i rozwiązania znajdował w publikacjach „kolegów. Nie brał sobie jednak tego do serca, nie obrażał się, a kiedy jednemu z plagiatorów zwrócił uwagę, tamten odparł „a od kogo miałem ściągać?" i obaj roześmiali się.

Później, gdy lotów w kosmos było już coraz więcej, mój mąż publikował w prasie dużo komentarzy naukowych na ich temat. Wzbudzały one duże zainteresowanie w Związku Radzieckim i za granicą, o czym świadczy ogromna ilość przedruków. Agencja Prasowa „Nowosti" także często otrzymywała od wydawnictw zagranicznych zamówienia na artykuły Szternfelda, z zaznaczeniem, że zależy im właśnie na Szternfeldzie jako autorze najbardziej kompetentnym.

Więcej cierni

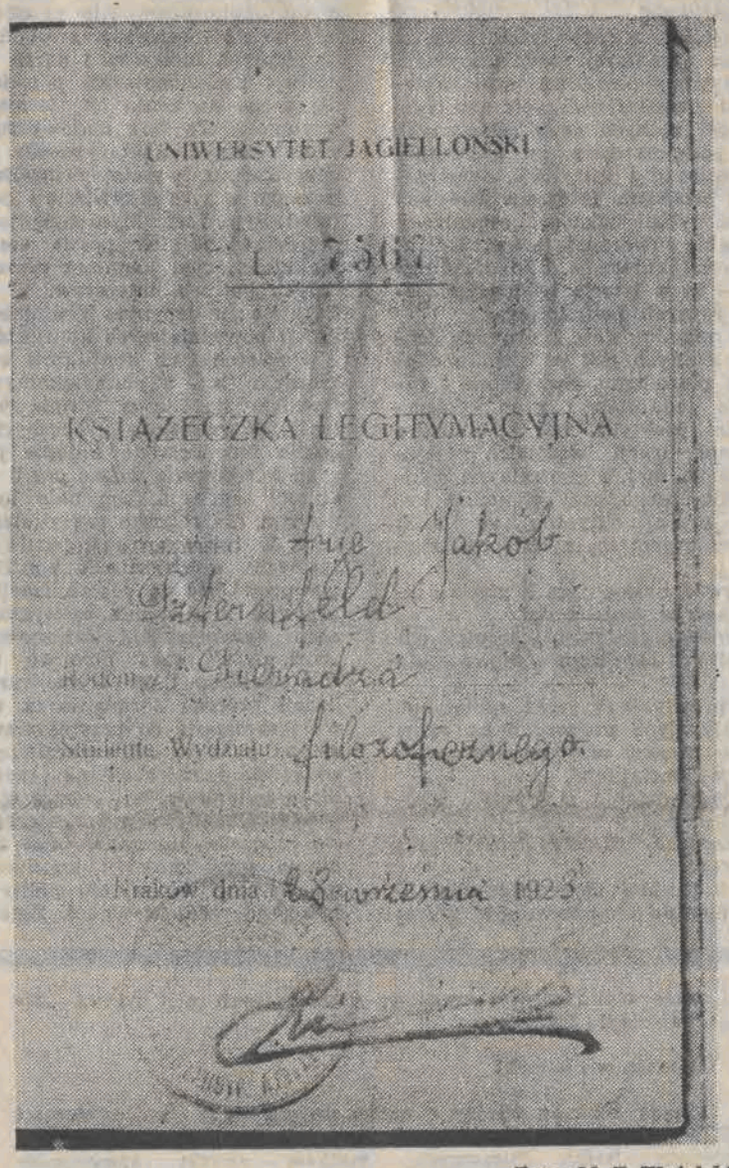

Foto: M. Z. Wojalski

— A jaki był stosunek pani męża do Polski?

— Swój stosunek do Polski Ary najlepiej chyba określił w rozmowie z Andrzejem Trepką, mówiąc mu, że chociaż zapuścił korzenie w Moskwie, tam ma dom, rodzinę, to jednak istnieje jakaś przemożna siła, która ciągnie go do jego pierwszej ojczyzny, do Polski. I tak rzeczywiście było. Mąż utrzymywał stałe kontakty z polskimi przyjaciółmi. Bardzo wysoko cenił sobie tytuł honorowego obywatela Sieradza, nadany mu przez rodzinne miasto. Poza tym...

— Nie wydano jednak w Polsce „Wstępu do kosmonautyki".

— Niestety... Myślę, iż przyczyną jest to, że „Wstęp..." jest książką naukową, przeznaczoną dla specjalistów. A jest ich w Polsce nie tak wielu, zresztą ci polscy specjaliści na pewno znają język rosyjski. Natomiast w swoim czasie ukazały się po polsku dwie inne książki Ary Szternfelda: „Sztuczny Księżyc" i „Śladami kosmonautycznych koncepcji z lat 1929—1936". Ponadto polska prasa periodyczna, w szczególności „Astronautyka", „Problemy", „Kultura", „Młody technik", a także gazety codzienne publikowały bardzo dużo artykułów Szternfelda. Niemało ukazywało się również wywiadów i innych materiałów o jego drodze życiowej i działalności naukowej. Mąż zawsze ogromnie się cieszył, że jego pierwsza ojczyzna o nim nie zapomniała. Już po śmierci męża ukazała się w Polsce książka Władysława Gaislera „Ary Szternfeld — pionier kosmonautyki". Mogę jeszcze dodać, że wkrótce nakładem LSW ukaże się w języku polskim książka mego męża „Paradoksy kosmonautyki".

Co się tyczy wzrastającego udziału uczonych polskich w badaniach przestrzeni międzyplanetarnej, to nieraz wyrażał przeświadczenie, że przyczynia się to wydatnie do wzbogacenia naszej wiedzy o wszechświecie. „Miejmy nadzieję — pisał — że wszystko, co przyniesie dalszy rozwój kosmonautyki, będzie służyło sprawom pokoju światowego i braterstwa narodów".

A skoro mówimy o stosunku Arego do Polski, to wymowny jest też fakt, że w liście do prezydenta Sieradza napisał, iż chciałby być pochowany w ziemi, na której się urodził. Stało się jednak inaczej — nie było i nie ma takiej możliwości. Ary Szternfeld pochowany jest w Moskwie na cmentarzu Nowodziewiczym, gdzie spoczywają wysoce zasłużeni. Ma piękny pomnik, na którym widnieje napis: „Per aspera ad astra" — przez ciernie do gwiazd.

— Proszę powiedzieć, co dzieje się ze spuścizną po Arym Szternfeldzie — książkami, notatkami, listami?

— Większość pozostała w naszym moskiewskim mieszkaniu. Jakiś czas temu specjalna komisja Akademii Nauk Związku Radzieckiego do spraw uwiecznienia pamięci i dorobku naukowego pionierów kosmonautyki, na czele której stoi akademik Rauszenbach, powzięła decyzję, aby gabinet męża wraz z całym jego wyposażeniem zachować w nienaruszonym stanie jako filię Archiwum Akademii Nauk. W decyzji tej mówi się też o tym, że zostaną wydane dzieła zebrane Szternfelda, jego biografia naukowa, na naszym domu umieści się tablicę pamiątkową, itp.

Najpierw przeprowadzona została inwentaryzacja archiwum. Zrobiła to głównie córka, Maja, którą oddelegowano na dwa miesiące z pracy specjalnie w tym celu. Chociaż czas mija, na razie jednak nic więcej się nie dzieje. Teraz w Związku Radzieckim zachodzą wielkie przemiany. Wszystko nabiera tempa. Spodziewam się więc, że postulaty Akademii Nauk dotyczące spuścizny po Arym Szternfeldzie i uwiecznienia jego pamięci zostaną zrealizowane.

— Czy pani obecny pobyt w Polsce ma charakter prywatny?

— Zamierzaliśmy przyjechać z mężem do Polski w 1980 roku, mieliśmy już nawet paszporty, ale stało się to nieszczęście... Zostałam wdową. A potem były już wydarzenia sierpniowe... Tak, że dopiero teraz mogłam odwiedzić siostrę męża, Adelę Kalecką, wdowę po zmarłym ekonomiście Michale Kaleckim, i starych znajomych.

— Była też pani niedawno w Łodzi.

— Tak, odwiedziłam Sieradz, którego władze wcześniej niejednokrotnie mnie już zapraszały, oraz Łódź, gdzie gościłam u państwa Wojalskich. Czułam się u nich jak we własnym domu. Złożyłam też wizytę prezydentowi miasta Jarosławowi Pietrzykowi, który przyjął mnie bardzo serdecznie. W toku rozmowy poruszyliśmy różne tematy. W szczególności mowa była o 50 rocznicy pierwszego wydania „Wstępu do kosmonautyki", przypadającej w tym roku, i o 30-leciu wystrzelenia pierwszego sputnika. Któż nie pamięta tej epokowej daty — 4 października 1957 roku...

Właśnie leży tu na stole przechowywany z pietyzmem przeze mnie stary numer tygodnika warszawskiego „Kultura" z artykułem Arego Szternfelda zatytułowanym „Dzieje mojej pierwszej książki". Proszę, podkreśliłam w nim słowa:

„Był to jeden z najpiękniejszych dni w moim życiu. Bo czyż nie jest największą radością, największym szczęściem dla człowieka, kiedy staje się on świadkiem urzeczywistnienia jego idei, które go pochłaniały od najmłodszych lat, którym przebijał drogę poprzez mur niezrozumienia i lekceważenia, idei, którym poświęcił całe swe życie".

— Dziękuję serdecznie za rozmowę.

Rozmawiał: PAWEŁ TOMASZEWSKI

Kalendarium

ARY SZTERNFELD (1905—1980) — astrofizyk, mechanik, teoretyk kosmonautyki. Urodził się w Sieradzu w rodzinie żydowskiej, która w 1915 roku przeniosła się do Łodzi. W 1923 roku uzyskał maturę. W latach 1923—1924 studiował na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, a następnie — do 1927 roku — w Instytucie Elektrotechniki i Mechaniki Stosowanej Uniwersytetu w Nancy (Francja). Po krótkim pobycie w Polsce rozpoczął w 1928 roku studia doktoranckie na paryskiej Sorbonie. W latach 1930—1931 pracował w „Office National des Recherches Scientifique Industrielles et des Inventions" w Paryżu. Studiów doktoranckich nie ukończył ze względu na wycofanie w 1931 roku opieki promotorów.

W 1932 roku odwiedził Moskwę. W latach 1932—1933 w domu rodziców w Łodzi przy ul. Więckowskiego 21 napisał „Wstęp do kosmonautyki", nagrodzony rok później we Francji Międzynarodową Nagrodą Astronautyczną Esnaulta Petterie-Hirscha.

W 1935 wyjechał na stałe do Związku Radzieckiego, podejmując pracę w Instytucie Naukowo-Badawczym Napędów Odrzutowych. W 1937 roku ukazuje się w Moskwie „Wstęp do kosmonautyki". Jego autor traci też wtedy pracę w Instytucie. W latach 1941—1944 zostaje wysiedlony wraz z rodziną na Ural, gdzie w Sierowie uczy w tamtejszym technikum.

W 1949 roku publikuje kolejną swą książkę — „Poliot w mirowoje prostranstwo", zaś w 1955 — „Mieżpłanietnyje polioty". W 1956 roku ukazują się „Iskustwiennyje sputniki Ziemli". Pisze też w tym czasie wiele artykułów, publikowanych w radzieckiej prasie.

W 1956 roku Ary Szternfeld po raz pierwszy po wojnie odwiedza Polskę. W 1960 roku otrzymuje godność Członka Honorowego Lotaryńskiego Towarzystwa Naukowego w Nancy, a w rok później — doktorat honoris causa Uniwersytetu w Nancy.

W 1963 r. przyjmuje honorowe obywatelstwo nadane mu przez rodzinne miasto Sieradz, a także — Międzynarodową Nagrodę Astronautyczną im. Galaberta.

W 1965 roku Rada Najwyższa RFSRR przyznała Szternfeldowi tytuł Zasłużonego Działacza Nauki i Techniki, zaś Akademia Nauk ZSRR — doktorat honoris causa nauk technicznych. W 1978 roku doktoratem honorowym wyróżnił uczonego również Narodowy Instytut Politechniczny Lotaryngii w Nancy.

Ary Szternfeld (oryginalna pisownia nazwiska: Sternfeld) zmarł w Moskwie w 1980 roku. Zostawił po sobie bogatą spuściznę w postaci książek przetłumaczonych na wiele języków oraz setek artykułów. Był jednym z tych, którzy swymi ideami utorowali człowiekowi drogę w kosmos.

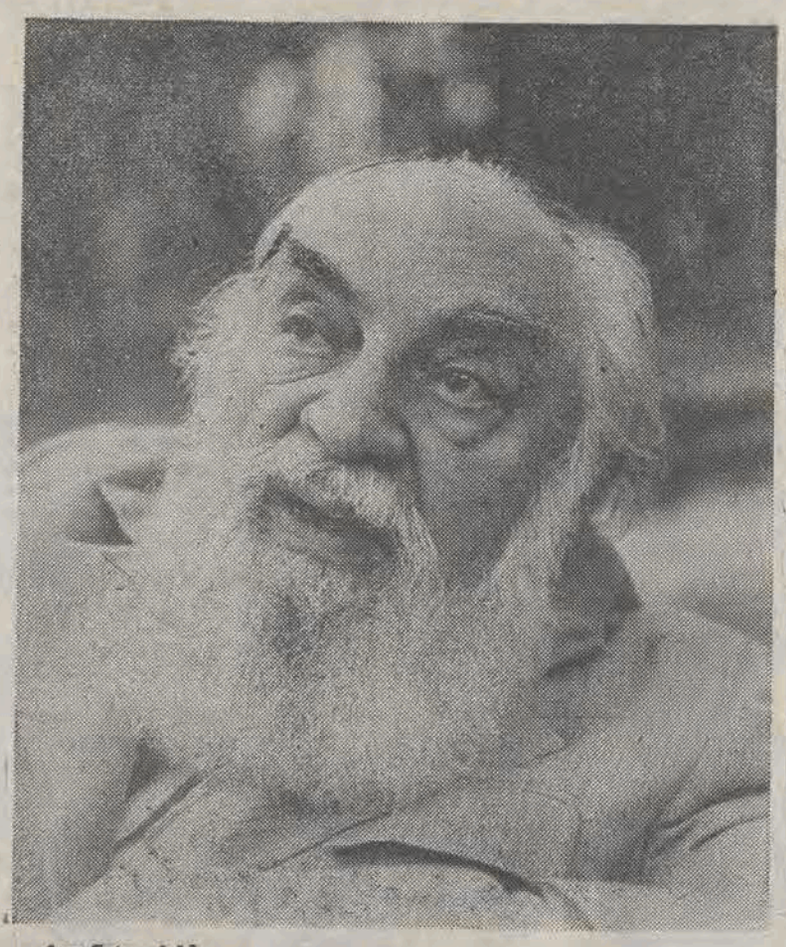

Ary Szternfeld

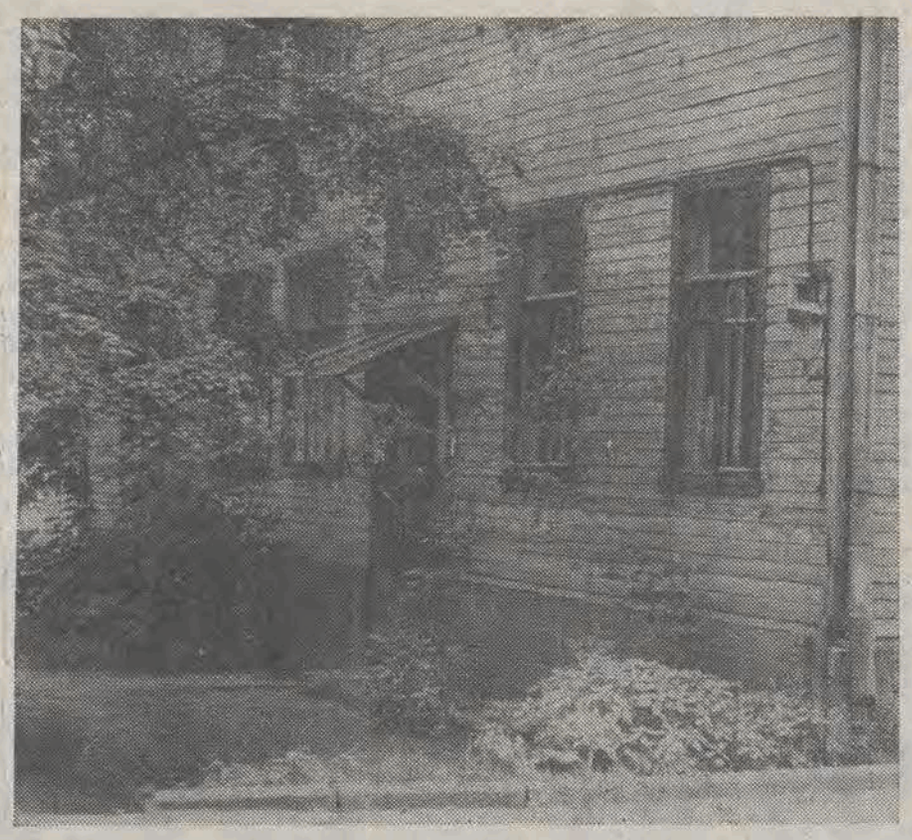

Dom w Moskwie, w którym na początku mieszkał Ary Szternfeld

Ary Szternfeld przed domem w Łodzi, gdzie napisał „Wstęp do kosmonautyki".

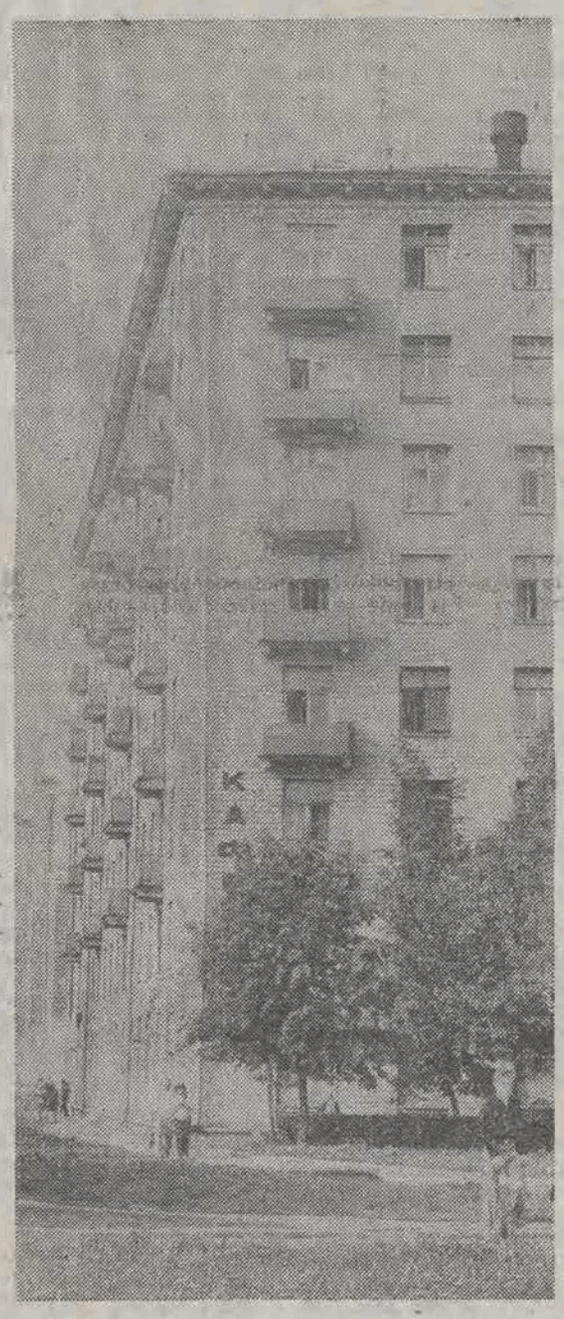

Dom w Moskwie, gdzie Ary Szternfeld mieszkał w późniejszych latach.

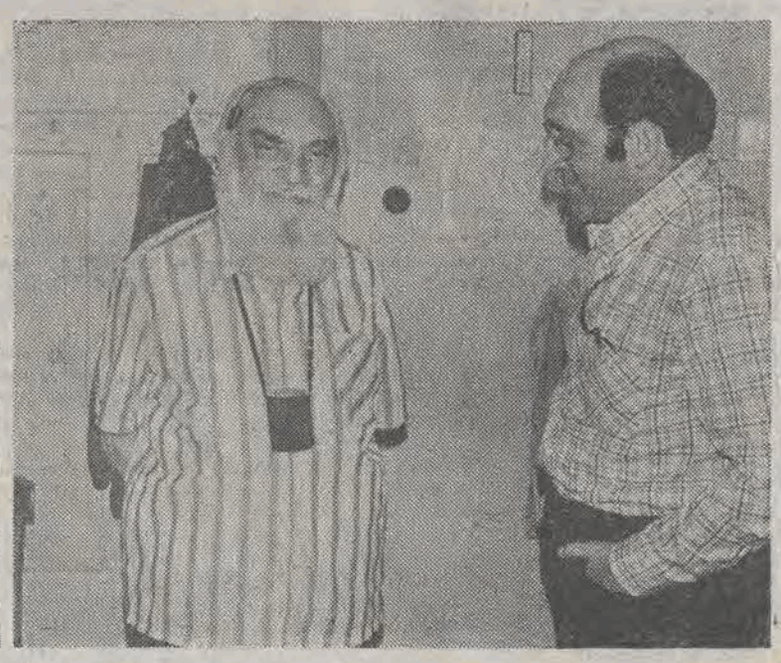

Ary Szternfeld z autorem zdjęć.

Ilza i Ary Szternfeldowie

Foto: MIROSŁAW Z. WOJALSKI

Pod koniec 1986 roku NASA przedstawiła Białemu Domowi konkretny projekt budowy księżycowego miasta. Związek Radziecki natomiast zaproponował ONZ powołanie światowej organizacji, która zajęłaby się zagospodarowaniem Księżyca. Czy jest to tylko utopia kosmiczna?

Plan kolonizacji Księżyca

Marzycie o małym, cichym zakątku z dala od miejskiego hałasu? Spójrzcie na niebo. Dlaczego nie mielibyście pojechać na Księżyc, planetę nazwaną tak od greckiej bogini Seleny, by zmienić swoje życie? Nie jest to już odwieczna chimera, marzenie z gatunku science-fiction. Niedawno Wendel Mendell, jeden z dyrektorów Ośrodka im. Johnsona w Houston (Teksas) oficjalnie przedstawił Białemu Domowi plan kolonizacji „wieczornej gwiazdy".

— *Katastrofa promu kosmicznego nic nie zmieni* — powiedział — *pierwsze osady „ziemsko-księżycowe" będą mogły być gotowe za 20 lat!*

W pierwszym etapie, gdzieś około roku 1997, satelity umieszczone wokół Księżyca powinny wyszukać strefę najlepiej nadającą się do kolonizacji. Musi to być jakiś mały, sympatyczny zakątek, bogaty w minerał nadający się do wydobycia, a jego powierzchnia nie powinna być zbyt sypka. Wówczas na miejsce udadzą się ekipy geometrów, by wyznaczyć teren przyszłej wioski księżycowej.

Drugim etapem będzie wznoszenie budynków. Zacznie się w roku 2005 wraz z wysłaniem osadników i wielkich kontenerów zawierających sprzęt niwelacyjny. Pierwsza osada pozaziemska zostanie zbudowana na powierzchni hektara, wyłożonej rozkruszonymi i utwardzonymi przez mikrofale skałami księżycowymi. Na tym terenie kontenery (rodzaj ogromnych rur o średnicy 6 metrów i długości 18 metrów) ułożone zostaną w sześciobok i służyć będą „księżyczanom" za pierwsze schronienie. Potem, stopniowo, sześcioboki połączone zostaną, jak w klockach Lego, w coś w rodzaju komórek plastra miodu, gdzie będzie mogła żyć na stałe prawie setka ludzi. Pierwszy kształt księżycowej wioski tworzyć będzie 21 kontenerów połączonych w ten sposób, by stanowiły 3 wielkie sześciokąty. W środku każdego z nich znajdować się będą wielkie, nadmuchane kule o wysokości 18 metrów, dające schronienie: w pierwszym sześcioboku — eksperymentalnej farmie; w drugim — laboratorium badawczemu powierzchni księżycowej; a w trzecim — mieszkaniom „księżyczan".

Jak będzie się żyło na Księżycu? Trochę tak jak w bazie polarnej, chociaż w większym zamknięciu. Ponieważ Księżyc nie ma atmosfery, to promienie kosmiczne, bardzo niebezpieczne dla naszego organizmu, nie są filtrowane. Poza tym ten naturalny satelita jest często bombardowany meteorytami różnej wielkości. Jedynym więc rozwiązaniem jest przykrycie naszej śliznej, małej wioski workami z piaskiem księżycowym.

Oczywiście ten mały, cichy zakątek wywoływać będzie raczej skojarzenie z kretowiskiem. Ale na szczęście życie na Księżycu będzie miało swe zalety. Mała siła grawitacyjna i brak atmosfery pozwolą na wykonywanie większości zadań przy użyciu minimum energii. Będziemy lżejsi 7-krotnie i nie będzie wcale oporu powietrza.

— *Jest to wielka zaleta księżycowego osiedla w porównaniu ze stacją orbitalną* — twierdzi Jacques Collet, dyrektor przyszłościowych programów w Europejskiej Agencji Kosmicznej (ESA). — *Będzie można utrzymywać pozycję stojącą w sposób trwały, nasze kości nie będą się odwapniały, ponieważ będą podtrzymywały naszą szkielet — nie będzie już mdłości występujących w przestrzeni kosmicznej. (...)*

Liczne badania geologiczne przeprowadzone w latach 1969—72 przez wyprawy w ramach programu Apollo pozwoliły na poznanie bogactw powierzchni księżycowej. **Są one niebłahe. W skałach księżycowych jest 40 proc. tlenu, 20 proc. aluminium i 20 proc. krzemu oraz wiele metali, takich jak żelazo lub tytan.**

Tlen, odzyskany z księżycowej gleby i przefiltrowany, posłuży do sztucznego odtworzenia atmosfery niezbędnej do oddychania. Wykorzystywany będzie jako paliwo dla rakiet. W połączeniu z wodorowymi cukierkami przekształci się w wodę, która pozwoli na stworzenie rolnictwa, uprawianego pod ciśnieniem.

— *Będzie to coś w rodzaju wysuniętego ziemskiego portu* — wyjaśnia Jacques Collet — *budować się tam będzie i montować przy użyciu bardzo małej ilości energii ogromne rakiety, co byłoby niemożliwe na Ziemi. Zainstaluje się na zacienionej stronie Księżyca teleskopy, a przede wszystkim radioteleskopy, których funkcjonowanie nie będzie już zakłócane przez ziemskie instalacje elektryczne.*

Jak widać, projekt ten jest kamieniem węgielnym podboju naszego Układu Słonecznego i poznania Wszechświata. Oczywiście ta mała wioska pozaziemska wymagać będzie zainwestowania 80 miliardów dolarów. Przypomnijmy jednak, że same wyprawy w ramach programu Apollo kosztowały, bagatelka, 73 miliardy dolarów. Czy Kongres amerykański zgodzi się na wydanie tej sumy, gdy budżet NASA został dopiero co jeszcze bardziej okrojony? Odpowiedź poznamy za kilka miesięcy, ale gdyby była negatywna, to Rosjanie (którzy są ogromnie opóźnieni w podboju Księżyca) już zaproponowali ONZ powołanie światowej organizacji kosmicznej, która zajęłaby się „operacją Księżyc".

„LE NOUVEL OBSERVATEUR", 7—13.XI.1986.

TYM RAZEM nie będzie to regionalny, łódzki rynek lecz ogólnokrajowy a na dodatek — perspektywiczny. Odbywające się dwa razy w roku Poznańskie Targi Krajowe są imprezą, która w dużej mierze decyduje (tak przynajmniej twierdzą jej organizatorzy i uczestnicy) o tym, jakie będzie zaopatrzenie rynku w nadchodzących miesiącach, na której można zobaczyć, na co, stać nasz przemysł lekki w plonie państwowym, spółdzielczym i prywatnym, a także poobserwować wysiłki handlowców, którzy dwoją się i troją, aby nam, klientom, niczego nie brakowało. Mimo to wciąż jeszcze czegoś brakuje — i o tym, jakie będą dziury w zaopatrzeniu także można dowiedzieć się na targach.

Z tegorocznej imprezy **WIOSNA '87** optymizmem wieje raczej mało, może więc na początek o tym, czego brakować nie powinno.

TOREB, TOREBEK, TECZEK dla pań, panów i młodzieży będzie pod dostatkiem. Zwłaszcza toreb i innych pojemników (z uwagi na kształt trudno nazywać je torbami) turystycznych. Produkują je rzemieślnicy, spółdzielnie i firmy polonijne — a wszystkie niemal jednakowe, uszyte ze stylonowych materiałów i za drogie, jak na tego rodzaju towar.

GORZEJ Z WALIZKAMI — pokazały je nieliczne spółdzielnie i sprzedały natychmiast. Duże zaciekawienie — choć z uwagi na cenę przekraczającą znacznie 20 tys. zł budziła męska walizeczka-dyplomatka wyposażona w zamek szyfrowy. Kanapki z serem na drugie śniadanie są w niej doskonale zabezpieczone, nawet przed głodnym właścicielem, jeśli zapomni szyfru.

SZCZOTEK I PĘDZLI nie zabraknie, poczynając od szczoteczek do zębów z włosia i tworzywa aż po wielkie, malarskie pędzle-ławkowce. Niektórzy producenci twierdzili, że uda się wyprodukować nawet pędzelek do golenia, który nie łysieje.

PANIE BĘDĄ MOGŁY kupować nieograniczone ilości sztucznej biżuterii z tworzyw, drewna i metalu oraz upiększać domy coraz ładniejszymi porcelanowymi bibelotami.

TYLE DONIESIEŃ OPTYMISTYCZNYCH — choć doprawdy nie wiadomo, czy to wystarczy, aby zadowolić rynek. A w pozostałych asortymentach — będzie co przemysi da. Dać zresztą mógłby sporo towarów niesłychanie atrakcyjnych, m.in.

BARDZO ŁADNE DZIEWIARSTWO nie ustępujące wzorom zachodnim — kupią je pracownicy hurtu, bowiem oferowane ilości, od 500 do 2000 sztuk poszczególnych modeli na kraj nie wystarczy nawet dla ekspedientek.

RAJSTOPY GŁADKIE I WZORZYSTE w kilkudziesięciu kolorach, a także kolorowe skarpetki z naturalnych surowców moglibyśmy mieć, gdyby traktowano sklepy tak samo, jak targową ekspozycję. W detalu jednak należy spodziewać się raczej burych skarpet elastycznych i rajstop „uniwersalnych" w nieokreślonym beżowobrudnym kolorze.

NIE STARCZY DLA WSZYSTKICH bardzo poszukiwanych urządzeń, cszczędzających zużycie paliwa w samochodach: turbinki Kowalskiego i ekonomizera Matuszaka. Producent dostarczy ich 100 tys. sztuk, a rozprowadzane będą wyłącznie przez „Polmozbyty". Cena wraz z obowiązkowym montażem około 18 tys. złotych.

Z MOTORYZACYJNYCH NOWOŚCI — nie pojawiły się na targach samochody (nawet samochód-zabawkę bardzo trudno było znaleźć) zaoferowano natomiast, potrzebny roztargnionym kierowcom, sygnalizator zostawionych świateł — zabawne urządzenie, wydające piszczące dźwięki, jeśli po zamknięciu drzwi samochodowych pozostanie włączone oświetlenie. Ta sama firma zapowiada następny aparat dla zapominalskich — breloczek do kluczy, na który wystarczy zagwizdać, aby klucze odezwały się z każdego kąta, w którym zostały porzucone.

GOSPODYNIOM ŻYCIE UMILI czajnik z gwizdkiem — ale nie takim zwyczajnym, lecz gwiżdżącym melodyjkę. Czajnik dostał medal, ale handlowcy nie bardzo się nim zainteresowali. Trafi więc przede wszystkim do Rzemieślniczych Domów Towarowych.

RÓWNIEŻ w **RDT** można spodziewać się niewielkich ilości szybkowarów, opatrzonych napisem „nowość", zapewne dlatego, że od czasu, kiedy po raz ostatni były w sklepach, upłynęło już tyle czasu, że wszyscy zdążyli zapomnieć, jak takie urządzenie wygląda.

MIŁOSNE LISTY będziemy mogli pisać długopisem, którego tusz pachnie różą. Do bardziej przyziemnych celów długopisy o zapachach kawy, jabłka itp. Pachną naprawdę, są estetyczne i tanie — około 100 zł. (Ale czy będą pisały? — uwaga Redaktora Dyżurnego)

NAJDZIWNIEJSZYM PRZEDMIOTEM jaki zaoferowano handlowcom był natomiast zegarek elektroniczny z... zapalniczką. Świetny przede wszystkim do oparzenia ręki — ale i on znajdzie w sklepach amatorów, zwłaszcza wśród młodzieży.

OPRÓCZ ZABAWNYCH DROBIAZGÓW — o których wyżej — pokazano oczywiście na targach mnóstwo towarów pierwszej potrzeby. Które z nich naprawdę znajdą się w sklepach — zobaczymy we właściwym czasie.

AGATA

---

10 listopada 1986 roku Rada Narodowa Miasta Łodzi przyjęła uchwałę w sprawie przeprowadzenia konsultacji społecznej propozycji zmian granic administracyjnych w województwie miejskim łódzkim oraz utworzenia wspólnych organów władzy i administracji państwowej dla niektórych miast i gmin.

Propozycje dotyczyły: zmiany granic Łodzi, zniesienia gminy Andrespol, zmiany granic Aleksandrowa, Konstantynowa, Ozorkowa, Pabianic i Zgierza, połączenia miast i gmin Ozorków oraz Głowno.

W uzasadnieniu niniejszych propozycji, przygotowanych w Urzędzie Miasta Łodzi, czytamy m.in.: „Obecny podział administracyjny woj. łódzkiego nie pokrywa się w pełni z faktycznymi obszarami powiązań i ciążeń. Wynika stąd szereg niedogodności w zarządzaniu i gospodarowaniu. Ich zlikwidowanie lub chociażby ograniczenie wiąże się z potrzebą zmian granic administracyjnych Łodzi i innych miast oraz niektórych gmin w województwie.

Propozycje zmian zgłaszane są ustawicznie przez mieszkańców poszczególnych obszarów, jak też przez zainteresowane środowiska..."

Co myślą w Ozorkowie o połączeniu miasta i gminy?

Choć dano na zapowiedzi, małżeństwa nie będzie

O tym, jak propozycja połączenia gminy i miasta Ozorków w jeden organizm administracyjny przyjęta została przez tamtejsze społeczeństwo, rozmawiam z naczelnikiem gminy Ozorków, ELŻBIETĄ GIERAGĄ.

— Propozycja utworzenia wspólnych organów władzy i administracji państwowej dla miasta i gminy Ozorków przyjęta została przez społeczeństwo gminy z wielkim niezadowoleniem. Jeszcze przed rozpoczęciem konsultacji, a tuż po ogłoszeniu propozycji w prasie rolnicy z poszczególnych wsi samorzutnie wystąpili z petycjami do władz wojewódzkich, przeciwnymi idei połączenia.

— Jak motywowali swoje stanowisko?

— Motywacja była następująca: chcemy sami decydować o swoich losach. Jesteśmy gminą typowo rolniczą, gospodarujemy na dobrych glebach, osiągamy dobre rezultaty, nasze wsie są prężne, dobrze zorganizowane. Po prostu rolnicy obawiali się, że w przypadku połączenia gminy z miastem ich problemy zejdą na drugi plan, że nie będzie się miał kto nimi zająć tak, jak oni sami się zajmują.

Może gdyby było dosyć środków na załatwienie wszystkich spraw, stanowisko rolników byłoby inne. Ale tych środków jest mało i zaistniała obawa, że po połączeniu siedmiotysięcznej gminy z ponad dwudziestotysięcznym miastem we wspólnej radzie narodowej przeważać będą sprawy miasta, gdyż miasto reprezentować musi więcej radnych. A gdy kołdra jest krótka, każdy ciągnie w swoją stronę. Decyduje większość, tę zaś zawsze miałoby miasto.

— Ale przecież do tej pory środki, jakimi dysponuje gmina, też nie są duże i na pewno nie wystarcza ich na wszystko. Czy znaczy to, że sposób ich wykorzystania w gminie lepszy jest niż w mieście choćby ze względu na większą prężność wsi?

— Nie przeceniałabym tego, choć faktem jest, że rolnicy dysponują nie tylko własnymi rękami do pracy, ale i własnym sprzętem, transportem, swobodniej dysponują czasem niż mieszkańcy miast, co jednak wcale nie znaczy, że w mieście nie robi się niczego w czynie społecznym.

Poza tym, proszę pamiętać o specyfice wsi i jej problemów. Są one inne niż w miastach, zwłaszcza typowo robotniczych, przemysłowych, a do takich przecież należy Ozorków. Myślę, że i tej inności boją się ludzie w naszej gminie. I trudno im się dziwić.

— Sprawy te podnoszone były jeszcze przed rozpoczęciem konsultacji?

— Tak, zaraz po pierwszych informacjach w prasie rolnicy sami zaczęli przychodzić do nas, do Urzędu Gminy i — zaniepokojeni — pytać, co z nimi dalej będzie. Wyjaśnialiśmy, że będą się mogli wypowiedzieć oficjalnie na zebraniach wiejskich, które będą organizowane. Staraliśmy się ich uspokajać i wyciszać niepotrzebne emocje.

— A jak przebiegały te spotkania?

— Zgodnie z propozycją prezydenta Łodzi zebrania konsultacyjne rozpoczęły się 15 grudnia 1986 r. Przeprowadzono ich ogółem w naszej gminie trzydzieści. Prowadzili je członkowie prezydium Gminnej Rady Narodowej w Ozorkowie, Rady Gminnej PRON i kierownictwa Urzędu Gminy, a uczestniczyli w nich także przedstawiciele Urzędu Miasta Łodzi. W sołectwach: Krzeszew, Śliwniki i Gębice dodatkowo brali też udział przedstawiciele Miejskiej Rady Narodowej i Urzędu Miasta w Ozorkowie z uwagi na to, że była propozycja włączenia tych wsi w granice miasta. Ogółem w zebraniach tych uczestniczyło 640 mieszkańców gminy, co świadczy o dużym zainteresowaniu społeczeństwa omawianą tam problematyką.

— Co postanowiono?

— W sołectwie Gębice jego mieszkańcy większością głosów wypowiedzieli się za przyłączeniem do miasta, gdyż we wsi tej przeważają gospodarstwa małe, a wiele osób utrzymuje się głównie z pracy w przemyśle.

W sołectwie Krzeszew mieszkańcy wsi Krzeszew Rządowy i Krzeszew Szlachecki wypowiedzieli się także za przyłączeniem do Ozorkowa, ponieważ na tym terenie rozbudowywać się będzie miasto. W nowym planie zagospodarowania przestrzennego przewidziane są tam bloki. Natomiast ludność trzeciej wsi w tym sołectwie, Aleksandrii przeciwna jest przyłączeniu dlatego, że jest to wieś typowo rolnicza i leży po drugiej stronie trasy E—1. Niewskazane byłoby więc rozwijanie Ozorkowa w tym kierunku.

Co ciekawsze, za przyłączeniem opowiedzieli się też mieszkańcy Biedaszkowa, co jednak w propozycji Rady Narodowej Miasta Łodzi nie było przewidziane. Ale połowa tej wsi już znajduje się w granicach Ozorkowa i podział wsi — wzdłuż głównej ulicy — nie jest najlepszym rozwiązaniem. Stąd właśnie nasza propozycja zaakceptowana przez społeczeństwo.

Na zebraniach konsultacyjnych w pozostałych sołectwach wszyscy niemal jednogłośnie wypowiedzieli się przeciwko tworzeniu wspólnych władz i administracji państwowej dla miasta i gminy Ozorków.

— Jakie argumenty padały najczęściej?

— Przede wszystkim ten, że zbyt częste zmiany administracyjne wprowadzają chaos, zamieszanie i wcale nie ułatwiają życia. Że połączenie miasta i gminy Ozorków stworzyłoby największą w województwie jednostkę administracyjną, którą bardzo trudno byłoby kierować ze względu na odmienność w tym przypadku problemów miasta i wsi. Że nie ma w Ozorkowie budynku, gdzie mogłyby się pomieścić wspólne miejsko-gminne władze, czyli — że nic by się właściwie nie zmieniło, a byłby tylko większy bałagan. Że w przypadku połączenia w Radzie Narodowej przeważaliby radni z miasta. Słowem wszyscy byli zgodni, że dotychczasowa struktura i podział administracyjny bardziej odpowiadają interesom rolników niż po ewentualnym połączeniu.

Padało również szereg innych argumentów, głównie w formie obaw, że po połączeniu mniej środków przeznaczano by na budowę wiejskich wodociągów, budowę wiejskich dróg, szkół, itd., za to więcej na budownictwo mieszkaniowe i gospodarkę komunalną w samym Ozorkowie.

Może nie wypada się chwalić, ale w naszej gminie rzeczywiście dużo robi się w czynie społecznym. Uczestnicy zebrań podkreślali to niejednokrotnie, dodając przy tym, że jest to również nasza zasługa — Urzędu Gminy, że są z naszej pracy bardzo zadowoleni.

Zresztą wszystko to, o czym mówię, zawarte zostało w protokole z posiedzenia naszej GRN.

— Czyżby nie dostrzegane żadnych pozytywów, wynikających z połączenia miasta i gminy? Mówi się przecież o nich w uzasadnieniu do propozycji zmian. Pozwoli Pani, że zacytuję: „Zarówno wielkość obu jednostek (ludność, obszar, liczba gospodarstw), jak występujące niezliczone więzi gospodarcze i społeczno-kulturalne, przejawiające się najczęściej w formie wytworzenia wspólnych instytucji obsługujących zarówno miasto jak i gminę (gminna spółdzielnia „SCh" łącznie z bazą magazynową i siecią handlową, bank spółdzielczy, szpital, ośrodek zdrowia, apteka, lecznica weterynaryjna, poczta, szkolnictwo ponadpodstawowe, spółdzielnia mleczarska itp.) uzasadniają celowość dalszej ich integracji — poprzez utworzenie wspólnej rady narodowej, wspólnego urzędu administracyjnego, a także wspólnych instancji partyjnych". I dalej: „Powstanie jednego urzędu — miasta i gminy, grupującego kadry dotychczasowych obu odrębnych urzędów, umożliwi dalszą specjalizację pracy, a także wzmocnienie statowe poszczególnych komórek administracyjnych..."

— Powtarzam, że społeczeństwo gminy było odmiennego zdania, któremu dało wyraz na zebraniach konsultacyjnych. Chociaż odbywały się one w czasie dużych mrozów, atmosfera była gorąca, a przedstawicielom łódzkich władz często brakowało argumentów, by przekonać rolników do idei połączenia. Jestem przekonana, że nie było to podyktowane przez jakąś przekorę, czy też bezzasadną niechęć, ale wynikało — powiedziałabym — z mądrości życiowej rolników. Po prostu oni najwięcej wiedzą o problemach wsi i czują się w pełni odpowiedzialni za to, co dzieje się w ich gminie. Chcą więc dalej sami decydować o swoich sprawach.

— Nie zaprzeczy pani jednak, że wiele instytucji zlokalizowanych w Ozorkowie świadczy usługi także dla ludności wiejskiej?

— Niewątpliwie, zwłaszcza dla mieszkańców najbliżej położonych wsi. W materiale przygotowanym przez Urząd Miasta Łodzi, a będącym podstawą konsultacji, pomija się jednak wiele faktów, co zniekształca po części ogólny obraz naszej gminy.

Mówi się na przykład, że rolnicy korzystają z miejskiego ośrodka zdrowia. A przecież my mamy w gminie trzy własne ośrodki — w Sokolnikach-Parceli, Solcy Wielkiej oraz w Leśmierzu — i naszą troską jest, by były one nie gorzej wyposażone niż podobne placówki w mieście. W Ozorkowie jest aparat do badania ekg — dla miasta i gminy Ozorków oraz dla gminy Parzęczew. Dzięki pomocy zakładów pracy znajdujących się na naszym terenie w tym roku gmina Ozorków dysponować będzie dwoma własnymi aparatami ekg.

Mamy także gminną aptekę w Leśmierzu, urzędy pocztowo-telekomunikacyjne w Solcy, Sokolnikach i Leśmierzu, cała sieć handlowa Gminnej Spółdzielni mieści się na terenie gminy a w Ozorkowie jest tylko magazyn obrotu rolnego i biura geesu. Podobnie jest w przypadku spółdzielni mleczarskiej czy SKR, podlegających pod Urząd Gminy. Jednostki te, zlokalizowane w mieście, świadczą jednak usługi dla mieszkańców gminy, nie zaś — Ozorkowa. Zresztą Urząd Gminy również znajduje się w mieście, ale i to przecież nikomu nie przeszkadza.

— Mówiła pani do tej pory o opiniach rolników, wyrażanych podczas zebrań konsultacyjnych. Czy z punktu widzenia pani jako naczelnika gminy rolnicy mieli rację negatywnie opiniując propozycje zmian?

— Panie redaktorze, społeczeństwo gminy Ozorków negatywnie zaopiniowało jedynie tę część propozycji, która dotyczy zmian nie przynoszących — jego zdaniem — widocznych korzyści. Tam zaś, gdzie propozycja rzeczywiście wychodzi naprzeciw postulatom mieszkańców, opinia była pozytywna.

Jeżeli chodzi o mnie, to uważam, że mieszkańcy naszej gminy wykazali wiele rozsądku i jeszcze raz udowodnili, iż czują się prawdziwymi gospodarzami swego terenu. Moim zadaniem jest działać tak i tak kierować pracą Urzędu Gminy, aby realizował to, co postanowi Gminna Rada Narodowa, ale i czego oczekuje od nas w dobrze pojętym interesie państwa władza zwierzchnia, czyli prezydent Łodzi.

— Podobne konsultacje odbyły się również w samym Ozorkowie.

— Tak, i z tego, co wiem, mieszkańcy miasta również wypowiedzieli się przeciwko połączeniu. To znaczy pozytywnie przyjęli tylko propozycję włączenia do miasta wsi: Krzeszew Rządowy, Krzeszew Szlachecki, Gębice i Biedaszków oraz — w przeciwieństwie do rolników — wsi Aleksandria i jeszcze dalej położonego Helenowa.

— Pani naczelnik, po Łodzi rozeszły się pogłoski, że najbardziej przeciwni idei utworzenia wspólnych władz miejsko-gminnych są urzędnicy, gdyż część ludzi musiałaby wtedy zmienić pracę lub opuścić zajmowane dotychczas stanowiska.

— Fakty, jakie przedstawiłam, zdecydowanie temu przeczą. Nie wiem, kto rozsiewa te pogłoski, ale ja na przykład nie mam żadnych podstaw, by obawiać się o swój dalszy los, gdybym musiała opuścić stanowisko naczelnika gminy. W administracji państwowej pracuję już dwadzieścia pięć lat, zawsze starałam się jak najlepiej wywiązywać z obowiązku służenia społeczeństwu i sądzę, że zasłużyłam sobie na to, aby w przypadku odejścia dostać odpowiednią pracę. Moje miejsce jest tam, gdzie mnie potrzebują, a zajmowane stanowisko to sprawa drugorzędna. Przyzwyczaiłam się już do tego.

Poza tym, panie redaktorze, ja stanowczo zabroniłam podlegającym mi pracownikom wypowiadać się na temat propozycji połączenia, a na zebraniach konsultacyjnych zabierałam głos dopiero na samym końcu — właśnie, by społeczeństwu niczego nie sugerować, niczego nie narzucać. Tak samo postępowali też inni prowadzący zebrania w naszej gminie. Tak, że ta plotka jest dla mnie i dla wszystkich pracowników Urzędu Gminy obraźliwa, choć nie bierzemy jej głęboko do serca, gdyż nie mamy sobie nic do zarzucenia.

— Oczywiście nie chciałem moim pytaniem nikogo obrazić, jednak z dziennikarskiego obowiązku...

— Rozumiem. I powtarzam jeszcze raz: jestem w gminie reprezentantem władzy zwierzchniej, ale jednocześnie wykonawcą uchwał własnej Rady Narodowej. Mogłam mieć swoje prywatne zdanie, jednak uważałam, że nie wolno mi go głośno wypowiadać na zebraniach konsultacyjnych. I tak też było.

— Pozwoli więc pani, że zapytam teraz, jakie było i jest pani prywatne zdanie. Po zakończeniu konsultacji można je już przecież ujawnić, prawda?

— W pełni zgadzam się ze zdaniem rolników, gdyż sama pochodzę ze wsi, mieszkam na wsi, znam jej problemy i wiem, jak trudno je rozwiązywać. Dlatego uważam, że wieś sama powinna decydować o swoich losach — demokratycznie i samorządnie, ponieważ wtedy oddolne inicjatywy — a tych nam najbardziej potrzeba — mają największą siłę przebicia. Wiem także z doświadczenia, że szczerze rozmawiając z rolnikami nawet na najtrudniejsze tematy, zawsze można na nich liczyć, że nie zawiodą, kiedy chodzi o dobro kraju.

— W świetle tego, co pani powiedziała, nie sposób oprzeć się refleksji: skąd w ogóle wziął się pomysł połączenia miasta i gminy Ozorków w jeden organizm?

— Wydaje mi się, że gdyby przed opracowaniem i ogłoszeniem tego projektu jego autorzy przyjechali do nas, lepiej poznali sprawy, jakimi żyją mieszkańcy gminy, propozycja zmian administracyjnych byłaby bardziej wyważona i nie wzbudziła tylu niepotrzebnych emocji.

— Dziękuję serdecznie za rozmowę.

Rozmawiał:
PAWEŁ TOMASZEWSKI

Co dzieje się w kabinie kinooperatora, gdy siedzimy na sali i oglądamy film? Czy łódzki „Prexer" jest monopolistą? Dlaczego u nas nie może być wielkich kin?

Kino w kinie

WŁODZIMIERZ KUPISZ

Nierówne oświetlenie ekranu w największych przybytkach X Muzy. Kilkuminutowe przerwy z powodu braku wprawy operatorów w przełączaniu jednego projektora na drugi. A w najlepszym wypadku kilka chociaż sekund — kontemplacji napisu: **„koniec aktu"**, nieraz w kulminacyjnym punkcie akcji. Dźwięk chrypiący. Dźwięk szepcący. Dźwięk siłą przypominający ryk startującego „Concorde". Szeroki wachlarz możliwości, zaiste!

Już od wielu lat mistrz

ZYGMUNT KAŁUŻYŃSKI PROPAGUJE

ideę tłoczenia napisów na polskich filmach. Jak do tej pory jest to głos wołającego na puszczy. Jednakże spełnienie tego postulatu miałoby niewątpliwie wpływ, i to rewolucyjny, na interpretację rodzimych dzieł. A kto wie, czy nie stanowiłoby przełomu w krytyce filmowej, od kilku lat uświadamiającej nam, że twórcy poza paroma wyjątkami, popełniają dzieła ku zadowoleniu co najwyżej najbliższej rodziny i znajomych. Albowiem krytyk i widz nie słyszą trzech czwartych dialogów!

Aleksander Krasnopolski, szef działu technicznego Okręgowego Przedsiębiorstwa Rozpowszechniania Filmów w Łodzi opowiadał kiedyś o tym, że w Szwecji większość kin ma aparaturę liczącą ponad 30 lat, ale dzięki znakomitej konserwacji i sprawnej obsłudze, z powodzeniem służy jeszcze widzom na prowincji.

Nawet w małych naszych ośrodkach trudno byłoby znaleźć tak wiekowy sprzęt. Jednak wymowa cyfr sugeruje odmienny od szwedzkiego obraz sytuacji. Otóż dystrybutor projektorów — warszawska Centrala Techniczno-Handlowa FOTO—KINO—FILM potrzebuje w ciągu roku wymienić 300 aparatów na nowe. Jedyny rodzimy dostawca — Zakłady Kinotechniczne „Prexer" w Łodzi — w 1986 roku wyprodukowały ich 76, nie licząc sprzętu dla zagranicy. Ponieważ w kinie współpracują z sobą zawsze 2 projektory, łatwo wyliczyć jak niewiele placówek będzie miało do zaoferowania projekcje o wyższym standardzie.

Czesław Nowiński, zastępca dyrektora „Prexeru" do spraw ekonomicznych nie kryje, że gdyby można ich było sprzedać więcej za granicę, polski klient przegrałby taki przetarg w przedbiegach. Taki jest interes przedsiębiorstwa. Żywotny interes. Gdy tylko wicedyrektor Czesław Nowiński usłyszy, że ktoś

ŚMIE WYZYWAĆ JEGO FIRMĘ OD MONOPOLISTY

natychmiast wytacza ciężką artylerię argumentów. Organ założycielski może stworzyć dowolną liczbę nowych wytwórni. „Prexer" nie ma powodu bać się konkurencji. Faktycznie, niestraszna to konkurencja, która wcale nie grozi w najbliższych latach. Albo nawet już nigdy, skoro rozpowszechnione wideo przegoni publiczność z kin. Ale to po roku 2000 najwcześniej!

Tadeusz Piorun, szef kontroli jakości w „Prexerze" tłumaczy niskie zdolności produkcyjne zakładu — ogólnym brakiem materiałów. Projektory szerokotaśmowe 35 mm należą do kilku podstawowych rodzajów urządzeń wytwarzanych w firmie. Wynika z tego, że powiększenie produkcji jednego asortymentu, odbije się automatycznie na pozostałych. Ustalonych proporcji na razie nikt nie pragnie zmienić, choć brak na rynku — na przykład kopiarek — jest znacznie poważniejszy od niedostatku aparatów projekcyjnych.

Do montażu wystarczają co prawda podzespoły i materiały powstające w Polsce, ale nawet, gdyby znalazło ich się nieco więcej, pomimo trudnych warunków zaopatrzeniowych, produkcji nie zwiększono by, bo „wąskim gardłem" zakładu jest niedostatek, przykładowo: ludzi do obsługi i silników do urządzeń tokarskich i frezerskich. Muszą zaś przejść przez nie skomplikowane pod względem obróbki elementy.

Projektory są systematycznie modernizowane. Powstają one na przyzwoitym poziomie europejskim; dzięki temu przede wszystkim znajdują nabywców na Zachodzie, ale liczy się także ich konkurencyjna cena. Jak każdy mechanizm, wymagają przeglądów, remontów w warsztatach Okręgowego Przedsiębiorstwa Rozpowszechniania Filmów, a tu fachowców jak na lekarstwo. Niezbędna jest wysoka kultura obsługi. Szefowie kinokabin w oddalonych od Łodzi ośrodkach, na wypadek awarii muszą liczyć przede wszystkim na własną rutynę. Zdarza się, że doraźnie muszą im wystarczyć wskazówki przekazane przez mechaników telefonicznie.

Zanim rzucą pierwszy snop światła na inauguracyjnej projekcji, przechodzą atestację Filmowego Ośrodka Badawczo-Rozwojowego — już po zamontowaniu w kabinie. Zmotoryzowana brygada z ośrodka bada nie tylko jakość obrazu i dźwięku, ale również układ odprowadzający

SZKODLIWE DLA ZDROWIA GAZY

Pojawiają się one z powodu obecności lampy ksenonowej dużej mocy. Otóż 2 elektrody znajdujące się w szklanej bańce, wypełnionej gazem szlachetnym — ksenonem, podczas żarzenia powodują jonizację powietrza na zewnątrz szklanej pokrywy oraz wytworzenie dużych ilości ciepła. Zjawisko to przypomina zupełnie procesy zachodzące w czasie wyładowania atmosferycznego. Bowiem wewnątrz niehermetycznego korpusu projektora gromadzą się: ozon i dwutlenek azotu.

Ciepło i gazy są wypychane rurami do przewodu kominowego, a następnie na zewnątrz przy pomocy wentylatorów, umieszczonych w latarni. Działa to wszystko na ogół bez zarzutu. Wentylatory nawiewne wywołują w kabinie nadciśnienie. Dwutlenek azotu i ozon zostają usunięte przy wykorzystaniu sił grawitacji. Identycznie dzieje się z dwutlenkiem węgla wyciąganym z pieca przez komin.

Najczęściej, w obecności zmotoryzowanej brygady z Filmowego Ośrodka Badawczo-Rozwojowego, wiatr wieje w prawidłowym kierunku, a ciśnienie powietrza atmosferycznego jest w normie. Kino działa jednak non stop. Warunki zewnętrzne zmieniają się, a podmuchy wichury wtłaczają toksyczne gazy z powrotem do... projektora. Z niego już prosta droga do kabiny. Każdy operator wie, że trzeba ją wtedy przewietrzyć, ale jak to zrobić, gdy za oknem mróz, a galeryjka niedogrzana?

Zatrute powietrze jest czymś naturalnym i trudnym do wykrycia w ciasnych kabinach jak na przykład w „Wolności", gdyż obsługa przyzwyczaja się do tego nienormalnego stanu. Szef kabiny **Mieczysław Klompka** — 42 lata pracy przy projektorach — mówi, iż są takie dni, kiedy po 6 godzinach spędzonych na galeryjce pojawia się ból głowy przechodzący w otępienie. W takim stanie trzeba wytrzymać 2—3 godziny do końca dyżuru! Objawy te znikają po spacerze na świeżym powietrzu.

Bogdan Twarożyński z kina „Bzura" w Łowiczu, 33 lata w zawodzie, dorzuciłby do tych spostrzeżeń także swoje: emisję gazów zwiastuje zgniły, spleśniały zapach.

Operatorzy przechodzą co rok obowiązkowe badania lekarskie. Do wynagrodzenia wlicza im się dodatek za pracę w warunkach szkodliwych dla zdrowia: 1,80 zł za godzinę. Dla znawców przedmiotu w „Prexerze" jest to argument. Tak śmiesznej wysokości rekompensata jest adekwatna do stopnia zagrożenia zdrowia.

Franciszek Szczepanek, kierownik sekcji projektorów w Biurze Konstrukcyjnym Zakładów Kinotechnicznych tłumaczy, że nikt na świecie nie robi hermetycznych korpusów, bo w ten sposób utrzymuje się odpowiednie ciśnienie w urządzeniu. Istnieje tendencja do miniaturyzacji projektorów, a więc i wentylatory w latarni nie mogą być za duże, zwłaszcza że nadmierne ochłodzenie kolby ksenonowej prowadzi do zaciemnienia obrazu na ekranie. Podobno do kraju trafiają już lampy ksenonowe bezozonowe, przyczyniające się co prawda jeszcze do powstania dwutlenku azotu, ale w ilościach obojętnych dla zdrowia.

Jan Gawroński z OPRF w Łodzi zgłosił wniosek patentowy na dodatkowe urządzenie wspomagające wyciąg szkodliwych gazów. Jest to „kominek" z wentylatorem wyciągowym, zakładany na latarnię. Nie przepuszcza on powietrza płynącego z góry, gdy ciśnienie atmosferyczne spada, a ciąg grawitacyjny ustaje. „Kominki" montowano w warsztacie mechanicznym OPRF. Teraz, kiedy rażąco spadło w nim zatrudnienie, wytwarzane są sporadycznie w dziale technicznym. Od 2 lat mechanicy starają się zakładać je tam, gdzie behapowiec stwierdzi nadmierne przedostawanie się gazów do kabiny.

SKARGI, ZAŻALENIA, GROMY

spadają na głowy kinooperatorów, raz słusznie, raz nie jak to na karuzeli życia bywa. Najsprawniejszy projektor nie wystarczy, żeby obraz był idealny od początku do końca. Wiele zależy od lampy. **Mieczysław Zaleski**, szef kabiny „Romy", 22 lata na galeryjce, z łezką w oku wspomina żywotność lamp w okresie życia na kredyt. Używane w obecnej dekadzie kolby węgierskie służą trzykrotnie krócej. Pokazuje zapiski. Norma mówi o 1800 godzinach pracy. Niektóre egzemplarze są wymieniane po 2—2,5 tysiącach godzin. Tak jest we wszystkich kinach.

Lampa kosztuje około 30 tysięcy złotych. Przyjęło się je oszczędzać. Gdy po upływie okresu gwarancji pojawią się pierwsze wahania łuku, które widz może rozpoznać po przyciemnionym w stosunku do reszty boku ekranu, operator „podamperowuje" lampę, to znaczy zwiększa napięcie prądu przepływającego przez prostownik i jest okay. Robi to także, gdy bańka ciemnieje, wraz z nią cały obraz. Czasami, raczej rzadko, „podamperowanie" bywa wymuszane spadkiem napięcia sieciowego.

Wicedyrektor **Kwiatkowski** z „Prexeru" twierdzi, że takie praktyki zwiększają prawdopodobieństwo wybuchu w projektorze. Wtedy oszczędność jest pozorna — zniszczone eksplozją zwierciadło kosztuje znacznie drożej od tego, ile można byłoby wygospodarować forintów — przedłużając żywotność kolby. Operatorzy wiedzą znów, że lampa najczęściej wybucha na długo przed upływem gwarancji, gdy stężenie ksenonu w bańce jest największe. Powody mogą być różne: wada fabryczna, niewłaściwe ułożenie podczas transportu itp.

GDY WIDZOWIE ZACZYNAJĄ TUPAĆ I GWIZDAĆ NA SALI

oznacza to, że żaden z operatorów, a przeważnie jest ich dwóch, nie widział przez okienko znaków na taśmie i nie zdołał na czas przełączyć jednego projektora na drugi z dalszym ciągiem filmu. Jest to niedbalstwo obsługi, gdyż ma ona do dyspozycji tak zwaną półautomatykę wspomagającą ją w wykonaniu czynności. Projektory nowej generacji wyposażone w system elektroniczny nie wymagają przy tej czynności obecności obsługi, choć automatyka też rzadko, bo rzadko, ale może kiedyś zawieść.

Regulacja dźwięku jest jednym z podstawowych obowiązków obsługi. Operator powinien zawsze sprawdzać słyszalność, a w sukurs powinny mu iść bileterki. Podczas seansu niezbędna jest zwyczajna czujość. Konia z rzędem bileterce, która poświęci się — oglądając po raz setny ten sam film i w porę zawiadomi kabinę o defekcie.

Bywa — wspominał kiedyś **Aleksander Krasnopolski** z OPRF, że gdzieś w terenie operator zatrudniony na parę godzin tygodniowo przyjdzie pijany do pracy. Jego wina jest ewidentna.

Czasem ścieżka dźwiękowa jest porwana, bądź to z powodu zanieczyszczenia taśmy, bądź licznych sklejek. Norma dla kopii to 400 seansów. „Duch" był ostatnio zaprezentowany w „Romie" po raz 762. Daleko mu do rekordu „Siedmiu wspaniałych". Jedna z jego kopii była wyświetlana 2200 razy.

Kinooperator musi przejrzeć dopiero co trzymane taśmy. Pęknięte na perforacji klatki należy wyciąć, złączyć na sklejarce. Przy poważniejszych defektach spisuje się protokół. Gruntowną konserwację powinna przejść kopia po „zejściu" z kina do magazynu. Kopie nawet stuprocentowych hitów — ze względów oszczędnościowych tłoczy się w ograniczonej ilości. Gdy znajdują się w „cyklu" — przez wiele miesięcy krążą non stop między kinami. Ich stan po zmagazynowaniu jest okropny.

Klepska ostrość bywa spowodowana niedbalstwem obsługi, ale zdarza się że po konserwacji taśma zostaje powleczona specjalnym lakierem, uniemożliwiającym właściwą regulację obiektywu. Nie są rzadkością filmy, których autorzy eksperymentują z obrazem. Podczas kręcenia zdjęć zakładają na obiektywy kamer różne filtry. Maniera twórców to katorga dla masowego widza. Niezasłużone nieprzyjemności spadają na personel... kina. Inne tłumaczenie, to niewłaściwa technologia obróbki kopii. Używanie w procesie technologicznym nie najlepszego podłoża.

I na koniec „rodzynek" co się zowie. Pewna liczba kin wielkością i standardem mogłaby konkurować ze światowymi przybytkami X Muzy, gdyby nie to, że nie ma w nich projektorów z lampami o mocy, przystosowanej do takiej wielkiej płachty ekranu i długości sali.

Mówi: Władysław Klimczak

— Jadąc do Krakowskiego Towarzystwa Fotograficznego zastanawiałem się, o co mam pytać jego prezesa: czy o międzynarodowy salon wystawowy „Venus", czy o Muzeum Historii Fotografii czy też zacznę od motoryzacji...

— Odpowiem na każde pytanie.

— Wobec tego — jakie były początki salonu „Venus"?

— Burzliwe. Pierwszą wystawę aktu zorganizowałem w 1970 r. i od tego czasu, a było tych wystaw siedemnaście, nie zaznałem spokoju: procesy sądowe, napaści, szczucie, kalumnie, włamania. Doszło do tego, że usiłowano mnie wypędzić z Krakowa.

— A pan się zaparł i nie ustąpił...

— Nie ustąpiłem. Proszę dobrze zrozumieć czym zawsze był i jest Kraków: to 70 kościołów, setki księży, drobnomieszczańskie tradycje, naukowa powaga, solenność, koturnowość, świętość. I w to wszystko wkracza nagość!

— Jak przyjęto pierwszą wystawę?

— Wówczas mieliśmy siedzibę na Stolarskiej, a kolejka chętnych sięgała do Małego Rynku. Dużą reklamę robili nam księża i nauczyciele: wystarczyło, że potępili i wyklęli wystawę, a ludzie natychmiast pędzili ją obejrzeć. Większość ludzi od księży i nauczycieli dowiadywała się, że coś takiego jest.

— Mówiono, że zrobił pan na tej wystawie majątek...

— Czego to nie mówiono! Mam całe teczki paszkwili pisanych do mnie, w których zarzuca mi się, że szerzę pornografię, prostytucję, propaguję zboczone praktyki seksualne, że demoralizuję. Właściwie przeciwko sobie miałem wszystkich: księży, nauczycieli, część społeczeństwa, władze miejskie, a nawet MO...

— A kto stanął w pańskiej obronie?

— Prasa, dziennikarze. Im zawdzięczam, że „Venus" nie została pogrzebana. Pisali dużo, natrząsając się z koltuństwa, drobnomieszczaństwa, fałszywej pruderii. Wie pan, nie przypuszczałem, że w Krakowie jest jeszcze tyle pań Dulskich!

— Skąd u pana ta pasja do fotografowania i fotografii?

— W latach okupacji będąc żołnierzem AK należałem do tzw. kolportażu i wykonywałem zdjęcia niemieckich obiektów wojskowych. Po wojnie, przez długie lata, byłem reporterem w „Dzienniku Polskim". I tak już zostało; w 1961 zostałem prezesem KTF.

— Krakowskie Towarzystwo Fotograficzne zostało założone w 1895 r. Od 25 lat jest pan jego prezesem. Jak wielkie są zbiory, nad którymi sprawuje pan pieczę?

— Ogromne. W 24 pomieszczeniach zgromadzonych jest ponad 2 mln zdjęć i 3 tysiące aparatów fotograficznych. Ponadto mamy olbrzymią bibliotekę fotograficzną zawierającą tzw. białe kruki, pozycje, jakich nigdzie w Polsce nie ma.

— Wszystko opracowane, skatalogowane?

— Och, nie, zaledwie 100 tys. opracowano w negatywach, stykach i w numeracjach czyli w sygnaturach. Na uporządkowanie wszystkiego nie wystarczy i dwudziestu lat.

— Ile osób aktualnie tym się zajmuje?

— Kiedyś było nas 15, dziś 3. Nie mamy pieniędzy, taka jest obecnie rzeczywistość w kulturze.

— Za to rysują się wspaniałe perspektywy.

— Jest pan pierwszym dziennikarzem, któremu pragnę podać następującą informację: otóż od 31 grudnia 1986 r. nasze Muzeum Historii Fotografii zostało upaństwowione. Prezydent miasta Krakowa podpisał ten ważny dla nas akt nr 73/86. To niezwykle ważna decyzja, która gwarantuje, że zgromadzone zbiory nie ulegną rozproszeniu lub zniszczeniu.

— Są aż tak cenne?

— Proszę pana, przecież to majątek narodowy. Tu przyjeżdżają ludzie z całej Polski pisać prace magisterskie i doktorskie, tu mamy zbiór pięknych dagerotypów z lat 1842, 1844 i 1846. Posiadamy także unikalny w skali Europy dagerotyp w złotej kopercie w medalionie. Mamy prawie pięćset autochromów z wynalazku braci Lumiere, czyli pierwszych barwnych przeźroczy wykonanych metodą skrobi ziemniaczanej sprasowanej pod ciśnieniem siedmiu ton między dwiema szybami. Pochodzą one z lat 1907—1914. Przedstawiają zabytki Krakowa i okolic. Autorem ich jest Tadeusz Rząca, ówczesny prezes KTF, przyjaciel Lumierów. Nigdzie w Europie nie zachowało się tyle autochromów co u nas, w Krakowie.

— Co jeszcze znajduje się w obecnych 24 pokojach wynajmowanych przez Krakowskie Towarzystwo Fotograficzne?

— Wielkie Centralne Archiwum Fotografii Harcerskiej. Mamy ponad 30 tysięcy zdjęć z lat 1911—1945 poświęconych ZHP. Ponadto są tu dziesiątki tysięcy zdjęć świadczących o martyrologii narodu polskiego, wielka panorama krajobrazu polskiego, poważne zbiory rękopisów różnych instytucji, korporacji itp. Słowem, owe 24 pokoje są zawalone aż po sufity.

— Ile godzin na dobę pan pracuje?

— Dla mnie doba jest za krótka. W domu bywam, ale nie prowadzę życia prywatnego: kładę się spać o wpół do jedenastej, a wstaję o 4 lub 4.30 i zaczynam pracować. Odpisuję na liczne listy, przygotowuję artykuły itp. Później przychodzę tutaj...

— A życie towarzyskie?

— Nie prowadzę takowego. Widzi pan, ja nie palę, nie piję alkoholu, nie lubię przesiadywać w kawiarniach, nie chodzę na brydża, nie gram w szachy. Przecież to pochłania tyle czasu...

— Ma pan przyjaciół?

— Przyjaźnię się z dziesiątkami, co ja mówię, z setkami ludzi w kraju i za granicą, ale wyznam, że moim największym przyjacielem jest sen. I to sen regularny. Muszę spać 5—6 godzin na dobę.

— Zna pan języki obce?

— Bardzo dobrze niemiecki, słabiej angielski, francuski i rosyjski. Wie pan ja choruję na dociekliwość. Polega to na tym, że nie mogę puścić niewiedzy w niewiedzę. To znaczy, że jeśli czegoś nie wiem, to nie przechodzę nad tym do porządku, ale muszę dojść co to znaczy, jak to się stosuje, co to jest.

— Poza fotografią lubi pan samochody...

— O, tak, jestem człowiekiem motoryzacji, oczywiście tej powojennej.

— Pański pierwszy samochód?

— „Steier 200", drzwi otwierane jak do szafy, wóz szerokachny i wielki. A prawo jazdy robiłem w 1944 r. w szkole Zygmunta Łaszcza w Krakowie na „Oplu P4". Obecnie mam dużego „Fiata" i jest to mój czterdziesty samochód w życiu.

— Ostatnie pytanie: co pan sądzi o Władysławie Klimczaku? Kto to jest?

— Wariat. Skończony wariat. Przecież tzw. normalny człowiek nigdy nie robiłby tego, co ja robię, nie wytrzymałby presji życia!

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

Mirosław Oczkowski

★ ☆ ★

zajrzyj do mnie
nie na godzinę czy też dwie
lecz na wieczność
w tych stronach
nie ma dzikich miejsc

zanurz dłonie w tą zwykłą szarość
opowiedzą ci co czują
to tak niewiele
by zatrzymać nimi
imię moje

przyjdź:
poczęstuję cię herbatą
porozmawiamy o tych
którym lepiej się powodzi
niż tobie i mnie
tyi zwykły przechodzień i ja.

★ ☆ ★

jesteśmy
każdy z nas
w nieodgadniętych przestrzeniach
między rzeczywistością
a teorią bytu
zagubieni
w prasowych doniesieniach
szukamy wraz ze swym bogiem
rąk cierpliwych
czułości kobiet
pachnących bielą
spokojnych ulic
i oświetlonych okien
wciąż poszukujemy
między kolejnymi zwątpieniami
świata
gdzie można
spożywać chleb w spokoju
i wyrastać ponad zło
stając się lepszymi
o każde spojrzenie
w niebo

★ ☆ ★

muszę spojrzeć
w oczy
odczytać strach i odwagę
odkryć was
pełnych absurdu
gniewu i zwątpień
muszę znaleźć ścieżki
do waszego świata
tak splątane codziennością
chcę wreszcie wiedzieć:
gdzie swą stopę postawić
na tej ziemi
na chodniku
w tym mieście
tak m o c n o
by nigdy już nie upaść
na kolana...

★ ☆ ★

nie wierz mi:
codziennie
o czymś zapominam
codziennie
ubywa mnie
coraz mniejszy jestem
nie wierz mi:
każde słowo wybucha
z inną siłą
każde słowo
prowadzi mnie gdzieś indziej
nie tam, gdzie chcecie
wbrew przyciąganiu
i jak tobie
która jesteś za szybą
ukazać siebie
wyznać prawdę
nigdy dotąd jeszcze
nie odkrytą
w żadnym z mych wierszy
wierz mi...
to są zwyczajne wiersze
ubrane tylko w roboczy kombinezon

★ ☆ ★

niosę ciebie
od świtu do łez
przede mną
księżyce odwrócone
za plecami
ból oddalania

★ ☆ ★

nie żądaj niczego
ponad to co ci mogę dać:
słabość woli
kilka drobnych wierszy
tak odejdziesz w tłum
zmienisz twarz
stara bieda będzie nową
niedostatku jakby mniej
żalu coraz więcej
niedomówień tyle
by sprzedać siebie
kawałek
po kawałku.

Choroba duszy

Zaćma — inaczej katarakta — to poważna choroba oczu. „Zaćma" to także tytuł nowej książki Ryszarda Binkowskiego, autora znanych powieści obyczajowych, jak np. „Pójdziesz ponad sadem", „Latoś wesel nie będzie", czy ostatnio wydana „Eksmisja". W „Zaćmie" nawiązującej tematyką i stylem do wymienionych tu utworów, Binkowskiego nie interesuje jednak tytułowe „zmętnienie soczewki" — interesuje go zmętnienie duszy. Akcja powieści toczy się bowiem wśród ludzi dotkniętych chorobą, dosłownie i w przenośni, odbiegających w jakiś sposób od normy, jakkolwiek nieostre i nieprecyzyjne byłoby to pojęcie. Główny bohater, młody dziennikarz i reporter, niezbyt rozpieszczany przez przełożonych i niektóre osoby „postronne" ze względu na przesadną dociekliwość, usiłuje rozwikłać pewną tajemniczą sprawę, której nici prowadzą na wieś i do małego miasteczka, pozornie spokojnego i zwyczajnego, lecz w rzeczywistości przypominającego przysłowiowy Dziki Zachód, tyle że w naszym, rodzimym wydaniu. Na tle środowiska alkoholików, wykolejonych zboczeńców, nieletnich bandytów, złodziei, tym jaskrawiej uwydatniona zostaje postawa Ewy, młodej nauczycielki wiejskiej, postaci tragicznej i bohaterskiej zarazem, przypominającej nieco pamiętną Siłaczkę Żeromskiego, lecz przedstawionej przez Binkowskiego na sposób lekko ironiczny, groteskowy, okrutnie realistyczny. Próżno by szukać w „Zaćmie" okruchów romantyzmu czy idealizmu, bowiem w tym świecie nie istnieje hierarchizacja, wartości uległy dewaluacji, a wszelkie normy i reguły, łamane i gwałcone przez przedstawicieli wszystkich warstw społecznych równie bezmyślnie i z równą bezkarnością, nie znajdują już żadnego zastosowania. Zbrodnia, stanowiąca kulminacyjny punkt powieści, jest zaledwie prostą i logiczną konsekwencją opisywanych wydarzeń, tworzących makabryczną, nieomal surrealistyczną rzeczywistość, niestety, nie tylko powieściową.

Brutalny naturalizm „Zaćmy" może zapewne budzić sprzeciw, lecz w każdym przypadku będzie to sprzeciw nieuzasadniony, jeśli tylko wziąć pod uwagę intencje autora i poświęcić choć chwilę na przemyślenie przejmującej wymowy książki. Chowanie głowy w piasek i udawanie, że nie dostrzega się tego, co dzieje się na naszych oczach, jest nie tylko tragikomiczne, jak poucza Andersen, ale także czyni biernych obłudników współwinnymi zła, które stanowi zagrożenie społeczne, prowadzi do nieprawidłowości, nadużyć, patologicznej obojętności na ludzką krzywdę i cierpienie. Trudno polemizować z poglądami autora, jako że „Zaćma" pozbawiona jest odautorskich wtrętów, ocen, opinii, wypowiadanych expressis verbis sądów — reporterski, telegraficzny styl, błyskotliwy, acz „zbliżony do oryginału" i nieco podretuszowany dialog uliczny, zwięzłe, odarte z ozdobników opisy, to po prostu kawałek swojskiej współczesności, samo życie, wobec którego tracą znaczenie wszelkie arbitralne dyskusje i spory.

Daleko przecież idące uprawnienia fikcji literackiej wykorzystuje Binkowski nie dla pobudzenia niezdrowych emocji czy wywołania rumieńców oburzenia, lecz dla przeprowadzenia bolesnej kuracji wstrząsowej (a więc w celu terapeutycznym), mającej wyrwać czytelnika z myślowego i wolicjonalnego letargu. I dlatego niech nikt nie da się nabrać na sensacyjną, wielowarstwową fabułę tej książki, na oddany wierne żargon środowiskowy czy sprawnie skądinąd poprowadzony wątek kryminalny — ważne są fakty, nie stylizacja językowa, tak jak kwestią drugorzędną jest tożsamość zbrodniarza i pikantne szczególiki obyczajowe, albowiem należy zastanowić się przede wszystkim, dlaczego „musiało do tego dojść", co jest przyczyną moralnej degeneracji człowieka, stawiającego siebie i innych w sytuacjach ostatecznych, wyzwalających mechanizmy najbardziej nikczemnych, bezwzględnych instynktów, będących zaprzeczeniem ludzkiej godności i uczuciowości. „Szekspirowskie" namiętności człowieka ponoszą tu winę tylko częściowo. Za czyny jednostek w pewnym sensie odpowiedzialny jest Każdy, czyli Nikt. Ale każdy odpowiedzialny jest w pierwszym rzędzie za siebie. Uosobieniem powyższego truizmu, szalenie niewygodnego i krępującego opacznie pojmowaną „swobodę" człowieka, jest w „Zaćmie" silna i niezależna od otoczenia nauczycielka Ewa oraz buntowniczy dziennikarz Paweł, na własną rękę dochodzący prawdy wbrew koteryjnym naciskom, ryzykujący życiem i posadą dla „idei". Wydawałoby się zatem, że promyczek nadziei, kończący powieść Binkowskiego, nie jest pozbawiony racjonalnych podstaw A jednak w zdawkowym optymizmie kryje się głęboka delikatna ironia...

MACIEJ ŚWIERKOCKI

Ryszard Binkowski — „Zaćma", Wydawnictwo Łódzkie. Łódź 1986, wyd. I, nakład 30 000 egz.

Weryfikacja prozy pokoleniowej

W debiutanckiej prozie Janusza Mielczarka zwraca uwagę spokojna, zrównoważona narracja. Nic dziwnego — autor jest pięćdziesięciolatkiem. Opowiadania, jakie złożyły się na tom „Zanim wyrzucą cię z samolotu" uzyskiwały nagrody w różnych konkursach, ale nie są to typowe opowiadania konkursowe. Mielczarek konsekwentnie drąży — w zróżnicowanym sztafażu historycznym i obyczajowym — problematykę egzystencjalną: pasjonuje go istota ludzkiego życia, małego, nieefektownego, zagubionego na rozdrożach, osadzonego w zapadłych wsiach czy ubogich przedmieściach. Nie bawi się w subtelną analizę psychologiczną, nie dzieli włosa na czworo, nie szuka stylistycznych ozdobników. Pisze prosto i funkcjonalnie — właśnie prostota stylu okazuje się najlepszym wykładnikiem zjawisk elementarnych, które niezależnie od realiów i uwarunkowań bohaterów poszczególnych opowiadań zawsze dotyczą zagrożenia czyjegoś życia (przez okupantów, przez uczestników zbrojnego powojennego podziemia, przez ludzi z marginesu społecznego, a nawet przez samobójcze skłonności). Egzystencja, jaką opisuje Mielczarek, zazwyczaj jest trudna, pokrętna, jałowa i niewdzięczna. Wszelako im cięższe położenie — tym większe przywiązanie do życia, tym bardziej gorączkowe zabiegi o nadanie mu jakiegokolwiek znaczenia. W przypływie rozpaczy — kiedy sił witalnych coraz mniej, a realizacja celów i zamierzeń coraz odleglejsza — bohaterowie opowiadań stawiają pytania, na które próżno szukać w tej prozie odpowiedzi: „Gdzie jest odrobina sensu w tym, co się robi? Dlaczego twoje działania proste czy złożone przysypuje pył nieważności? Jak i dokąd będziesz się toczył, zalutowany w tej puszce od konserw: poprzekładany jarzyną doznań, groszkiem urlopu, solą miłości i ziarnkiem pieprzu — kaprysem majątku?"

Pytania tego rodzaju dobrze wprowadzają w nastrój prozy Janusza Mielczarka. To proza emocjonalna. I choć położenie jej bohaterów cechują podobne znamiona nie znajdziemy tu monotonii odczuć czy przeżyć. Młodzi — „piękni dwudziestoletni" — zanim „wpadną do gnoju po dziurki w nosie" pragną w coś wierzyć. I wiary poszukują — chaotycznie i bezradnie. Mniej odporni i wytrwali nie mają nadziei na „większą wiarę niż pół litra i zakąska". Zanim to sobie uświadomią — udają silnych. Samookłamywanie nie może jednak trwać długo. Napięcie musi zostać rozładowane: od nadziei do nadziei, od skargi do skargi, od klęski do klęski. To już było: rówieśnicy autora „Zanim wyrzucą cię z samolotu" wszystkie owe rzeczywiste i wydumane Sprawy i sprawy gwałtownie wyrzucali z siebie ćwierć wieku temu z okładem jako młodzi i gniewni przedstawiciele pokolenia „Współczesności".

W specyficznej atmosferze tamtych lat niektóre utwory urastały nawet do rangi politycznych rewelacji. Dziś problematyka taka trąci myszką i nie wychodzi na ogół poza krąg obyczajowy. Nie stawiam w tym momencie Januszowi Mielczarkowi zarzutu wtórności. Chcę jedynie przypomnieć, iż jego pokolenie dawno temu uporało się na gruncie literackim z elementarnymi problemami egzystencjalnymi. Niektórzy czołowi pisarze pokolenia poszli tak daleko — Burss, Ośniałowski, Hłasko — że pomylili literaturę z życiem. Dziś, czołobitnie, nazywa się ich kaskaderami literatury. Albo, trochę tylko zmieniając akcenty, utwierdza się legendę „szpetnych czterdziestoletnich". A tu raczej czas na weryfikację rzeczywistych dokonań literackich, niżli na podtrzymywanie mitów.

Proza Janusza Mielczarka dowodzi wyraźnie, iż z charakterystycznym ujęciem problematyki egzystencjalnej pokolenie dzisiejszych pięćdziesięciolatków rozstać się nie potrafi. I nie o to nawet chodzi, że pojawiają się spóźnione debiuty. Rzecz w tym, iż z niezmienną powagą, namaszczeniem, a także ze współczuciem pisze się o rzeczach, które wymagałyby raczej ostrej, gryzącej, trzeźwej ironii. Ironii głębokiej aż do bólu, która okazałaby się przydatna w przezwyciężaniu postawy życiowych rozbitków i wynikającej stąd specyficznej uczuciowości, polegającej — paradoksalnie mówiąc — na niemożności wyrwania się z zaklętego kręgu powszechnej niemożności. W taki oto sposób sprawy drobne i na ogół mało efektowne urastałyby do rangi krytycznego zwierciadła, w którym mogłoby się przyglądać sobie całe społeczeństwo, a nie tylko pokolenie, które ciągle jeszcze wierzy w wyjątkowość własnej biografii. Weryfikacja prozy pokoleniowej w wydaniu Janusza Mielczarka usiłuje łączyć typowe fascynacje (choćby te, o których pisał Jan Błoński w „Zmianie warty") ze szczyptą krytycyzmu i dystansu. Niewiele tego wprawdzie, ale — na początek — dobre i to.

Na uwagę zasługują zwłaszcza rozpaczliwe próby bohaterów niektórych opowiadań ocalania deprecjonowanych, wyśmiewanych, wyjałowionych od częstego użytku „najświętszych słów naszego życia" — jak mawiał Marek Hłasko. Autor „Zanim wyrzucą cię z samolotu" ukazuje postawy krańcowe: od cynizmu po sentymentalną wiarę w słowa-zaklęcia. Jego bohaterowie w każdym jednak przypadku usiłują zachować podstawowe znaczenia słów, aby w ten sposób znaleźć najkrótszą drogę do drugiego człowieka. Tak wyrażał się — i wyraża — jeden z najważniejszych problemów prozy pokolenia „Współczesności". Tkwi w nim bowiem uniwersalna miara wszelkich ludzkich doświadczeń.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Janusz Mielczarek: Zanim wyrzucą cię z samolotu, Krajowa Agencja Wydawnicza Łódź 1986, s. 158, nakład 9 625 + 375 egz., cena zł 130.

Z półki recenzenta

ATAK NA PEENEMÜNDE

Dla miłośników militariów, a także dla tych, którzy przedkładają tematykę wojenną nad inne, wydawnictwo MON wydało interesującą książkę poświęconą zbombardowaniu słynnych wyrzutni rakietowych V 1 i V 2 zainstalowanych przez Niemców na Peenemünde. Autor oparł swoją relację na setkach wypowiedzi uczestników i świadków tej operacji lotnictwa orytyjskiego I to zarówno tych, którzy brali udział w nalocie, jak i tych, którzy byli w tym czasie w pobliżu wyrzutni, a więc Niemców. Powstała zatem książka nie tylko wiarygodna, ale jak dotąd, chyba najpełniej udokumentowana. W wyniku nalotu Niemcy musieli przenieść wyrzutnie na poligon Blizne koło Mielca.

Przekład Mariana Duryasza.

Martin Middlebrook: Nalot na Peenemünde, MON 1987. Str. 254. Cena 260 zł.

GRAJ JAK SIĘ DA

Ukazała się nader interesująca mikropowieść Amerykanki Joan Didion pt. „Graj jak się da". Jest to niebanalna opowieść o aktorce z Hollywood, której droga do wielkiej kariery wiedzie przez dżunglę, jaką jest współczesny świat pełen bogactwa, dobrobytu, luksusu, ale i biedy, i brzydoty. Bohaterka doświadcza na sobie całej nędzy i blasku świata biznesu, zdobywa i traci miłość, by dojść w końcu do wniosku, że życie to jedna wielka gra, z której wypada się dopiero wraz ze śmiercią.

Przekład Anny Kołyszko.

Joan Didion: Graj jak się da. WL 1986. Str. 164. Cena 160 zł.

RZECZ O UJEJSKIM

W serii „Opowieści biograficzne" wyszła książka traktująca o życiu i twórczości autora „Skarg Jeremiego", czyli o Kornelu Ujejskim. Dziś jakby zapomniany, a przecież kilka pokoleń Polaków z wypiekami na twarzy wczytywało się niegdyś w jego „Maraton". Urodził się w 1823 r. i znał Mickiewicza, Słowackiego, Chopina. Był bardem opiewającym niewolę ojczyzny, był członkiem konspiracyjnego Rządu Narodowego i posłem do Rady Państwa w Wiedniu. O tym i o wielu innych, nieznanych lub zapomnianych kartach życia Ujejskiego, znajdą czytelnicy w książce.

Zbigniew Sodulski: Jeremi. LSW 1986. Str. 396. Cena 650 zł.

POEZJE OWIDIUSZA

W serii „Biblioteka poetów" od lat wydawanej przez LSW ukazał się kolejny tomik, tym razem zawierający poezję Publiusa Ovidiusa Naso, żyjącego na przełomie ery starożytnej i nowożytnej, autora popularnego do dziś podręcznika miłości „Ars amandi".

W omawianym tomiku pomieszczono „Metamorfozy", tj. wiersze nawiązujące do mitów greckich, grecko-rzymskich i italskich czyli do mitologii. Owidiusz wyjaśnia, tłumaczy przemiany, jakim ulegali bohaterowie tych mitów zamieniani w zwierzęta, rośliny, strumienie i głazy. Bo słowo „metamorfozy" znaczy przemiany, te dosłowne i te w przenośni.

Przekład Jana Sękowskiego.

Owidiusz LSW 1976. Str. 134. Cena 100 zł.

ACHMATOWA

Wydawnictwo Literackie wznowiło (nieznacznie poszerzony) wybór poezji Anny Achmatowej. Pomysł jest tym bardziej cenny, że rzecz jest dwujęzyczna i czytelnicy znający język rosyjski mogą ocenić trafność, wierność i kunszt zamieszczonych przekładów. Jednocześnie taka prezentacja zawiera pewne niebezpieczeństwo, gdyż oryginał — a w tym przypadku to się potwierdza — jest bez porównania lepszy od najlepszego przekładu. W każdym razie zachęcam wszystkich miłośników dobrej poezji do lektury tego tomu, bo poezja Achmatowej jest najwyższej próby.

Anna Achmatowa: Poezje. WL 1986. Str. 456. Cena 470 zł.

DZIEJE ANGLII

Otrzymaliśmy dzieło obszerne (dwa tomy) traktujące o dziejach Anglii od 1485 do 1939 r. pióra Jerzego Z. Kędzierskiego. Autor pisze, że „nie ma poznania innego jak przez historię", a ja od siebie dodam, że przez historię tę bardzo odległą, jak i tę najbliższą. Bo jeśli może nas interesować absolutyzm Tudorów, walki o tron i władzę, wojny, to przecież bardziej nas obchodzą związki Albionu z Polską, szczególnie w przededniu II wojny światowej. Już w 1925 r. Min. Spr. Zagranicznych Chamberlain mówił, że rząd brytyjski nie poświęci nawet jednej kości swojego żołnierza w obronie Polski. Reszta w książce.

Jerzy Z. Kędzierski: Dzieje Anglii 1485—1939. Ossolineum 1986. Str. T. I i II 741+750. Cena 1.600 zł.

E. IW.

„Śpiew jest odpowiednikiem ikony"

Rozmowa z księdzem JERZYM SZURBAKIEM, kierownikiem Zespołu Muzyki Cerkiewnej przy Warszawskiej Operze Kameralnej

Były już trzy wizyty zespołu w Łodzi: rok 1980 — przyjęcie ciepłe, ale frekwencja publiczności nie odbiegała od normy dla Dni Muzyki Organowej i Oratoryjnej; rok 1983 — ewangelicki kościół św. Mateusza publiczność wypełniła nawet przejścia, trzykrotne bisy w czasie koncertu oraz kilkunastominutowa owacja na stojąco po zakończeniu...

— Myślę, że tendencja ta może dawać nam satysfakcję: rozwijamy się i zdobywamy sympatię publiczności. Nie ulega też wątpliwości, że walory naszego występu zależą w wielkiej mierze od samych słuchaczy — inaczej śpiewa się w pustej sali, inaczej widząc, że nawet przejścia są wypełnione. Wie pan, Lloyd organizując swoją firmę ubezpieczeniową powiedział: „Moje słowo oznacza zobowiązanie" — podobnie obecność publiczności oznacza zobowiązanie dla artysty. Nie bez znaczenia jest też miejsce występu — kościół ten ma świetną akustykę.

— Jak ksiądz sądzi: co jednak wywołuje tę reakcję publiczności, która przecież w normalnych warunkach nie potrafi wypełnić sali filharmonii nawet na bardzo dobrych koncertach? Czy wiąże się to z pewną egzotyką muzyki cerkiewnej, czy też spektakularnym ożywieniem religijnym?

— Jakiś wpływ ma na to i jedno, i drugie. Żadnego jednak bym nie przeceniał. Egzotyka dotyczy zarówno muzyki, która nie jest znana większości słuchaczy, ale i zespołu, bo praktycznie nie można jej usłyszeć poza naszymi koncertami. Najważniejsza jest jednak sama muzyka. Zespół powstał dla jej wykonywania. Trzeba zdać sobie sprawę, że prawosławie nie zna muzyki koncertowej. Wszystkie wykonywane przez nas kompozycje powstały jako dzieła religijne — tym przede wszystkim różnią się od tradycji zachodnioeuropejskiej, w której oratoria czy opery podejmując motyw na przykład biblijny, skierowane były do wykonań estradowych. Na tym tle Zespół Muzyki Cerkiewnej jest pewnym wyjątkiem. To my wyprowadzamy tę muzykę z naw cerkiewnych.

— Z niezłym skutkiem...

— Jeśli ma pan na myśli naszą działalność nagraniowo-koncertową to ma pan rację. Podjęliśmy działalność dokładnie 15 września 1971 r. odbyliśmy pierwszą próbę, a 2 lutego 1972 daliśmy pierwszy koncert. Blisko 90 razy prezentowaliśmy się poza granicami Polski. Na tyle dobrze by być zapraszanymi do nagrań oraz ponownego odbywania tras koncertowych. Nagraliśmy 6 płyt, z czego 4 poza Polską: w RFN, Szwecji, Holandii oraz 3 kasety: 2 w Szwajcarii oraz 1 w Finlandii. Z wyjątkiem Szwecji, gdzie byliśmy w roku 1982, wszędzie śpiewaliśmy ponownie: dwukrotnie w RFN, trzykrotnie w Szwajcarii, raz w Finlandii (1985). W 1986 roku mieliśmy bardzo długie tournée po Brazylii a jego efektem jest przygotowywany ponowny wyjazd do Ameryki południowej. Tym razem trasa obejmie jeszcze Argentynę, Urugwaj i Chile... Jak na zespół wykonujący dość specyficzny repertuar to bardzo dużo.

— To aspekt komercjalno-impresaryjny działalności zespołu.

— Chce pan przez to powiedzieć, że tak nas cenią, bo oprócz nas nie ma nikogo, kto wykonuje podobny repertuar? Nasze walory określają najlepiej nazwiska osób, które w taki lub inny sposób współpracują z nami: płyty nagrane z Leonardem Mrozem czy Nikolaiem Geddą świadczą o zaufaniu do naszych możliwości wykonawczych. To u nas do wielkiej kariery jako solistka przygotowywała się Jadwiga Rappé, bo przecież w czasie pracy w zespole wygrała konkurs bachowski. Współpracujemy zresztą nie tylko z muzykami — przygotowywaliśmy spektakle telewizyjne z Łomnickim czy Wojciechowskim. Pracowaliśmy przy 5 filmach fabularnych, by wspomnieć tylko „Lekcję martwego języka", „Austerię" czy „Szarżę" a ich reżyserami byli Majewski, Kawalerowicz, Wojciechowski. W filmie Andrzeja Wajdy „Kronika wypadków miłosnych" jest także cząstka naszej pracy.

— Uczestnictwu Zespołu Muzyki Cerkiewnej w kulturze polskiej nie przeszkadza więc obcość proponowanej muzyki?

— Z tą obcością kulturową już bym nie przesadzał. Gdybyśmy tak odstawali od kultury polskiej nikt by nas do takiego uczestnictwa w swoich przedsięwzięciach artystycznych nie zapraszał. Poza tym wpływy Bizancjum i Europy na siebie nie były aż tak małe, jak się powszechnie przypuszcza. My, Polacy, strasznie mocno aspirujemy do bycia Zachodem, ale przecież renesans to w początkowej fazie wielka zasługa uciekinierów z Konstantynopola. Z drugiej strony, od kiedy ostoją prawosławia stała się Rosja, wtedy i prawosławie ulegało wpływom Zachodu — i to właśnie często poprzez Polskę. W pewnym momencie przecież — właśnie pod wpływem polskim — prawosławie ukraińsko-białoruskie przyjęło tomizm jako teologię szkolną. W XVII wieku Cyryl Lukaris, patriarcha konstantynopolski, usiłował dokonać pewnej syntezy prawosławia i kalwinizmu, z którym zetknął się właśnie w Polsce. Przechodząc zaś do muzyki — na Rusi do XVII wieku stosowano wyłącznie śpiew unisonowy, dopiero od połowy tego okresu pojawia się harmonijny śpiew włoski. W ogóle od XVI wieku wiele elementów liturgii ulega na Rusi wpływom Zachodu — śpiew staje się wielogłosowy, polifoniczny a barok wkracza do wnętrz cerkiewnych. Reformator cerkwi, patriarcha Nikon, sprowadza śpiewaków polskich z Kijowa a kompozycje dla swojego chóru patriarszego zamawia u szefa kapeli w Krakowie Marcina Milczewskiego. Zachodnia szkoła muzyki w Moskwie też została przecież stworzona przez Polaka, dyrygenta M. Dyleckiego. On, wraz ze swoim uczniem Titowem, stworzył tzw. styl moskiewski, bardziej „koncertujący" niż np. petersburski, któremu akurat hołduje nasz zespół.

— Jednak muzyka cerkiewna nie zaczęła się w XVI czy XVII wieku, a to, o czym ksiądz mówi to tylko pewne nurty.

— Oczywiście, prawosławie ma specjalny stosunek do historii, bo przecież nie przeżyło ono „barbarzyńskiej zapaści" i zachowało swoją ciągłość historyczną. Tutaj nie trzeba było odnajdywać swoich korzeni tak, jak to czynił europejski Renesans. Tam wszystko wyrastało zupełnie naturalnie ze starożytności a uporządkowanie śpiewu liturgicznego wywodzi się od Efrema Syryjczyka, Jana Złotoustego czy Jana Damasceńskiego, który ostatecznie wprowadził podział śpiewu na 8 melodii, tzw. głosów. To zaś dopiero później, bo w XI wieku przeniesiono na Ruś.

— Prawosławie jednak kojarzy się przede wszystkim z ikoną a nie muzyką?

— Ikona jest bardziej „samoistna", bywa w cerkwi, ale wisi też w domach, łatwiej więc rzuca się w oczy. Śpiew jest odpowiednikiem ikony. Tak, jak istnieją sposoby malowania ikon, tak też istnieją „prawidła" komponowania. Podstawą jest w obu przypadkach pewna koncepcja teologiczna — dzieło ma otworzyć nas i przed nami rzeczywistość boską. Wiadomo, że ten przekaz religijny ma jakiś sens i do tego dobiera twórca odpowiednie środki muzyczne czy malarskie.

— Jak w takim razie ocenia ksiądz dzień powszedni tej muzyki? Co roku odbywa się w Hajnówce festiwal muzyki cerkiewnej, na którym prezentują się zespoły amatorskie?

— Dokładniej biorąc są to chóry cerkiewne. Z poziomem codziennego wykonawstwa jest różnie. W niektórych parafiach źle, w innych lepiej. Cały problem sprowadza się w głównej mierze do braku kadr. Przez wiele lat, kiedy w seminarium prawosławnym uczyłem śpiewu, starałem się przekazać, co tylko mogłem. Wychowałem nawet w ten sposób kilku członków swego zespołu. W małych parafiach, gdzie nie bardzo ma kto o to zadbać, bywa jednak źle. Jest wiele pięknej muzyki i nie starczy mi życia, by ją zaśpiewać.

Rozmawiał:
KRZYSZTOF PASIKOWSKI

Esej biograficzny o Kazimierze Iłłakowiczównie

Józef Ratajczak, poeta i tłumacz, krytyk i historyk literatury (m.in. autor cennej monografii czasopisma „ekspresjonistów poznańskich" — „Zdrój") napisał książkę niezwykłą. Jego „Lekcje u Iłłakowiczówny" wydane właśnie przez poznański oddział KAW, powstałe jakby z potrzeby serca, jakby z intymnego impulsu przerosły chyba pierwotne intencje autora. Może ta książka miała być wyrazem wdzięczności, taką konieczną spłatą długów emocjonalnych, artystycznych i zwyczajnie ludzkich. Oczywiście i w ten sposób odbierał ją będzie czytelnik. Ale jest ta książka także — jakże istotnym — otwarciem na życie i twórczość poetki, która istniała w całych powojennych dziejach naszej literatury na marginesach. Były to marginesy nobliwe, ale jakby zarezerwowane dla przebrzmiałych klasyków i wartości przeszłych. Różne były przyczyny takiego stanu rzeczy, estetyczne i polityczne, subiektywne i obiektywne. Nie będę ich tu rekonstruował, bo są nazbyt oczywiste. Pisze o nich wprost i pośrednio także Józef Ratajczak w swojej książce.

Tak czy inaczej, mimo oddalenia od centrum ferującego literacko-artystyczne wyroki i ustalającego hierarchie wartości (jak wiadomo Iłłakowiczówna po wojnie osiadła w Poznaniu i związała się z tym miastem, najpierw z konieczności, potem z wyboru, aż do śmierci) poetka nie dała się zamknąć w ramach przeszłości dwudziestolecia międzywojennego odstawionej do lamusa. Jej twórczość powojenna przecież bogata i poetycko zróżnicowana nie stała się — jak u wielu rówieśników — przydatkiem i kuponem odcinanym z przyżółkłych papierów wartościowych. Choć Poznań mógł być — przynajmniej przez jakiś czas — miejscem zsyłki i skazania na prowincjonalizm — jednak miastu temu zawdzięcza biografia pisarki po roku 1945 najwięcej. A recenzencka napaść debiutującego w 1967 roku w krytyce Stanisława Barańczaka (odwieczna to strategia w bojach „młodych" ze „starymi") jest już dzisiaj anegdotycznym wspornikiem poznańskiego skrzydła legendy znakomitej poetki.

Nazwałem w tytule tego omówienia książkę Józefa Ratajczaka esejem biograficznym, bo taką ona jest w istocie. Niby szkic biograficzny porządkujący fakty i daty, niby sentymentalne wspomnienie nie bez osobistych tonów, niby artykuł krytycznoliteracki z próbą interpretacyjnych objaśnień, niby literacka anegdota o legendotwórczych aspektach. Wszystko to właśnie w „Lekcjach u Iłłakowiczówny" czytelnik znajdzie. A także antologię wierszy poetki o wyraźnych tonach autobiograficznych, które są poetyckim kontrapunktem dla narracji Ratajczaka (rozdzielają poszczególne części książki) weryfikują ją po swojemu i uwiarygodniają.

Ów esej ma jeszcze jedną bezsprzeczną wartość: emocyjną żarliwość. Udziela się ona czytelnikowi dzięki narracyjno-stylistycznym umiejętnościom autora. Nie sposób zatem czytać „Lekcji" bez wzruszenia, uśmiechu i sympatii wobec panny Iłły, której osobowość, nawet fizyczność z plastyczną maestrią ujawniają karty książki. Tak, autorka „Sług nieużytecznych" jest główną bohaterką opowieści Ratajczaka, ale kontekst historyczny (już!), w którym w książce ona istnieje, przynosi obraz o wiele rozleglejszy: życia literackiego całej epoki zawarty w drobnym epizodzie, szczególe i przypomnieniu (pierwsza po wojnie wizyta Iłłakowiczówny u Tuwima, sprawa stypendium dla Gałczyńskiego, poznański oddział ZLP itd. itd.). I w anegdocie właśnie. Nie mogę się powstrzymać, aby jednej nie zacytować. Otóż słuchając przemówienia Włodzimierza Sokorskiego, ówczesnego ministra kultury i sztuki Iłłakowiczówna miała powiedzieć, iż z żalem wspomina ś.p. Józefa Stalina, bo tamten mówił przynajmniej jasno i zwięźle!

Książkę kończy opis uroczystości przyznania doktoratu honoris causa 83-letniej poetce przez Uniwersytet im. Adama Mickiewicza. Jednak nie obraz „skurczonej na fotelu staruszeczki zakutanej w znoszone wdzianka i swetry" pozostaje w naszej pamięci. Za sprawą Ratajczaka obraz ten został przesłonięty przez wizerunek inny: „poetessa w obcisłym fraku, kamizelce i szerokiej spódnicy z czarnego sukna i w fantazyjnym kapeluszu, przesuniętym lekko na bok", kobieta pełna pasji życia, twórczości i działania. Taka jaką przedstawiają ją liczne zdjęcia zamykające „Lekcje".

Książka Józefa Ratajczaka, którą na wstępie nazwałem istotnym otwarciem na życie i twórczość Kazimiery Iłłakowiczówny, może przyczynić się do głębszego i odpowiadającego jej randze zainteresowania krytyków, literaturoznawców i powszednich czytelników. Oby wszyscy pisarze mieli swoich Ratajczaków!

GRZEGORZ GAZDA

Józef Ratajczak, Lekcje u Iłłakowiczówny, KAW, Poznań 1986, s. 120+il., cena 850 zł.

Kronika kulturalna

ZGODNIE z wieloletnią tradycją kwiecień jest Miesiącem Pamięci Narodowej.

W tym roku ogólnopolska inauguracja obchodów odbędzie się 4 kwietnia w Łodzi.

Uczestnicy uroczystości zwiedzą Muzeum Martyrologii w Radogoszczu, Pomnik — Szpital Centrum Zdrowia Matki Polki, złożą wieńce przed pomnikami „Pękniętego serca" i Czynu Rewolucyjnego na Zdrowiu.

---

23 MARCA w Teatrze Nowym, z okazji jubileuszu 40-lecia pracy scenicznej Ludwika Benoit, odbyła się uroczysta premiera „Skąpca" Moliera, w reżyserii Marii Kaniewskiej.

Najpopularniejszy łódzki aktor, ulubieniec publiczności, zagrał w tym spektaklu rolę Harpagona. Towarzyszył mu na scenie syn — Mariusz Benoit, który również pokochał Melpomenę.

---

31 MARCA 1987 r. odbędzie się w Teatrze Studyjnym, ostatnie przedstawienie „Wesela" Stanisława Wyspiańskiego w inscenizacji Adama Hanuszkiewicza. Spektakl ten, będący warsztatem dyplomowym studentów IV r. Wydziału Aktorskiego PWSFTviT, wzbudził duże zainteresowanie wśród łodzian.

Dyrekcja Teatru Studyjnego zaprasza wszystkich wielbicieli talentu tego wybitnego reżysera na przedstawienie, po którym jego twórca spotka się z publicznością.

Całkowity dochód z tego spektaklu zostanie przeznaczony na Fundusz Pomocy Dzieciom Osieroconym i Niepełnosprawnym.

W Opolu w dniach 27.III.—3.IV. 87 r. odbędą się XIII Opolskie Konfrontacje Teatralne — „Klasyka Polska". Nad imprezą honorowy patronat objął minister kultury i sztuki. Wezmą w niej udział m.in. dwa łódzkie teatry: Jaracza i Studyjny.

ŁÓDZKA kultura poniosła bolesną stratę. Odszedł na zawsze wielce zasłużony dla upowszechniania plastyki w naszym mieście, artysta i pedagog, prof. Zdzisław Głowacki. Był laureatem Nagrody Miasta Łodzi. Powszechnie lubiany i szanowany w środowisku, tryskający energią i poczuciem humoru, wielki humanista. Zmarł mając 68 lat.

DO końca marca czynna będzie w Galerii „Punkt" Gdańskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuki wystawa pt. „Projekty scenograficzne Teatru Miniatura". Ta ciekawa ekspozycja prezentuje 64 szkice i rysunki.

OD 27 do 29 bm. gościem zespołu aktorskiego „Arlekina" będzie Teatr Lalek z Karl-Marx-Stadt.

Artyści z NRD zaprezentują 28 marca łódzkiej publiczności dwie jednoaktówki Sławomira Mrożka — „Na pełnym morzu" i „Striptiz".

OD 23 stycznia do 19 lutego br. w Galerii Księży Młyn wystawiał swoje prace znany łódzki malarz Józef Wasiołek.

Na wystawie artysta zaprezentował m.in. obrazy o budowie Pomnika-Szpitala Centrum Zdrowia Matki Polki, którą utrwala na płótnie.

Znany z cennych inicjatyw społecznych twórca przekazał należność za 2 obrazy zakupione z tej wystawy przez ZPB im. Obrońców Pokoju na fundusz Budowy Pomnika Szpitala.

Oby więcej takich ofiarodawców na tak szlachetny cel!

POLECAMY dwie bardzo interesujące wystawy: w Muzeum Kinematografii — fotografii z planu filmu Romana Polańskiego „Piraci", autorstwa Jarosława Mazura i Tomasza Magierskiego, zaś w Galerii Bałuckiej — wernisaż fińskiego grafika Simo Hannula.

JURY VIII Przeglądu Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu, obradujące pod przewodnictwem prof. Aleksandra Bardiniego, ogłosiło 8 bm. swój werdykt.

Trzy równorzędne nagrody główne otrzymały: Joanna Jeżewska — studentka III roku PWST w Warszawie, Joanna Kurowska — studentka PWSFTviT w Łodzi, Daniela Popławska — aktorka Teatru im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu.

ŁÓDZKI Dom Kultury zorganizował interesującą imprezę „Spotkania z Hiszpanią"

Od 16 do 22 bm. łodzianie mogli podziwiać wiele znakomitych filmów kinematografii hiszpańskiej, wysłuchać prelekcji o tym ciekawym kraju oraz obejrzeć wystawy hiszpańskiego malarstwa.

Kontynuacja imprezy przewidziana jest 1—4 kwietnia. Druga część programu zapowiada się również bardzo atrakcyjnie.

Zachęcamy do wzięcia udziału.

ŁÓDŹ: historia, wspomnienia, relacje

Drugi fragment wspomnień z okresu okupacji popularnego aktora teatrów łódzkich.

Pierwsze doświadczenia więźnia (2)

Popołudniu brezent. Ostre światło wpadło do wnętrza.

— Rrrraus! Aussteigen! Los! Los!

Wokół samochodu stało kilkunastu drabów w czarnych mundurach. Kije w ich rękach nie zachęcały nas do opuszczenia skrzyni ciężarówki. Najbliżej stał Zenek Murczkiewicz. Długo nie mógł zdecydować się na skok. Jeden z czarnych diabłów chwycił go za połę płaszcza i pociągnął w dół. Zenek całym ciężarem ciała zwalił się na ziemię. Cios kijem w plecy postawił go na równe nogi. Teraz wyskakiwaliśmy jeden po drugim i ustawialiśmy się sprawnie w dwa szeregi. Paniczny strach spowodował, że jak w transie wykonywaliśmy wszystkie polecenia esesmanów. Ciężarówka, głośno warcząc, cofnęła się. Stojący na końcu szeregu w ostatniej chwili uskoczył w bok, unikając w ten sposób uderzenia. Czarni zarechotali radośnie, aprobując wesoły manewr dowcipnego kierowcy.

Radogoszcz. To właśnie stąd wywieźli Karola Hillera do lućmierskich lasów. Już nie wrócił. Tam go zastrzelili. Wiedziałem o tym. A nas co czeka?

— Obrócić się! — padł ni to rozkaz, ni to komenda.

Cała trzydziestka sprawnie wykonała w tył zwrot. Wartownik wolno otwierał skrzypiącą bramę.

— Marsz!

Wkraczaliśmy na dziedziniec więzienia.

— Zdejmuj czapkę ze łba, kiedy tu wchodzisz! Ty świnio! — ryknął ten przy bramie i zdzielił kijem przez głowę pierwszego wchodzącego więźnia.

Po ponownym sprawdzeniu listy, pognali nas na drugie piętro. Na każdym podeście stał wartownik w czarnym mundurze i kopniakami popędzał biegnących ludzi. Przeskakiwałem po kilka stopni naraz. Całą gromadą wpadliśmy do fabrycznej hali. Na drewnianych, prymitywnie zbitych pryczach siedzieli ci, których przywieźli przed nami.

Trwożnie rozglądałem się dookoła. Hala podzielona była na trzy sektory. Każdy z nich składał się z podwójnego rzędu prycz. Prycze były piętrowe, a ludzie leżeli zwróceni głowami do siebie. Jerzyk Mariański, Maniek Graczyk, Lucek Wodyński i ja znaleźliśmy sobie miejsce na górze w końcu pierwszego sektora.

Wrzało jak w ulu. Wszyscy, jeden przez drugiego, chcieli podzielić się swymi przeżyciami. Wybuchały pierwsze sprzeczki, pierwsze pretensje i żale. Na szczęście znaleźli się tacy, którzy potrafili awanturnikom przemówić do rozsądku. Z wolna każdy znajdował swoje miejsce. W kojcach leżała cienka warstwa słomy, która miała nam służyć za legowisko. Była przemielona na sieczkę.

— Achtung! — krzyknął ktoś przy drzwiach.

Wszyscy, nie ruszając się ze swoich miejsc, odwrócili z zaciekawieniem głowy. Do sali wszedł esesman.

— Czego siedzisz, ty pieruński ciulu! — krzyknął przybyły i zdzielił kijem siedzącego na najbliższej pryczy chłopaka. — Uwaga! Jak na salę wchodzi pan scharführer, to salowy krzyczy „Achtung"! — wtedy każdy ma stać na baczność, tam gdzie jest. Teraz pan scharführer jeszcze raz wejdzie, jak krzyknę „Achtung", a wy macie stać na baczność. Zrozumiano?

Ten cały wykład wygłosił wysoki, blady chłopak. Głowę miał wystrzyżoną na gołą palę. Jego jasne ubranie było zaplamione i pomięte. Twarz wydała mi się znajoma, ale nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie i kiedy spotkałem go.

— Achtung! — wrzasnął blady.

Wszyscy poderwali się sprężyście i stali bez ruchu. Esesman przeszedł wzdłuż prycz patrząc nam w oczy i zniknął za drzwiami. Ilekroć przywożono z Polizeipräsidium grupę więźniów, tyle razy scharführer urządzał zabawę w „Achtung". Jego gruby kij zawsze lądował na grzbiecie jednego z nas. Wreszcie się to skończyło.

— Rany boskie, tam jest moja matka — zawołał nagle jeden z nich. Wszyscy rzucili się do okien, w nadziei, że zobaczą swoich bliskich. Naprzeciw więzienia, gdzie był przystanek tramwajów dojazdowych, grupka osób wpatrywała się w więzienne okna.

Wypatrywałem rodziców, ale ich nie dostrzegłem. Nagle na salę wpadł czarny. Krzyczał coś po niemiecku i waląc kijem na prawo i lewo odpędzał ludzi od okien. Rozpierzchliśmy się jak stado spłoszonych wróbli. Czarny długo wykrzykiwał coś chrapliwym głosem, potem dał znak blademu, by przetłumaczył.

— Nie wolno dochodzić do okien. Kto będzie stał przy oknie, dostanie kije. Kto będzie drapał szkło, dostanie kije. Wszyscy mają siedzieć na swoich posłaniach i nie ruszać się bez potrzeby. Teraz dostaniecie kolację. Kolacja będzie wydawana według listy. Kto weźmie kolację dwa razy, dostanie kije. A teraz niech się zgłosi czterech ludzi. Pójdą ze mną do kuchni wyfasować kawę i chleb.

Kiedy już wyszli, uświadomiłem sobie, że od świtu prawie nic nie jadłem. Nie czułem głodu. Za to wypita rano kawa dawała znać o sobie. Parcie na pęcherz wzmagało się z każdą chwilą. Obszedłem całą salę. Nigdzie nie mogłem znaleźć miejsca, gdzie mógłbym tę rzecz załatwić.

Przyniesiono kolację. Na oknie, przy drzwiach, stało kilka stosów blaszanych misek. Wywoływany z listy podchodził po miskę, fasował kawę i chleb, potem wracał na swoje wyrko.

— Ci, którzy już wyfasowali kolację, niech szybko piją kawę, bo misek nie wystarczy dla wszystkich. Kto wypił niech odda drugiemu. — informował blady.

— Skoczylas — usłyszałem wreszcie moje nazwisko.

Stanąłem w kolejce po kawę.

— Ty jesteś Włodek Skoczylas? — zapytał mnie blady.

— Tak.

— Twoja babka miała restaurację, przy rzeźni, na Radwańskiej?

— Tak.

— No, to ja ciebie znam. Nie pamiętasz mnie? Jestem Jurek Warchulski. Mieszkam w tym domu, gdzie Zielonkowa ma sklep. Przychodziłeś tam do Myszkorowskich, do Janka i do Zygmunta.

— Dawno tu jesteś?

— Dwa tygodnie. Przyjdź jak rozdam kolację. Pogadamy.

Wsunął mi do ręki dużą pajdę chleba i już wyczytywał następne nazwisko. Wróciłem na swoje wyrko i dopiero teraz poczułem głód. Byłem wdzięczny mamie za smalec. Konserwy postanowiłem zachować na czarną godzinę.

Kawa nie dawała mi spokoju. Postanowiłem zwrócić się z tym problemem do nowo poznanego „starego kumpla". Warchulski stał przy drzwiach i chyba czekał na mnie. Wysłuchał mnie uważnie i zasępił się.

— Bracie, to nie takie proste. Tu się sra i szcza na komendę.

— Jak to „na komendę"? Nie rozumiem.

— Tu nikt niczego nie rozumie. Na godzinę przed spaniem przyjdzie scharführer, zrobi zbiórkę i wszyscy ci co muszą, zejdą na dół do latryny.

— Ale ja nie wytrzymam. Zeszczam się w portki.

— To już się niejednemu zdarzyło.

— Więc co mam robić?

— Poszukaj paru chętnych, a ja spróbuję was tam zaprowadzić.

Chętnych znalazło się wielu, ale Warchulski wybrał tylko pięciu. Zabraliśmy kosz i pusty kocioł po kawie. Esesmani stojący na półpiętrach nie zwracali na nas uwagi. Naczynia zostawiliśmy w kuchni.

— Dalej musicie pójść sami. Idźcie prosto tym korytarzem. Kiedy wyjdziecie na zewnątrz, skręcicie do latryny w prawo.

Ruszyłem wzdłuż korytarza i nie spostrzegłem, że moi współtowarzysze wrócili na salę. W drzwiach wyjściowych ukazała się zwalista sylwetka esesmana. Próbowałem go wyminąć, ale rozkraczył się szeroko i zagrodził mi przejście.

— Przepraszam — powiedziałem grzecznie i ukłoniłem się.

Jednym kopnięciem w podbrzusze zwalił mnie na ziemię. Zanim się podniosłem dostałem jeszcze kilka kopniaków. Pchnął mnie pod ścianę i trzymając jedną ręką pod gardło, drugą wyciągnął notes.

— Nahme?

Charcząc pod jego twardą łapą, zdołałem wykrztusić:

— Skoczylas...

— Vornahme?

— Włodzimierz.

Zapisał w notesie i zapytał:

— Was suchst du hier?

— Ich zum Abort.

— Weg! — kopniakiem odesłał mnie na salę.

Bolało całe podbrzusze. Nadzieja na szybką ulgę tylko wzmogła parcie na pęcherz. Z trudnością wdrapałem się na pryczę. Zwinięty w kłębek, łkałem bezgłośnie nie pojmując czemu odmawiają mi tej naturalnej czynności biologicznej. Sama myśl o zamoczonych spodniach wywołała uczucie wstydu przed kolegami. Maniek pierwszy zrozumiał moje kłopoty.

— Frajerze, przecież masz pustą butelkę. Lej do butelki.

Nadchodził ciepły, majowy wieczór. W drzwiach znowu stanął czarny scharführer.

— Zbiórka do szczania i srania! — zawołał od progu.

Zgłosiło się wielu chętnych. Obróciłem się na drugi bok. Tego dnia nic nie mogło mnie zmusić, bym powtórzył wycieczkę do latryny.

Nie usłyszałem pobudki. Dopiero Maniek wyrwał mnie ze snu. W umywalni stały kolejki do mycia. Woda z kranów ciurkała cienkimi strumyczkami do długich blaszanych koryt.

— Uważaj na mydło, bo ci podpieprzą — ostrzegł mnie ktoś z boku.

Za późno, już mydła nie było.

Gdy wróciliśmy na górę, Jurek Warchulski był już oficjalnie naszym salowym. Znowu dostał mi się większy kawałek chleba. Smalec, przed którym tak się wzbraniałem, teraz bardzo mi się przydał.

Po śniadaniu niektórzy rozpoczęli znowu przechadzki koło okien. Gdy na schodach rozległy się czyjeś kroki, szybko wracali na prycze. Wszedł jakiś człowiek. Niósł taboret i małą skrzyneczkę pod pachą.

— Dalej, panowie szlachta! Otwieram zakład fryzjerski. Proszę do strzyżenia.

Nie było chętnych. Wszyscy patrzyli na niego jak na wariata.

— Słuchajcie! — Warchulski wyszedł na środek sali. — To jest rozkaz komendanta. Po kolei siadać na stołek, bo przyjdą czarni i dostaniecie kije.

Poskutkowało.

Pierwszy usiadł Aluś Ułan. Wyglądał na niewąskiego zabijakę. Był czarnowłosy, z kształtną głową, miał gęste, zrośnięte brwi i mocno wysuniętą dolną szczękę. Sprawiał wrażenie, że szybko potrafi przystosować się do wszelkich okoliczności. W Radogoszczu nie wolno było palić papierosów, ale Aluś Ułan tak przemyślnie wydmuchiwał dym do rękawa, że najwprawniejsze oko nie zdołało dostrzec nawet smużki. Palił jak smok i nic nie było w stanie przeszkodzić mu w tym.

Na salę wszedł scharführer.

— Achtung! — krzyknął Warchulski.

Zapanowała cisza i bezruch. Scharführer popatrzył wokoło, miarowo uderzając pejczem o but. Widocznie jego polecenie wykonaliśmy bez zarzutu, bo tym razem obeszło się bez bicia. Szeroko otworzył drzwi i warknął na korytarz:

— Wchodźta!

Weszła grupka ludzi. Skuleni, zbili się w wystraszoną gromadkę. Ubrani w brązowe, powycierane sztruksowe spodnie, postrzępione marynarczyny, pocerowane, bure swetry. Prawie wszyscy obuci byli w ciężkie trepy oblepione gliną i ledwie co zaschniętą ziemią. Stanęli pod oknami.

— Warchulski, ty im powiedz, co mają robić.

— Tak jest, panie scharführer!

Czarny wyszedł. Nim Warchulski zdążył się odezwać, wszyscy rzucili się w stronę przybyszów. Jeden przez drugiego wypytywali o wieści z zewnątrz. Ale oni byli tak przerażeni, że nic z nich nie można było wydobyć.

— Wszyscy na swoje miejsca — darł się Warchulski. — Do cholery! Chcecie narobić gnoju?! Jazda! Wracać na prycze, bo jak wpadnie czarny to wam łby porozbija.

Groźba podskutkowała. Warchulski wygłosił swój sakramentalny wykład: o sraniu, o szczaniu, o fasowaniu żarcia, o oknach i o kijach. Wątpię czy zrozumieli cokolwiek.

— Skąd was wzięli? — spytał Warchulski.

Jeden z nich ukłonił się Warchulskiemu do kolan.

— Panocku, my spod Nowosolnej. Robilim podorywki w polu. Zabrali nas do auta i przywieźli tutaj.

— Zabrali was z pola?

— Z pola. Nawet do chałupy nie puścili.

— Pługi, konie i wozy zostały.

— Panie, co z kuniem będzie? — biadolił jeden z nich.

— Nie masz się co martwić. Wiadomo, każdy chłopski koń, jak zgłodnieje sam trafi do stajni.

WŁODZIMIERZ SKOCZYLAS

C.D.N.

Artystyczny skandal w Grand Hotelu

Znaczniejsze zainteresowanie malarstwem w Łodzi nastąpiło dopiero w latach osiemdziesiątych XIX wieku. Pokaźną rolę odegrała tu prasa. Początkowo popularyzacja sztuk plastycznych miała charakter wyłącznie handlowy. W witrynach sklepów łódzkich — zwłaszcza przy ulicy Piotrkowskiej — umieszczono pojedyncze obrazy artystów krajowych oraz reprodukcje znanych malarzy obcych. Wystawione obrazy można było nabyć na miejscu.

Ten sposób popularyzacji malarstwa nie był dla Łodzi wystarczający. Zabiegano więc o zorganizowanie w mieście wystawy malarskiej, czy też salonu artystycznego. Czynione w tym kierunku parokrotne próby kończyły się niepowodzeniem. Pewnym osiągnięciem było urządzenie w 1888 roku przez handlarza obrazów z Wiednia, Hietschmana, czasowej wystawy malarskiej w domu Epsteina przy ulicy Piotrkowskiej, na której m.in. znalazły się płótna malarzy polskich. Pierwsza wystawa malarska w Łodzi mimo bezpłatnego wstępu i niewygórowanych cen obrazów nie wywołała szerszego zainteresowania łodzian. Niedługo po jej otwarciu organizator ogłosił publiczną licytację eksponatów. Nie cieszyła się również frekwencją wystawa malarstwa zorganizowana w 1889 roku przez Spółkę Artystyczną Malarzy, Rzeźbiarzy i Budowniczych z Warszawy.

W tym czasie na łódzkim horyzoncie artystycznym pojawili się młodzi, uzdolnieni artyści-malarze urodzeni w Łodzi, bądź związani z nią stałym miejscem zamieszkania. Do grona ich należeli: Leopold Pilichowski, Samuel Hirszenberg, Wacław Nowina-Przybylski, Maurycy Gottlieb, Maurycy Trębacz. Szczególnie znani byli Pilichowski i Hirszenberg, pierwszy jako wzięty portrecista, drugi — pejzażysta i malarz scen rodzajowych. Hirszenberg po powrocie ze studiów w Monachium wynajął pracownię z mieszkaniem w domu przy ulicy Spacerowej 1 (al. Kościuszki). W kamienicy tej zamieszkiwało już kilku młodych malarzy, m.in. Przybylski, tworząc tzw. kolonię artystyczną. Hirszenberg i Pilichowski cieszyli się poparciem członków wzbogaconej rodziny fabrykanckiej Silbersteinów, dla których malowali portrety rodzinne i obrazy dekoracyjne.

Brak stałego miejsca wystawowego w Łodzi zmuszał organizatorów do korzystania z przygodnych pomieszczeń. Wystawy malarskie dorywczo odbywały się w foyer teatru „Victoria", w salonie fotograficznym Bronisława Wilkoszewskiego, w gmachu Grand Hotelu i innych pomieszczeniach.

Sensacją artystyczną roku 1890 było wystawienie w Grand Hotelu obrazu Marcelego Suchorowskiego „Pierwszy dzień w haremie". Malarz ten zasłynął przed laty jako twórca obrazu „Nana", przedstawiającego bohaterkę głośnej powieści E. Zoli, leżącą na kanapie w stroju Ewy. Nowe dzieło Suchorowskiego eksponowano w przyciemnionym pokoju, w otoczeniu wywołującym odpowiedni nastrój, jak pluszowe kotary, palmy itp. Zwiedzający już od progu ogarnięci byli atmosferą erotyzmu. Na widok obnażonego ciała pięknej niewolnicy jedni wyrażali zadowolenie, że tu przyszli, inni wstydliwie się odwracali. Matki, które niebacznie przybyły na wystawę z dorastającymi córkami, w popłochu opuszczały jej pomieszczenie.

Dzieło Marcelego Suchorowskiego, „znanego gorszyciela" wywołało ożywioną polemikę, co do swoich wartości artystycznych i moralnych. Mimo odpowiedniej oprawy i szerokiej reklamy w prasie wystawa nie odniosła spodziewanego sukcesu. *„Piękna niewolnica wraz ze swym twórcą p. Suchorowskim opuszczają Łódź wcześniej niż zamierzali"* — donosił „Dziennik Łódzki".

Pierwszy Salon Artystyczny w Łodzi powstał dopiero w 1895 roku. Założył go znany pisarz i publicysta Zygmunt Bartkiewicz. Salon prowadził ożywioną działalność wystawienniczą. Bartkiewicz próbował odgrywać rolę protektora artystów, pośrednicząc w sprzedaży obrazów, a nawet nabywając niektóre eksponaty. Niezmiernie interesująco przedstawiała się wystawa urządzona w 1898 roku. Pokazano na niej 220 obrazów. Wśród wystawionych prac znaczna część była pędzla malarzy łódzkich S. Hirszenberga (50) i L. Pilichowskiego (35). Ponadto prezentowano obrazy J. Chełmońskiego, J. Fałata, J. Kossaka, W. Podkowińskiego, H. Siemiradzkiego, L. Wyczółkowskiego i innych.

Salon Artystyczny Z. Bartkiewicza przez pierwsze cztery lata mieścił się przy ulicy Benedykta 1 (22 Lipca), a następnie przeniesiony został na ulicę Zawadzką 3 (Próchnika). W okresie lata Bartkiewicz wystawiał obrazy również w parku helenowskim. Salon Artystyczny prosperował słabo i nie znalazł takiego poparcia, na jakie liczyli właściciel i artyści. W 1900 roku Bartkiewicz nierentowną imprezę odstąpił aptekarzowi Janowi Grodkowi i artyście-rzeźbiarzowi Antoniemu Szczygielskiemu.

Przez pewien czas wśród łódzkich fabrykantów panowała moda uwieczniania się na portretach. Spore zapotrzebowanie na portrety rodzinne ściągało do Łodzi grupę malarzy liczących na hojny zarobek u wzbogaconych przemysłowców i kupców. Artyści ci pochodzili głównie z Warszawy i pobyt ich w Łodzi ograniczał się w zasadzie do czasu potrzebnego na wykonanie zamówienia. Wtedy to również całkiem nieźle wiodło się miejscowym malarzom. Nie trwało to jednak długo, rychło bowiem malarzy-portrecistów wyrugowali fotografowie oferujący znacznie tańsze portrety sporządzone przy pomocy kamery fotograficznej.

Ówczesna prasa łódzka zachęcała miejscowych malarzy, ażeby w swej twórczości sięgali po tematy wiążące się z Łodzią i jej mieszkańcami. Inspiracja ta nie pociągała jednak artystów-malarzy, gdyż zdawali sobie sprawę, że wzbogacony fabrykant, myśląc o przyozdobieniu swego salonu, nie nabędzie obrazu przedstawiającego zabudowania fabryczne czy robotnika przy pracy. Toteż Łódź nie doczekała się takiego uwiecznienia w malarstwie jak inne miasta o długich tradycjach kulturalnych.

Tematyką łódzką zainteresowali się natomiast niektórzy malarze i graficy warszawscy. Pierwsze widoki Łodzi wykonane przez warszawskiego artystę-litografa Władysława Walkiewicza, to siedem litografii z połowy XIX wieku, zamieszczonych w książce O. Flatta „Opis miasta Łodzi". W latach następnych ukazało się kilka drzeworytów z widokami Łodzi w „Tygodniku Ilustrowanym". Dopiero jednak w 1888 roku w wydawnictwie niemieckim „Jubiläumsbeilage zur Lodzer Zeitung" znalazło się sporo drzeworytów, obrazujących szereg budynków fabrycznych i użyteczności publicznej. Niektóre drzeworyty podpisane są przez znanych warszawskich ilustratorów: J. Holewińskiego, E. Goraz-dowskiego, E. Nicza i innych. Pod koniec stulecia pojawiły się również albumy reklamowe, przedstawiające większe zakłady przemysłowe w Łodzi i okolicy. Rysownicy tych obiektów nie są znani.

Z roku 1896 pochodzi ładny zbiór akwarel o tematyce łódzkiej, zachowanych w Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Łodzi. Namalowali je na zamówienie jednego z miejscowych przemysłowców znani warszawscy artyści: K. Pillati, J. Cegliński i R. Okniński. Akwarele przedstawiają widoki świątyń, pałaców, gmachów reprezentacyjnych i większych fabryk.

WACŁAW PAWLAK

Polemiki • Listy • Opinie

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie" publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

ZIOŁOMIÓD — PRODUKT MIODOPODOBNY

W związku z notatką zamieszczoną w Waszym poczytnym czasopiśmie czujemy się zobowiązani do udzielenia kilku wyjaśnień, sprostowań jak również zaprezentować swoje stanowisko w tej sprawie.

1. Ziołomiody produkowane przez pszczelarzy zrzeszonych w Regionalnym Zrzeszeniu Pszczelarzy „Apipol" są produktem legalnie wprowadzonym do obrotu, produktem spożywczym a decyzje w tej sprawie wydał Główny Inspektor Sanitarny PRL po zasięgnięciu opinii Państwowego Zakładu Higieny. Decyzja wydana została w dniu 14.11.1984 r. — pismo znak EZ-4434-Og-3784 i podpisana przez gen. bryg. prof. dr med. Jerzego Bończaka podsekretarza stanu w Ministerstwie Zdrowia i Opieki Społecznej.

2. Ubolewać należy, że problem „ziołomiodów" przekroczył granice kraju, czemu dano wyraz w trakcie spotkania pojednawczego odbytego w Ministerstwie Rolnictwa z udziałem ministra rolnictwa i kierownika wydziału rolnego KC PZPR oraz prezesów dwu organizacji legalnie działających w kraju tj. Polskiego Związku Pszczelarskiego i Regionalnego Zrzeszenia Pszczelarzy „Apipol" w Krakowie. Szczególnie ubolewać należy nad publikacją tego rodzaju notatek w sytuacji, gdy produkt ten poddany badaniom klinicznym wykazuje cały szereg pozytywnych właściwości profilaktycznych, a nawet leczniczych, a ponadto ma szansę stać się „szlagierem" eksportowym.

3. 30 grudnia 1986 r. odbyło się spotkanie w Ministerstwie Rolnictwa. Spotkanie to doprowadziło do podpisania porozumienia ogromnie ważnego w swej treści ujmującego fundamentalne zasady dalszej zgodnej współpracy mającej ogromne znaczenie w świetle zbliżającego się XXXI Światowego Kongresu Pszczelarskiego „Apimondia". Polska gościć będzie przedstawicieli ponad 70 krajów świata i zgodne współdziałanie wszystkich pszczelarzy naszego kraju jest nakazem chwili. Daje temu wyraz również pismo z 12.2.87 prezesa Polskiego Związku Pszczelarskiego księdza dr H. Ostacha do prezesa RZP „Apipol", przedstawiające cały zakres problemów i tematów do współpracy.

Jak w świetle tego należy rozumieć treść, obraźliwą formę i styl zamieszczonej notatki z 28.2.87 r.? W naszym przekonaniu jest to wysoce nielojalne działanie, sprzeczne z duchem porozumień.

4. Prawdą jest, że Łódzki Zespół Pszczelarzy „Barć" nie jest Spółdzielnią a jedynie zespołem produkcyjnym. Dla uzupełnienia podajemy, że aktualnie zespół posiada ponad 200 rodzin pszczelich, a jego głównym celem jest prowadzenie swych pasiek w sposób nowoczesny, współdziałając z wieloma jednostkami naukowymi.

Czytając treść notatki z dn. 28.02.1987 r. pt. „Ziołomiód"... falsyfikatem" nasuwa się smutna refleksja, że niektórym Członkom Zarządu WZP zależy na zdobyciu popularności, którą tracą a chcieliby ją mieć w świetle zbliżającego się Walnego Zjazdu Delegatów.

Łódź, 1987.03.16

Członkowie ŁZP „Barć"
PAWEŁ CHRAKOWIECKI
STANISŁAW CHRAKOWIECKI

OD REDAKCJI: Przypominamy, że w rubryce „Z Rynku" pozytywnie wyrażaliśmy się o „Ziołomiodach", co spowodowało reakcję PZP, w której „Ziołomiody" nazwano falsyfikatami. Jest to więc spór nie ze stanowiskiem redakcji, a między obu pszczelarskimi organizacjami.

30 grudnia 1986 roku na spotkaniu prezesów obu organizacji: Polskiego Związku Pszczelarskiego i RZP „Apipol" postanowiono między innymi, że od 1 stycznia 1987 roku RZP „Apipol" wprowadzi na rynek ziołomiody z nazwą: „Ziołomiód" z dopiskiem: „Produkt miodopodobny" oraz że na etykiecie podany będzie skład „ziołomiodu". Postanowiono również, że „strony przejawią wolę współpracy w zakresie rozwoju pszczelarstwa", a także, że „strony postanawiają nie wracać do spraw zaszłości".

Daliśmy więc możliwość wypowiedzenia publicznie stanowiska przedstawicielom Łódzkiego Zespołu Pszczelarzy, ale w myśl zawartego porozumienia nie będziemy już do tego tematu powracali.

REDAKTOR DYŻURNY

KILKA SPROSTOWAŃ

Do mego tekstu „Gdyby w Łodzi budowano samoloty" wkradło się kilka istotnych błędów.

1. Panowie Tramecourt i Grabowski pracowali w Departamencie Lotnictwa Cywilnego. Nie pracowali natomiast w Biurze Projektów i Studiów.

3. Nazwa paramilitarnej organizacji niemieckiej brzmiała: Nazional Sozialistische Flieger Korps, a zatem NSFK a nie NSEK.

7. Nie zamieniono nazwy samolotu SZPAK na RWD-13 co jest nielogiczne i bez sensu a zamieniono samolot SZPAK na RWD-13. Ponadto nazwisko pilota-inżyniera brzmi Kasprzyk a nie Kasprzak.

8. Pan Ożałas był kadrowcem, a nie magazynierem.

9. Informacja o zaniechaniu produkcji ŻAKA jest błędna. Przeczy temu zresztą zawartość cz. 12, która mówi o serii 10 ŻAKÓW.

Za zamieszczenie sprostowania byłbym zobowiązany
Z poważaniem
EDWARD KOCENT-ZIELIŃSKI

RZECZNIK PRASOWY PG WYJAŚNIA

W nawiązaniu do opublikowanego w numerze 28/86 „Odgłosów" postanowienia Prokuratury Wojewódzkiej w Płocku o umorzenie postępowania w sprawie nadzwyczajnego zagrożenia wód podziemnych związkami cyjanku na terenie miasta Żychlina spowodowanego przez ZWMEiT „Emit" uprzejmie informuję, iż dołączony do tej publikacji redakcyjny komentarz stał się inspiracją dla Prokuratury Generalnej do wnikliwego zbadania tej sprawy. Departament Postępowania Karnego Prokuratury Generalnej ze względu na stwierdzone niedopracowanie sprawy polecił Prokuraturze Wojewódzkiej przeprowadzić konsultację z Wydziałem Ochrony Środowiska Gospodarki Wodnej i Geologii Urzędu Wojewódzkiego w Płocku. W wyniku tej konsultacji Prokuratura Wojewódzka poleciła z kolei Prokuratorowi Rejonowemu w Kutnie podjąć na nowo umorzone postępowanie przygotowawcze. Zarzut popełnienia przestępstwa z art. 108 ustawy z 30.I.1986 r. o ochronie i kształtowaniu środowiska prokurator przedstawił zastępcy dyrektora ZWMiET „Emit" w Żychlinie. Ostatecznie Prokuratura Rejonowa w Kutnie umorzyła śledztwo. Pragnę poinformować Czytelników, iż umorzenie to nastąpiło na podstawie przepisów ustawy z 17 lipca 1986 r. o szczególnym postępowaniu wobec sprawców niektórych przestępstw.

Prokurator uznał, że wspomniany dyrektor nie dopełnił ciążącego na nim obowiązku prawidłowej obróbki ścieków pogalwanicznych. Czyn zarzucany podejrzanemu jest występkiem zagrożonym karą pozbawienia wolności do lat 3.

Prokurator słusznie uznał, że z okoliczności sprawy wynika, iż orzeczona przez Sąd kara pozbawienia wolności za ten czyn nie przekraczałaby 1 roku i uległaby darowaniu i dlatego śledztwo umorzył.

TADEUSZ GIELO
Prokurator Prokuratury Generalnej
Rzecznik Prasowy Prokuratury Generalnej

„TAM, GDZIE ZIEMIA USUWA SIĘ SPOD NÓG"

W numerze 1 „Odgłosów" opublikowaliśmy za kwartalnikiem „TAK i NIE — ŚLĄSK" reportaż Andrzeja Niedoby pt. „Tam, gdzie ziemia usuwa się spod nóg", a dotyczący zapadającej się wsi na Śląsku, co jest wynikiem szkód górniczych. W odpowiedzi otrzymaliśmy z PZU w Katowicach następujące pisma:

W związku z zamieszczeniem w nr 1 z 1987-01-03 artykułu „Tam, gdzie ziemia usuwa się spod nóg" uprzejmie informujemy, że dokonaliśmy sprawdzenia prawidłowości likwidacji szkody ob. Kleczka Eugeniusz zam. Przyszowice, ul. Brzozowa 17 (kopia odpowiedzi w załączeniu). W/w podpisał obliczone odszkodowanie i podjął przekazaną kwotę. Nie wnosił pretensji do Inspektoratu PZU w Rybniku.

Dodatkowo komunikujemy, że dla mieszkańców Przyszowic wypłacono odszkodowania w wysokości 2.691.879 zł z tytułu zgłoszonych 39 szkód powodziowych w budynkach i 29 szkód w mieniu ruchomym.

Ustaliliśmy również, że trwają czynności wywłaszczeniowe części terenu miejscowości Przyszowice, najbardziej zagrożonego szkodami górniczymi. Z uwagi na sprzeciw większości mieszkańców, odmawiających opuszczenia gospodarstw, Naczelny Sąd Administracyjny — do którego mieszkańcy (w tym ob. Kleczka) wnieśli odwołanie od decyzji wywłaszczeniowych — polecił przeprowadzenie ponownych prac wywłaszczeniowo-odszkodowawczych.

mgr inż. ANDRZEJ MILEWSKI
(Oddział Wojewódzki PZU Katowice)

Obywatel Eugeniusz Kleczka, Przyszowice

W związku z artykułem „Tam, gdzie ziemia usuwa się spod nóg" zamieszczonym w nr 1 czasopisma „Odgłosy" otrzymaliśmy z Centrali PZU polecenie sprawdzenia prawidłowości likwidacji szkód powodziowych zaistniałych w sierpniu 1985 r., w tym szkody Obywatela.

Analiza dokumentacji nie wykazała nieprawidłowości w ustaleniu wysokości odszkodowania. Likwidacja odbyła się przy udziale świadków, do obliczenia przyjęto ruchomości figurujące na zgłoszeniu szkody sporządzonym przez Obywatela. Łącznie za uszkodzenie budynków i mienia ruchomego wypłacono w dniu 1985-10-28 kwotę 122.779 zł, która została podjęta. Stosownie do przepisów Rozporządzenia Rady Ministrów z 21 lutego 1985 r. (Dz. U. Nr 10 poz. 38) w sprawie ubezpieczenia ustawowego budynków oraz mienia w gospodarstwach rolnych — przedmiotem odszkodowania wypłaconego przez PZU mogą być jedynie skutki powodzi, natomiast ochroną ubezpieczeniową nie są objęte następstwa szkód górniczych.

Uzyskaliśmy informację, iż KWK „Sośnica" w Gliwicach i Zabrzańskie Gwarectwo Węglowe zajmują się nadal sprawami związanymi z rekompensowaniem skutków działalności górniczej na obszarze Przyszowic.

mgr inż. ANDRZEJ MILEWSKI

KTO POMOŻE MPK? BUDOWNICTWO!

Zabieram głos na temat artykułu Krzysztofa Zająca „Kto pomoże MPK", który ukazał się w „Odgłosach" nr 11 z 14.03.1987 r., gdyż zawarty w nim problem poruszył mnie do żywego. Wprawdzie nie znam bezpośrednio problemów MPK, posiadam jednak ponad dwudziestoletni staż pracy w transporcie budownictwa i na tyle doświadczenia, aby zaryzykować stwierdzenie, że dopiero tenże transport boryka się z wieloma i coraz bardziej piętrzącymi się trudnościami.

Dyrektor MPK Czesław Rydecki ma kłopoty z brakiem samochodów i części zamiennych, z brakiem kierowców i mechaników samochodowych. Te problemy nie są dla mnie żadną nowością, gdyż są one codziennością praktycznie wszystkich przedsiębiorstw transportowych w całym kraju. Gorzej jest w tych przedsiębiorstwach transportu budowlanego, które nie posiadają zajezdni, lub tylko ich namiastki, bez kanałów naprawczych i ogrzewania, bez placów garażowania, bez myjni samochodowych, gdzie monter musi wykonywać pracę leżąc na betonie lub w błocie, a przecież praca tych przedsiębiorstw jest równie ważna dla gospodarki narodowej.

Dyrektor Rydecki mówi o dużej awaryjności autobusów wynikającej z przeciążenia linii, i to jest prawda, ale co mają powiedzieć budowlani, którzy pracują w błocie, bez dróg dojazdowych, gdzie średnio co drugi — trzeci dzień pojazd zjeżdża „na awarię" a nie ma gdzie, czym i kim naprawiać. Zadaję sobie pytanie, kto pomoże tym przedsiębiorstwom, kto pomoże transportowi w całym kraju? Zdajemy sobie wszyscy sprawę, że z tysięcy pojazdów poruszających się po drogach kraju duży procent nie powinien wyjechać z bazy, ale napięte plany i brak części zmuszają kierownictwa przedsiębiorstw do niedostrzegania niektórych usterek technicznych pojazdów.

Wydaje mi się, że problemy poruszone przez Krzysztofa Zająca oraz problemy transportu w ogóle nie będą rozwiązane dopóty, dopóki nie poprawi się sytuacja gospodarcza kraju. Kierownicy przedsiębiorstw mogą tylko w minimalnym stopniu łagodzić skutki kryzysu. A póki co, chciałbym zaproponować dyrektorowi Rydeckiemu, aby wszedł w kontakt z przedsiębiorstwami transportowymi budownictwa, które mają możliwość oddelegowania na okres około 4 miesięcy tj. grudzień—marzec kierowców z I kategorią prawa jazdy do obsługi autobusów. W tym czasie praca w budownictwie zamiera, kierowcy przebywają na tzw. urlopach mrozowych lub biorą udział w naprawie pojazdów. Sądzę, że byłoby to z korzyścią dla wszystkich.

JERZY PIASECKI
(Zgierz)

VIII OGÓLNOPOLSKI KONKURS IM. ADAMA POLEWKI

„Gazety Krakowskiej" na wypowiedź w formie artykułu, reportażu, eseju, szkicu, felietonu, pamiętnika itp. pod hasłem: POZA SCHEMATAMI.

Organizatorzy konkursu mają nadzieję, że autorzy prac ukażą ludzi, których działania wychodzą poza konwencjonalne ramy kryzysowej rzeczywistości, którzy swoją cywilną odwagą, moralnym postępowaniem, altruizmem społecznym, przedsiębiorczością, na przekór wszystkim przeciwieństwom losu, obolałościom i rozczarowaniom, nie opuszczają rąk, nie zamykają się w kręgu prywatności, nie powiększają szeregu malkontentów, lecz niespokojni duchem, wrażliwi intelektualnie i moralnie, starają się poprawić polską rzeczywistość, myślą mądrą i czynem.

Czy idzie nam o portret bohatera pozytywnego naszych czasów? Tak, lecz nie tylko. Naszym głównym wrogiem jest przeciętność, pospolitość, średniactwo stanowiące parawan dla egoizmu i sobkostwa, miernoty i cwaniactwa. Te schorzenia usuwa się w walce, która niesie nie tylko smak sukcesu, ale i gorycz porażki. Tego nie chcielibyśmy zatajać, wierząc, iż prędzej czy później nasze będzie zwycięstwo. Ta wiara stanowiła nieodłączny atrybut postawy patrona konkursu Adama Polewki, pisarza i komunisty związanego przed laty z naszą „Gazetą".

Nagrody:

— nagroda I — 60 tys. zł — ufundowana przez „Gazetę Krakowską";

— nagroda II — 50 tys. zł — ufundowana przez Zarząd Krajowy ZMW;

— trzy równorzędne nagrody III — po 40 tys. zł — ufundowane przez Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych, Hutę im. Lenina i Ośrodek Telewizji Kraków;

— pięć równorzędnych nagród IV — po 30 tys. zł — których fundatorami są: Ministerstwo Kultury i Sztuki, Zarząd Główny SD PRL, Zarząd Główny ZSMP, Krajowa Agencja Wydawnicza w Warszawie oraz Wydział Kultury i Sztuki UM Krakowa;

— sześć wyróżnień po 20.000 zł ufundowanych przez RN ZSP, Krakowską Radę PRON, Wydziały Kultury i Sztuki w Nowym Sączu i Tarnowie, Wydawnictwo Literackie, Ośrodek Kultury „Krakowska Kuźnica".

Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród.

Termin nadsyłania tekstów (dotąd nie publikowanych) upływa **10 maja 1987 r.** Organizatorzy nie ograniczają rozmiaru prac, nie określają też kręgu tematycznego ani charakteru wypowiedzi, zastrzegają sobie natomiast prawo pierwszeństwa druku. Wybór tekstów ukaże się w formie książkowej.

Uczestnicy proszeni są o nadsyłanie prac podpisanych godłem **w trzech egzemplarzach maszynopisu** pod adresem red.: **31-072 Kraków, ul. Wielopole 1** z dopiskiem **„Konkurs im. A. Polewki".** Do przesyłki należy dołączyć zaklejoną kopertę opatrzoną godłem autora i zawierającą wewnątrz imię i nazwisko oraz adres i ewentualny telefon nadawcy.

XXIX ŁÓDZKA WIOSNA POETÓW

Oddział Wojewódzki Stowarzyszenia PAX w Łodzi i Instytut Wydawniczy PAX, ogłaszają ogólnopolski konkurs poetycki na utwory o tematyce religijnej i dowolnej. Konkurs ma charakter otwarty, mogą w nim wziąć udział członkowie Związku Literatów Polskich, jak i autorzy niezrzeszeni w związkach twórczych.

Utwory nigdzie dotąd nie publikowane, w pięciu egzemplarzach maszynopisu, opatrzone godłem wraz z kopertą zawierającą dokładne dane osobowe autora — należy nadsyłać do **1 maja 1987 r.** pod adresem: **90-417 Łódź, ul. Piotrkowska 49, Oddział Wojewódzki Stowarzyszenia PAX,** z dopiskiem — **Łódzka Wiosna Poetów.**

Ilość nadesłanych przez jednego autora prac poetyckich — nie powinna przekraczać trzech.

W obu kategoriach wierszy przyznane zostaną następujące nagrody: I nagroda — 15.000 zł; dwie II nagrody — po 10.000 zł; trzy III nagrody — po 6.000 zł; cztery wyróżnienia — po 4.000 zł.

Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród.

W trakcie uroczystości wręczenia nagród i wyróżnień, która nastąpi w niedzielę 21 czerwca 1987 r. o godz. 11 w lokalu Oddziału Wojewódzkiego Stow. PAX w Łodzi, odbędzie się również tradycyjny Turniej Jednego Wiersza.

REDAKCJA — CZYTELNICY

Mimo wyraźnego zastrzeżenia ze strony redakcji, że nie chcemy już wracać do spraw poruszanych w reportażu Romana Kubiaka „Z gorącą krwią" nadal napływają listy od Czytelników. Nie będziemy ich jednak publikowali. Po pierwsze — dlatego, że sprawę ostatecznie rozstrzygnął sąd i nie ma powodów, aby do niej powracać. Po drugie — dlatego, że dokonano również moralnej oceny postępowania Karola M. I wreszcie po trzecie — dlatego, że od publikacji reportażu Romana Kubiaka „Z gorącą krwią" minęło już prawie 10 miesięcy. To wszystko. Wszystkim autorom listów nadesłanych w tej sprawie dziękujemy.

TEGO JESZCZE W „ODGŁOSACH" NIE BYŁO! — napisał W. Afelt i pomylił się. Chodzi oczywiście o ogłoszenia. Otóż już było. W latach siedemdziesiątych próbowaliśmy zamieszczać ogłoszenia. Z niewielkim skutkiem. Inne były wówczas czasy, inny — mniejszy, bo nie przekraczający 20 tysięcy egzemplarzy nakład, a dziś mamy dwukrotnie więcej, to i ogłoszenia — mamy nadzieję nam się lepiej powiodą.

Są one tańsze niż w innych łódzkich pismach. Cena 1 cm kwadratowego wynosi 150 zł. Jest to o jedną trzecią taniej niż w gazetach codziennych. Na ogłoszenie czeka się — aż się ukaże w druku — od 7 do 10 dni. Decyduje o tym cykl wydawniczy tygodnika.

Przy okazji wszystkich, którzy chcieliby skorzystać z naszych łamów, aby zamieścić ogłoszenie, informujemy, że powinny one — decyduje o tym układ graficzny pisma — mieć jedną z następujących szerokości: 5, 7,5 lub 10 cm, albo też wielokrotność wymienionych szerokości przy dowolnej wysokości. Ogłoszenia — na życzenie klienta — możemy wzbogacać grafiką lub fotografiami.

Szczegółowe informacje można uzyskać w redakcji „Odgłosów": **Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5, XIII piętro, tel. 36-80-99** lub w **Biurze Ogłoszeń**, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5, tel. 32-59-11.

STANISŁAW MICHALSKI prosi, aby zamieścić jego adres, co niniejszym czynimy: **99-300 KUTNO, Skrytka pocztowa 63.** Prośba ta podyktowana jest tym, że Stanisław Michalski poszukuje „Odgłosów" z 1983 roku: numerów 38, 39, 40, 41, 44, 47, 50, 51, 52, 53. Poszukuje też „Odgłosów" z 1984 roku: numerów 1, 3, 4, 7, 16, 23, 26, 32, 37, 40, a także numeru 1500 z 1986 roku (nr 51—52). Kto mógłby pomóc zbieraczowi czasopism?

REDAKTOR DYŻURNY

BIURO PODRÓŻY
mgr tur. Wojciecha Marzyńskiego

OFERUJE

— wyjazdy w dowolnym terminie na dowolną ilość dni do Polańczyka, Krynicy, Bukowiny, Zakopanego, Szczyrku, Węgierskiej Górki (również rodziny z małymi dziećmi), Polanicy, Szklarskiej Poręby, Karpacza, Świeradowa i innych.

ZAPRASZA

— na „URLOP Z WOJCIECHEM" — 14-dniowe pobyty nad morzem, jeziorami i w górach oraz „pod gruszą" we wsiach letniskowych.
— na „WAKACJE U CIOCI" dzieci i młodzież. Interesujący i zróżnicowany program. Grupy kilkunastoosobowe. Obozy stałe i wędrowne.

INFORMACJA I ZAPISY —

Łódź, ul. Narutowicza 24, tel. 32-02-71
od poniedziałku do piątku w godz. 10—17

564-k

Motto:
„dusze zwyciężone
noce stracone
cienie kształtne
w Mourarii
śpiewa bard
płaczą gitary
miłość zazdrość
popiół i płomień
ból i grzech
wszystko to istnieje
wszystko to jest smutne
wszystko to jest fado"
(z tekstu popularnego fado śpiewanego przez Amalię Rodriguez)

Dla „saudades" nie ma odpowiednika w innym języku — oznacza nieokreśloną tęsknotę. Tourada — to portugalska corrida, jest zupełnie inna niż hiszpańska.

Gdy płaczą gitary i radują się ludzie

MARIA-MAGDALENA STARZYCKA

Na kilka dni przyjechał do Lizbony znany polski reporter S. Chce usłyszeć prawdziwe fado. W trzy osoby wybieramy się na Barrio Alto, starej dzielnicy Lizbony, ulubionej siedziby wszystkich tutejszych artystów. Zajeżdżamy samochodem od innej strony niż przychodzę tu zwykle, dlatego jestem kompletnie zdezorientowana w terenie. Jest noc i mamy trudności z zaparkowaniem samochodu. Uliczki wąskie, trudno coś jeszcze ustawić między parkujące rzędem samochody, dodatkowo utrudniające poruszanie się po mieście. Wreszcie na jakimś placyku udaje się nam postawić samochód. Wysiadamy. Obok między samochodami jakiś szary worek. S. zatrzymuje się:

— *Co to, jakiś worek? To się rusza!*

Patrzę trochę przestraszona i rozpoznaję w worku znaną mi już z widzenia tkaninę niegdysiejszej ruany andyjskiej. Krzyczę:

— Niech pan nie dotyka, to człowiek. To nędzarz i żebrak znany mi z Rossio (jednego z głównych placów w Lizbonie), chodzi osłonięty tą tkaniną wlokącą się po ziemi jak tren. Zamiata nią wszelkie śmiecie.

Zrósł mi się w pamięci z tym placem, należąc do kolorytu lokalnego. Teraz w nocy, skulony schował się między samochodami w cichej dzielnicy i porusza się rytmicznie: drapie się z powodu robactwa i brudu.

Nie widać jakoś tych słynnych domów fado. Zwracamy się do policjantów pilnujących jakiegoś rządowego pałacu. Nie bardzo wiedzą, co powiedzieć, widać nie przychodzą tu z powodu fado. Wreszcie jeden z nich coś sobie przypomina i poleca jakiś pobliski lokal. Wchodzimy.

— To jakaś tancbuda, a nie fado — stwierdza S. Zawracamy. Dostrzegamy, że niemal w każdej bocznej uliczce świecą się neony zapraszające na fado. Wybieramy jeden. Lokal wydaje się sympatyczny. Na ścianach stare fotografie artystów i rysunki. Podaje się tu wina i coś do przegryzienia: fistaszki, oliwki, frytki. Na ogół goście nie zamawiają kolacji, jest tu drogo, a przychodzi się tu przecież głównie dla fado. Nieco turystów cudzoziemskich przy stolikach, ale oni zmęczeni wrażeniami wycieczki opuszczają swe miejsca tuż po północy, pozostają tylko Portugalczycy i my.

Jest to jeden z nielicznych lokali, w których śpiewa się fado w dwojakim stylu, tym z Coimbry i lizbońskim. Artyści wymieniają się, a w przerwach, kiedy nie śpiewają pomagają kelnerom. Proponują kupno kaset z ich nagraniami. Nie kupujemy, zbyt drogie.

„Saudades" i *„amor"* to słowa pojawiające się najczęściej w tekstach fado. *„Saudades"* — jest wyrazem właściwie bez odpowiedników w innych językach, to smutek, tęsknota nieokreślona. Może to bezmiar oceanu wywołuje w człowieku takie uczucia? O czwartej nad ranem, kiedy kończy się koncert, a obyczajem tutejszym kończy się wówczas, gdy goście zdecydują się wyjść, mam wrażenie, że pojęcie *„saudades"* jest mi już bliższe. Nawet mniej absurdalna wydaje mi się sławna historia oczekiwania na powrót Dona Sebastiana. Jest to postać z historii Portugalii. Bohater, który zginął w walce z Arabami w Afryce. Jego śmierć nie została poświadczona i ciągle oczekiwano jego powrotu. Wszyscy następni władcy przy otrzymaniu korony musieli przysięgać, że zwrócą władzę Dom Sebastianowi, jeśli się pojawi. W końcu jak się czegoś bardzo pragnie, wszystko może się zdarzyć!

FADO NALEŻY DO FOLKLORU

narodowego Portugalii, a ten folklor jest wyjątkowo żywy. W poważnej literaturze naukowej traktuje się fado jako tekst wyrażający najistotniejsze właściwości ludu, tu szuka się archetypów mitów narodowych.

W telewizji podawano notowania specyficznej giełdy — co sprzedaje się najczęściej i najwięcej na płytach i kasetach. Jedno z pierwszych miejsc przez pół roku zajmowała słynna fadzistka Amalia Rodriguez, której zdjęcia na okładkach płyt wystawione w oknach sklepowych towarzyszą przechodniom ukazując się często to tu, to tam w całym mieście. To obecna królowa fado. Śpiewają też fado mężczyźni, typowym instrumentem towarzyszącym jest gitara. Melodia oparta zwykle na powtarzającym się motywie przypomina falę morską obijającą się o brzeg plaży.

Drugą miłością Portugalczyków poza fado jest tourada. Kiedy zaczyna się wiosna w Lizbonie pojawiają się plakaty zapowiadające walki. Traktowane są one jako rodzaj narodowych igrzysk, ponieważ są niezwykle kosztowne, nie odbywają się zbyt często. Dla amatorów tourady jest to wielkie święto. Przebieg widowiska jest zazwyczaj transmitowany przez telewizję. Rozpoczęcie sezonu jest też okazją do wspominek dawnych walk, i powtarzaniem już zarejestrowanych niegdyś sławnych wydarzeń na arenie. Zabierają głos specjaliści od corridy, mówią o przeszłości i snują rozważania nad przyszłością tego *„sportu"*. Zwracają uwagę na różnice między szkołą hiszpańską i portugalską. Mój stosunek do tego dziwnego w naszej polskiej wyobraźni widowiska był raczej bardzo chłodny. Postanowiłam zobaczyć jedną touradę dla porządku rzeczy, jak się jest w Portugalii... nic co portugalskie nie powinno mi być obce. Wybrałam się z grupką Polaków będących tu przejazdem.

W SAMYM ŚRÓDMIEŚCIU LIZBONY.

blisko stacji metra Campo Grande na dużym placu wznosi się niezwykła budowla, okrągła, z czerwonej cegły, w stylu nieco orientalnym, to właśnie miejsce rozgrywających się walk byków.

Widowisko zaczyna się o dziesiątej wieczorem, jak większość tutejszych imprez. Nawiasem mówiąc czasami mam wrażenie, że nie bez przyczyny Portugalczycy nie znają ani słowa, ani pojęcia *„wieczór"*, tylko *„noc"*. Kiedy bawią się, wydaje się, że ich zabawom nie ma końca.

Po odnalezieniu właściwego wejścia wchodzimy do wnętrza tej budowli bez dachu, która jest rzęsiście oświetlona sztucznym światłem. Ludzie zasiadają całymi rodzinami, widać, że będą tu długo, bo czasem przychodzą z wałówkami, jak na piknik. Atmosfera gorąca, wymiana uwag, oczekiwanie, głośna orkiestra. Impreza zapowiadana jako część obchodów świąt lizbońskich jest wyjątkowa i połączona z pokazem koni, ich umiejętności i paradnymi prezentacjami powozów. Domyślamy się, że tak musiały te imprezy wyglądać niegdyś, gdy oczekiwano, na gości najważniejszych, na dwór, i coś z tej dawnej atmosfery odczuwa się tego dnia. Jeźdźcy paradują w strojach z XVIII w.

Pojawiają się główni aktorzy tego widowiska. Ich stroje błyszczą jedwabiami i bogatymi galonami, przypominają swym wyglądem ludzi z obrazów Bacharellego. Pojawienie się każdego z cavaleiros jest witane owacyjnie, są to bożyszcza znane doskonale portugalskiej widowni. Kiedy tłum wiwatuje czuję się zupełną ignorantką, sąsiedzi wymawiają nazwiska toreros, krzyczą, rzucają uwagi związane z nadziejami na ciekawy przebieg imprezy.

Szczerze mówiąc dość nieoczekiwanie w tym zamieszaniu dostrzegłam na arenie byka. Tu przypomina mi się uwaga, którą czyni zwykle mój znajomy Portugalczyk, znawca tourady. To nie zwykły byk, to byk chowany i przygotowany tylko do walki. Na to zwierzę bojowe portugalski ma specjalne słowo. Pozostańmy zatem przy naszym zwykłym polskim ze świadomością, co w tym wypadku oznacza.

Kilka błyskawicznych ruchów byka i człowieka na koniu kończy się wbiciem pierwszej lancy w byczy kark. Teraz podrażnione zwierzę chce się zemścić, szaleje, widać wiele momentów, kiedy rogi ocierają się o konia, koń przestraszony umyka, jeździec zręcznie nim kieruje, aż niewiarygodne wydaje się, że można uciec od groźnego niebezpieczeństwa na takiej małej przestrzeni, w której właściwie można tylko krążyć w kółko. Koń bywa zmieniany, delikatne zwierzęta nie wytrzymują lęku i zmęczenia. Jeździec walczy dalej. Następne ostrza czasami łatwiej wbić, kiedy byk słabnie, reguły jednak gry ograniczają je do czterech. Na arenie portugalskiej nie zabija się zwierzęcia, więc wielka odpowiedzialność spoczywa na cavaleiro, który winien tak działać, aby umożliwić obezwładnienie zwierzęcia tym, którzy będą się prezentować publiczności później. Po czterech pchnięciach jeździec opuszcza arenę. Byk na ogół zmęczony walką odpoczywa stojąc obok obrzeża i wygląda jakby nie miał na nic ochoty, odpoczywa, jest jednak jeszcze silny i dalszy ciąg widowiska może potoczyć się różnie.

TERAZ WYCHODZĄ NA ARENĘ CHŁOPCY

„forzados" (siłacze), którzy gołymi rękami muszą obezwładnić bestię. Często zmęczone zwierzę drażnione jest ich okrzykami, pogróżkami. Jest to moment pewnego rozluźnienia napięcia, nawet jakiegoś elementu komicznego, bo przodownik w zielonej czapeczce, tych dziewięciu chłopców ustawionych w szeregu jeden za drugim swoje nawoływania wyraża w takiej formie, aby zabawić i rozśmieszyć publiczność.

Sytuacje zmieniają się jednak błyskawicznie, jakby nagle „urażony" w swej dumie byk zrywa się do walki. Przebieg jej bywa różny. Niemniej na ogół, o ile zwierzę nie jest już najsilniejsze udaje się atakowanemu uchwycić byka za rogi i wskoczyć mu na łeb. Reszta wówczas obsiada zwierzę dookoła i jeśli nastąpi chwila, kiedy byk nie może się ruszyć, zwycięstwo jest po stronie człowieka. Na dany znak ludzie odskakują i oszołomione zwierzę chwilę jeszcze kręci się w kółko, aby uwolnić się od intruza, który wisi mu na ogonie. Jest to techniczny wybieg umożliwiający reszcie zespołu bezpieczne zejście a w porę, marny ich los. Na pomoc w bardziej niebezpiecznych sytuacjach wychodzą zawodnicy uzbrojeni tylko w mulety, osłaniając w ten sposób kontuzjowanych.

Zwierzęta do walki są specjalnie dobierane, najpierw słabsze a potem silniejsze. W miarę oglądania poszczególnych walk, coraz trudniejszych napięcie widowiska rośnie. Wydaje się bowiem, że każda następna sytuacja będzie jeszcze trudniejsza, tak, że widz zaczyna wątpić w możliwość pokonania któregoś z walecznieszych zwierząt. Oglądałam walkę, w czasie której trzykrotnie „forzados" usiłowali utrzymać zwierzę, ale im się to zupełnie nie udawało. Wielkie byczysko otrząsało się i „siłacze" spadali jak piłeczki. Mimo upadków, zapewne bolesnych, w mgnieniu oka podnosili się i uciekali z areny. Za trzecim razem byk poturbował jednego z zawodników tak, że w krótkim momencie, gdy torero z muletą skupił na sobie uwagę byka wyniesiono z areny zupełnie bezwładnego człowieka. Powiało grozą na widowni.

W czasie krótkiej przerwy między walkami, kiedy publiczność ma okazję komentowania wydarzeń lub skorzystania z bufetu i palarni, na widowni kręcą się sprzedawcy bandarilhas z kolorowymi wstążeczkami, takich samych, które widać jak jeźdźcy wbijają w kark byka. Tu, jak w Hiszpanii liczy się także na bogatego turystę spragnionego egzotyki.

Mimo wielkiej reklamy dziwię się, że nie wszystkie miejsca zajęte, a te lepsze czyli droższe wręcz puste. Dopiero w dniu następnym w recenzji widowiska w „A Capital", znanej gazecie lizbońskiej, znajduję wyjaśnienie: koniec miesiąca, bilety drogie, walki transmitowane przez telewizję, więc większość woli zaoszczędzić i oglądać corridę w domu.

Kiedy walki się skończyły, gdzieś o drugiej w nocy ludzie rozchodzą się. Przechodzimy mrocznymi korytarzami i klatkami schodowymi, rozchodzi się zapach zwierząt i paszy. Przed budynkiem gromadzą się jeszcze ludzie i komentują widowisko. Widzę kilku przejętych „forzados" rozmawiających o czymś, niewątpliwie są zmartwieni wypadkiem kolegi.

Wieczór bez wątpienia był emocjonujący. Nie umiem zdecydowanie określić swojego stanowiska wobec tych igrzysk, czuję się oszołomiona, wiem już jednak na pewno, że tourada jest silnie emocjonująca i może być fascynująca.

W zabawie, w sposobie obchodzenia świąt w Portugalii jest tyle cech charakterystycznych i różnych od naszych, że myślę, że są to formy uzewnętrzniające inność narodów.

Lizbona, grudzień 1986 r.

Panorama

BUŁGARIA

Od czerwca 1986 roku obowiązuje w Bułgarii zarządzenie Rady Ministrów BRL o zakazie sprzedaży samochodów osobowych przez osoby prywatne innym osobom prywatnym. Sprzedaż taka może się odbywać jedynie za pośrednictwem przedsiębiorstwa „Mototechnika i Autoserwis". Celem tego zarządzenia była likwidacja prywatnego rynku używanych samochodów, na którym ceny przewyższały państwowe ceny nowych samochodów. Zarządzenie to jest jednak systematycznie i skutecznie omijane przez sprzedających i kupujących samochody. Wymyślono kupowanie samochodów na części. Najpierw kupuje się silnik, później karoserię, następnie koła i tak „składa się" cały samochód, co nie jest zakazane. Oczywiście tych samochodów kupowanych na części nie demontuje się, jedynie akty kupna zawiera się stopniowo. Natomiast przedsiębiorstwo „Mototechnika i Autoserwis" nie wykazuje dużych obrotów. W Sofii w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy „M i A" otrzymało do sprzedaży 7 424 samochody, sprzedało 3 256, a chętnych było zarejestrowanych 31 tysięcy. Do przedsiębiorstwa „M i A" zgłasza się przede wszystkim *„wyeksploatowane graty"*, na które nie ma chętnych.

Tygodnik satyryczny „Stryszel" stwierdził, że zarządzenie RM BRL jest sprzeczne z 21 artykułem Konstytucji BRL, który stanowi, że *„prawo własności może być ograniczone tylko przez akt prawny lub za zgodą właściciela"*, a zarządzenie RM BRL nie jest aktem prawnym.

CSRS

W Czechosłowacji przygotowuje się nowe przepisy kodeksu karnego skierowane przeciw łapownictwu. To ujemne zjawisko ma najczęściej miejsce w handlu i usługach. Około 2 procent wszystkich spraw karnych wytaczanych przeciw pracownikom gospodarki uspołecznionej dotyczy łapownictwa.

Zapowiedziano też zdecydowaną walkę przeciw wykorzystywaniu stanowisk służbowych dla celów prywatnych oraz przeciw wprowadzaniu do obrotu handlowego towarów złej jakości.

Minister zdrowia republiki czeskiej na konferencji prasowej w Pradze oświadczył, że w CSRS wykryto 43 nosicieli AIDS, 6 przypadków zachorowania i jeden zgon z powodu zakażenia wirusem AIDS. Zakażenie wykryto u 13 osób chorych na hemofilię. Stwierdzono, że powodem zachorowania była importowana krew. Postanowiono przebadać wszelkie preparaty importowane, jak też wszystkich krwiodawców.

JUGOSŁAWIA

24 lutego 1987 roku w belgradzkim dzienniku „Borba" ukazał się tekst podpisany P.P. i zatytułowany: „Zgładzeni w Treblince". Autor tego tekstu informuje, że na miejscu byłego obozu zagłady w Treblince powstał pomnik dla uczczenia zamordowanych tam bułgarskich Żydów. P.P. informuje też, że w Polsce był wyświetlany film bułgarski „Pociąg śmierci". W związku z tymi faktami P.P. przypomina, że przeszło 7 tysięcy Żydów zamordowanych w Treblince pochodziło ze znanych żydowskich rodzin w Skopje, Bitoli i Sztipie. Zostali oni zatrzymani w czasie łapanki 11 marca 1943 roku i po pobycie w obozie przejściowym w Skopje wywiezieni do Treblinki, skąd już nie wrócili.

RUMUNIA

Pod koniec lutego 1987 roku obradowała w Bukareszcie Rada Ludzi Pracy Narodowości Węgierskiej i Rada Ludzi Pracy Narodowości Niemieckiej. Obie Rady przyjęły uchwały, w których wyraziły poparcie dla polityki partii i Nicolae Ceausescu w kwestii narodowościowej. W uchwałach obu Rad wyrażono też ostry sprzeciw przeciwko wykorzystywaniu wewnętrznych problemów narodowościowych Rumunii przez różne ugrupowania antykomunistyczne i nacjonalistyczne. W uchwale Rady Ludzi Pracy Narodowości Węgierskiej znalazło się też takie stwierdzenie:

„Śledzimy z niepokojem fakt, że w pracach historycznych publikowanych w WRL ponownie upowszechnia się tezy o charakterze rewizjonistycznym, odwetowym. Uważamy za bardzo niebezpieczne próby podważania realiów terytorialnych ustanowionych po I i II wojnie światowej, fałszowania nie tylko teraźniejszości, lecz i przeszłości historycznej".

W Rumunii — jak podała agencja Agerpres — żyje 89,1 procent Rumunów, 7,8 proc. — Węgrów, według oficjalnej nomenklatury: Rumunów narodowości węgierskiej, 1,5 proc. — Niemców oraz 1,6 proc. obywateli rumuńskich innych narodowości, w tym Żydów, Serbów i Chorwatów. Według tejże agencji Węgrzy mają do swej dyspozycji 1 720 świątyń, Niemcy — 473, Żydzi — 118, Serbowie i Chorwaci — 54. Działają 3 wyższe uczelnie teologiczne dla obywateli innych narodowości, ukazują się 4 periodyki dla nich przeznaczone i 18 kalendarzy.

Również w prasie rumuńskiej ukazały się publikacje polemizujące z poglądami historyków i publicystów węgierskich, a dotyczącymi dziejów spornego terytorium północno-zachodniego Siedmiogrodu, które w sierpniu 1940 roku na mocy układu wiedeńskiego zajęły wojska admirała Miklosa Horthy'ego, współdziałającego z hitlerowskimi Niemcami.

Przemawiając na wspólnym posiedzeniu Rady Ludzi Pracy Narodowości Węgierskiej i Rady Ludzi Pracy Narodowości Niemieckiej Nicolae Ceausescu powiedział między innymi:

„Jesteśmy za wymianą doświadczeń, lecz opowiadamy się za sposób stanowczy przeciw każdej ingerencji w sprawy wewnętrzne. Nie akceptowaliśmy tego w żadnych okolicznościach i nie będziemy akceptować dziś i nigdy!".

ZSRR

Dyrektor Iwanowskiego Instytutu Wirusologii AN ZSRR — Wiktor Żdanow poinformował, że naukowcy radzieccy mają już pewne wyniki w poszukiwaniach szczepionki przeciw wirusowi AIDS. Przyznał on jednocześnie, że w ZSRR wykryto kilka wypadków AIDS, ale wśród obcokrajowców. Instytut Iwanowski jest jednym z czterech zajmujących się badaniami wirusa AIDS.

P. ŻARLINEK

Skąd pochodził? Bał się, czy nie bał kobiet? Mieszkał w przytułkach Wiednia. Utrzymywał się ze sprzedaży akwarel. Żałował, że skończyła się pierwsza wojna światowa. Najlepiej czuł się wśród kumpli.

Młodość Adolfa

STANISŁAW CHODUNAJ

Osobowość Adolfa Hitlera kształtowały: jego pochodzenie, do dziś nie wyjaśnione, a w pewnych okresach przekonywająco uzasadnione pochodzeniem żydowskim, chociaż ta wersja nie utrzymała się w świetle dostępnych dociekań największych znawców tematu, którzy z braku dowodów „za" i „przeciw" hołdują tezie alternatywnej. Oschły i zapalczywy charakter Aloisa — ojca Hitlera, jego wybujały temperament — ożeniony po raz trzeci z bliską kuzynką — pozostawiły niezatarte ślady w psychice przyszłego führera. Być może nigdy nie dowiemy się, kto był ojcem Aloisa, a dziadkiem Adolfa Hitlera. Ale kiedy Adolf się urodził, ojciec jego był już po pięćdziesiątce, a matka miała niecałe 30 lat.

DZIEDZICTWO JAKIE ADOLF OTRZYMAŁ

w spadku po ojcu — trudny charakter — będzie kształtował „odludka" już w szkole powszechnej, a pogłębiać się będzie w gimnazjum realnym w Linzu od r. 1900. Był uczniem prze-

wszystkie tytuły — historia wielkich czynów. Napisze później w „Mein Kampf" — *„historia stała się moim ulubionym przedmiotem"*. A często mawiał: *„Ten kto nie ma historycznego umysłu, jest jak człowiek pozbawiony oczu lub uszu"*. Stąd okultyzm miesza się z religiami Wschodu, Rzym antyczny z protestantyzmem, Aleksander Macedoński z mitologią germańską, a Fryderyk Wielki z Napoleonem Bonaparte. Joga, hipnotyzm i astrologia dadzą o sobie znać nawet w schronie pod Kancelarią Rzeszy w ostatnich godzinach upadającej III Rzeszy. Wszystko wchłaniał, wszystko go interesowało jak przystało na samouka.

KIEDY W MAJU 1913 R. ADOLF HITLER OPUSZCZAŁ WIEDEŃ

skończył 24 lata i do dziś nie udało się ustalić przyczyn, które wpłynęły na pożegnanie tak mało gościnnego miasta. Adolf Hitler nie miał powodów darzyć miłością państwa Habsburgów, czemu dał wyraz w „Mein Kampf".

ętnym. Na tle ciągot artystycznych popada w konflikt z ojcem. Konflikt trwa do jego śmierci. Adolf tworzył własny świat, w którym żył, był to świat wagnerowskiego romantyzmu, nie podporządkowany żadnym kanonom. Matkę kochał, ale nie miała na niego żadnego wpływu. A kiedy w r. 1905 opuszczał ostatecznie szkołę, kwitował jej wpływ, jak też wpływ nauczycielski jako *„szkodliwe napychanie głów różnymi wiadomościami"*. Często posługiwał się zwrotem w stosunku do nauczycieli *„edukowane małpy"*. Podobny sposób myślenia utrwalił się w latach późniejszych w stosunku do generałów, którzy śmieli mieć odmienne niż on zdanie.

W opinii nauczycieli, którzy nie umniejszają jego zdolności, można znaleźć wspólną ocenę, że był: kłótliwy, arogancki, uparty, nieopanowany i trudno mu było dopasować się do rygorów szkoły. Od najmłodszych lat wymagał bezwzględnego posłuszeństwa od swoich rówieśników. Posłuszeństwo i podporządkowanie wymuszał nawet siłą. Przerastał kolegów dojrzałością sądów i ocen. Dzieciństwo nie upłynęło mu na zabawach, grach, beztrosce wieku młodzieńczego. Mając 15—16 lat czuł lęk do płci odmiennej, chociaż jego rówieśnicy uganiali się za spódniczkami. Bronił swojej wolności. Tej idei pozostał wierny do końca, hołdując zasadzie szkoły germańskiej, iż posłannictwem kobiety było i jest: Küche, Kinder, Kirche (kuchnia, dzieci, kościół). Sprzeczne są opinie o Adolfie z lat szkolnych. Nie przekonywające są oceny autorów, którzy odmawiają mu ludzkich cech już w młodości, jak i te, które mówią o konwencjonalnym młodzieńcu, podobnym do innych. Każda skrajna ocena może tylko budzić nieufność.

To, że August Kubizek w okresie pobytu w Linzu i do 1908 r. w Wiedniu był jego serdecznym przyjacielem, nie budzi wątpliwości. Wysłuchiwał tyrad na różne tematy, najczęściej polityczne, wśród których nie zabrakło fantastycznych planów przebudowy Linzu i Wiednia. Kubizek studiował w Konserwatorium.

Próby Hitlera dostania się do Akademii Sztuk Pięknych w Wiedniu zakończyły się niepowodzeniem. Zachowała się opinia.

„(...) Niemiec, katolik, wykształcenie 4 klasy gimnazjum realnego. Szkice niezadowalające. Odrzucony".

Po roku znowu próbuje dostać się do Akademii Sztuk Pięknych, ale bez powodzenia. Podczas pobytu w Wiedniu początkowo pracuje jako niewykwalifikowany robotnik, a następnie zarabia rysując i malując akwarele.

Do roku 1913 mieszka w przytułku nad Dunajem. Czyta wiele, ale chaotycznie. Nadal utrzymuje się ze sprzedaży akwarel i rysunków. Pasjonuje go polityka. Mimo brudów — dosłownie i w przenośni — charakterystycznych dla domów noclegowych i środowiska marginesu społecznego, nigdy nie pił i nie palił. Wobec kobiet okazywał nieśmiałość, chociaż — jak podają naoczni świadkowie — nie stronił w takiej mierze, jak próbowano przedstawić. Właśnie wtedy, będąc pensjonariuszem przytułku, spędzał część czasu w towarzystwie kobiet wątpliwej konduity.

Z tego okresu utrwalił się opis wyglądu Hitlera, autorstwa Reinholda Hanischa, współtowarzysza z przytułku. Pisał on o Adolfie:

„Ciemna broda pokrywała wychudłą i wygłodzoną twarz, której jedynym wydatnym szczegółem były wielkie, szeroko otwarte oczy, nad ciemnym zarostem. Był to wygląd taki, jaki rzadko można spotkać wśród chrześcijan".

Pisze o tym również Konrad Heiden w pracy „Der Führer".

Zastanawiające, że już w okresie przebywania w przytułku w Wiedniu doszedł do przekonania o swoim posłannictwie. Nie miał tylko sprecyzowanej drogi, którą winien kroczyć do raz wytkniętego celu. Być może na jego postanowienie wycisnęła swoje piętno literatura, która stawała się chlebem codzienności. Wchłaniał ją chaotycznie, ale wspólny mianownik łączył

Zamieszkał w Monachium. Malował szyldy, reklamy i akwarele. Pozostawił w sumie około 2 tys. obrazów i rysunków. Według oceny krytyków były to kicze. Pracy stałej nie podejmował, uznając ją za czynnik zabijania indywidualności. Ciągły brak pieniędzy ograniczał grono przyjaciół, o których zresztą nigdy nie zabiegał. Miał czas na czytanie — co potwierdza rodzina krawca Poppa, przy której zamieszkał. Nie wiadomo, co czytał. Jako osobnik niezrównoważony, dziwak, żył w świecie własnej fantazji, którą sam stworzył. Pasjonowała go polityka. Nie można mu odmówić intuicji politycznej tak w okresie monachijskim, jak i późniejszym.

Wybuch I wojny światowej 1 sierpnia 1914 roku powitał z największą radością. Zachowało się przypadkowo wykonane zdjęcie tłumu na Odeonsplatz, na którym możemy oglądać rozradowanego i szczęśliwego Adolfa Hitlera. Wstąpił na ochotnika do wojska: I kompanii 16 bawarskiego rezerwowego pułku piechoty. Służył jako goniec na linii frontu we Francji i Belgii. Jego dowódcy wystawili mu bardzo pochlebne opinie. Dosłużył się już w grudniu 1914 roku w okolicach Ypres, Żelaznego Krzyża II klasy. Latem 1918 roku otrzymał Żelazny Krzyż I klasy, który zawsze nosił będąc Führerem. Jak dla gefrajtra było to odznaczenie niezwykłe. Krzyż I klasy otrzymał za wzięcie do niewoli 12 lub 15 Francuzów.

W tym samym pułku ochotnikami byli Rudolf Hess — późniejszy zastępca Hitlera, a obecnie odsiadujący karę dożywotniego więzienia w Spandau oraz Max Amann, późniejszy dyrektor wydawnictw partyjnych. Jednak w tym czasie wzajemnie się nie znali.

Kilku kolegów Adolfa Hitlera, którzy przeżyli z nim wojnę w okopach, dali różne opinie o nim: *„Był to dziwny facet, zamyślony, popadał w apatię... nieznośny, poważna blada twarz... lubiliśmy go.... był czarną owcą wśród nas..., nie podzielał naszego zdania. My przeklinaliśmy wojnę, on nie* — mówił kolega pułkowy Hans Mend. Hitler w tym czasie nie utrzymywał żadnych kontaktów z rodziną.

W październiku 1918 r. na południe od Ypres brytyjczycy użyli gazów, które dosięgły Hitlera, w wyniku czego stracił wzrok i wywieziony został do szpitala w Pasłęku, gdzie przebywał do zakończenia wojny. Koniec wojny żołnierze przyjęli z wielką ulgą. Inaczej zareagował Hitler. Jego niezrównoważona natura znalazła ujście w oskarżeniach o zadanym *„ciosie w plecy"* przez polityków i wrogów na zapleczu. Będzie to ciągle powtarzał, do ostatnich swoich dni.

Lata umocniły go w przekonaniu, że opatrzność czuwa nad nim. Często będzie powtarzał w latach swojej chwały: *„Opatrzność rzuciła mnie w masy prostych ludzi, pospolity szary tłum. Po raz drugi zająłem swoje miejsce w szarym tłumie, jako szary żołnierz"*.

Lata wojny nie zmieniły jego stosunku do kobiet. Unikał kontaktów, a przynajmniej ich nie szukał. Według ocen jego kolegów frontowych na przeszkodzie w nawiązywaniu znajomości z płcią odmienną stały: jego nieśmiałość, niewiara w swoją męskość, jak też przekonanie o niższości gatunku i odmiennym przeznaczeniu kobiety. Trafność tych ocen może budzić wątpliwości, gdyż lata późniejsze przeczą podobnej hipotezie, być może władza, w której zasmakował dawała mu świadomość i poczucie pełnej męskości.

KILKA MIESIĘCY PO WOJNIE

został zdemobilizowany jak wielu innych. Znalazł się bez pracy, ale bogatszy o doświadczenia, które postanowił zdyskontować. Wstąpił do Niemieckiej Partii Robotniczej jako jej siódmy członek, by przekształcić ją w NSDAP jako najsilniejszą partię narodowo-socjalistyczną. I tak powoli Adolf Hitler wyrastał na największego demagoga, jakiego kiedykolwiek znała historia. Wchodził w świat polityki, torując sobie drogę, korzystając z poparcia szanowanych kobiet, które o dziwo były oczarowane Hitlerem już w latach 1920—1923, kiedy był wprowadzany do znanych domów w Monachium, sam będąc mało znany.

Dietrich Eckart, pisarz, dziennikarz, poeta i dramaturg przez pewien czas redaktor partyjnego pisma „Volkischer Beobachter" wprowadzał Hitlera w „wielki świat" finansjery. Wiele domów otworzyło swoje podwoje przed mało znanym charyzmatycznym prorokiem, a żona bogatego fabrykanta fortepianów Helena Bechstein, która nie tylko pokochała Hitlera, zdobywała też fundusze dla jego partii, jak również organizowała przyjęcia na jego cześć. Hitler był częstym gościem Heleny Bechstein. Intymność ich spotkań budziła wiele sprzecznych plotek. Krążyły różne wersje — często sprzeczne — dotyczące życia seksualnego Hitlera. Często przebywał w otoczeniu współtowarzyszy i kobiet w pensjonacie „Moritz" w Obersalzbergu.

Abstynent alkoholowy, nie ukrywał swoich zainteresowań kobietami, tak jak gdyby nadrabiał straty z okresu wiedeńskiego i wojny, szczególnie, że tajemniczość jego osoby przyciągała odmienną płeć. Mekką Hitlera stanie się rodzinna siedziba Wagnera w Bayreuth i mimo, a może właśnie dlatego, że *„sprawiał wrażenie zagłodzonego fanatyka"* robił wielkie wrażenie na Winnifriedzie Wagner. Wnuczka Ryszarda Wagnera daje opis Hitlera jako „Bawarczyka", w charakterystycznych krótkich skórzanych spodenkach, wełnianych podkolanówkach — wiszącej na chudym ciele kurtce. Nie przyzwyczajony do przebywania w lepszych sferach towarzyskich, przypominał zagubionego parweniusza, któremu pozwolono przekroczyć magiczną granicę, ale nie wiedziano co z tym curiosum zrobić dalej.

Był kłopotliwy, albo siedział w kącie, medytując zagubiony, albo w najmniej oczekiwanym momencie zrywał się z miejsca i podniesionym głosem wygłaszał tyrady wprowadzając słuchaczy w osłupienie. Po dłuższym lub krótszym monologu i teatralnej gestykulacji siadał uspokojony jak zabawka, której nakręcony mechanizm przestawał działać. Często opuszczał towarzystwo — ku zaskoczeniu wszystkich — bez pożegnania. Ale te maniery niezrównoważonego osobnika czyniły z niego intrygującego gościa.

To, że był wystudiowanym pozerem nie może budzić wątpliwości. Jednak jego pozerstwo miało głębsze podłoże. Po prostu — rozumiał słabość i ułomność natury ludzkiej. Wiedział, że wystudiowana poza, przyjęta w odpowiednim momencie prowadzonej konwersacji, może zrobić piorunujące wrażenie na słuchaczach. Należy ich tylko zaskoczyć czymś, czego w danej chwili w swojej podświadomości oczekują.

Towarzysko nieobyty, grubiański i szyderczy (pozostałości domów noclegowych) sprawiał dużo kłopotów w zamożnych domach monachijskich. Co ciekawe, że jego styl bycia szorstki i grubiański nigdy nie uległ zmianie, tak jakby był wkalkulowany z największą premedytacją i on miał wyróżniać Hitlera *„od wystudiowanych małp"* z otoczenia, w którym przyszło mu się obracać w jego początkowej i późniejszej karierze.

NAJLEPIEJ CZUŁ SIĘ JEDNAK WŚRÓD NAJBLIŻSZYCH KOMPANÓW,

którzy nie stronili od kufla i kobiet.

Heindrich Hoffman — rubaszny i ordynarny, dobry towarzysz pijatyk zdobył wyłączność na fotografowanie Hitlera i patent ten utrzymał po dojściu Adolfa do władzy. Właśnie w jego atelier, jako asystentkę pozna Hitler Ewę Braun.

Max Amann — sierżant, tępy i grubiański, co nie będzie mu przeszkadzało w zrobieniu majątku na „Mein Kampf" i wydawnictwach partyjnych (NSDAP).

Ulrich Graf — rzeźnik i amator zapaśnik, awanturnik, który czuwał nad bezpieczeństwem swojego wodza.

Christian Weber nie odstawał od otoczenia Hitlera — dawny „wykidajło", specjalista od rekordów wypitych kufli piwa.

Ernst Röhm — organizator i kierownik SA, homoseksualista, czy Herman Esser — którego Hitler nazywał łajdakiem — był na utrzymaniu licznych kochanek, aferzysta. Sekundował mu w brutalnym antysemityzmie, nauczyciel ze szkoły podstawowej w Norymberdze, Julius Streicher, który zdobył dozgonną sympatię i uznanie Hitlera. Nie sposób jest wymienić wszystkich kompanów, jakimi otaczał się przyszły führer.

W okresie monachijskim Hitler nawiązuje bliższe znajomości z Hermanem Göringiem, Rudolfem Hessem, przyszłym swoim zastępcą, a poznany Alfred Ronsenberg — architekt, zostanie głównym ideologiem hitlerowskiego rasizmu. W *„rozmowach przy stole"* Hitler wiele razy wracał do nazistowskiego światopoglądu Rosenberga i jego ślepej wiary w rasę panów, chociaż nie obywało się bez pogardy dla pupila, jak to zwykle czynił Hitler wobec wszystkich, którzy byli najwierniejsi z wiernych.

Nieusystematyzowana wiedza samouka legła u podstaw jego kompleksu do inteligencji. Awersja, czy jak kto woli *„uraz antyinteligencki"* dominował w jego poglądach.

C.D.N.

W RPA mają dobre samopoczucie. Ich zdaniem wszystkiemu winni są Murzyni i komuniści.

Czarno na białym

PATRICK WAJSMAN z „Le Figaro" rozmawia z prezydentem RPA — PIETEREM BOTHĄ.

(...) — Przejdźmy od moralności do praktyki: jakie byłyby dla pańskiego kraju konkretne konsekwencje polityki masowego wycofywania inwestycji przez Zachód?

— Zachód nie zdaje sobie sprawy z faktu, że pierwszą ofiarą tej polityki byłaby murzyńska ludność Południowej Afryki, gdyż to spośród niej rekrutuje się największa liczba pracowników niewykwalifikowanych lub o słabych kwalifikacjach — w wypadku trudności gospodarczych będą oni pierwszymi, którzy stracą pracę. Ten ruch masowego wycofywania inwestycji byłby także ze szkodą dla półtora miliona pracowników zagranicznych żyjących w RPA, którzy w większości przedostali się do kraju nielegalnie. Jeśli nadejdzie kryzys, wszyscy ci ludzie będą musieli wrócić do siebie, do Mozambiku, Lesotho, Botswany itd.

— Czy kraje te byłyby zdolne wytrzymać taki „powrót"?

— Oczywiście, że nie! Kraje, które wymieniłem są zdolne przetrwać tylko dzięki eksportowi siły roboczej do RPA. Już i tak znajdują się u progu katastrofy gospodarczej i byle co wystarczyłoby, żeby pogrążyć je w bankructwie. Państwo takie jak Botswana nie przeżyłoby tygodnia bez nas! Wcale się nie cieszę z tego powodu — jest to po prostu naga prawda.

— Choć cały świat stawia pański kraj pod pręgierzem, wydaje się pan pełen ufności: skąd bierze się ten spokój?

— Z kilku czynników. Przede wszystkim z faktu, że sankcje stymulują nas, zamiast nas przygnębiać i przygniatać. Dwa przykłady wśród wielu innych: odmowa mocarstw zachodnich dostarczania nam broni zachęciła nas do stworzenia własnego przemysłu zbrojeniowego, co pozwala nam dzisiaj cieszyć się niemal całkowitą samodzielnością militarną. Co się tyczy przerwania dostaw ropy naftowej, zmusiło nas ono do rozwinięcia produkcji artykułów zastępczych. Czy wie pan, że staliśmy się nawet jednym z najważniejszych światowych producentów syntetycznego paliwa uzyskiwanego z węgla? Może pan to stwierdzić — nie brak nam wigoru!

— Wspomniał pan o kilku przyczynach optymizmu...

— Do tego zmierzam. Jeśli jestem spokojny, to dlatego, że przeczuwam gdzieś w głębi, że system sankcji zachodnich w końcu się zawali. Nie dlatego, by zachodni politycy zrezygnowali z niego z wielkoduszności, lecz dlatego, że handlowcy i przemysłowcy wolnego świata będą dość mądrzy, by zrozumieć, co naprawdę leży w ich interesie (...)

— Dyskusja taka byłaby bezprzedmiotowa, gdyby nie istniał apartheid! Jak można jeszcze w XX wieku uzasadniać etycznie i filozoficznie tego rodzaju system?

— Słowo „apartheid" jest przypuszczalnie jednym z najbardziej przeinaczanych z całego słownictwa politycznego. Jest niewłaściwie używane. Nigdy nie było filozofią odmowy praw Murzynom, lecz — przeciwnie — polityką rozwojową. Przypomnę panu, że za moich rządów, a ogólniej biorąc, od trzydziestu lat, Murzyni z Południowej Afryki osiągnęli większy postęp niż wszystkie inne murzyńskie społeczeństwa południowej części kontynentu.

— Z punktu widzenia ekonomicznego — być może: ale politycznie? Dlaczego reżim południowoafrykański nie przyjmuje demokratycznej reguły: „Jeden człowiek, jeden głos"?

— To sami Murzyni z Południowej Afryki tego nie chcą.

— Dlaczego? Bo są podzieleni?

— Dlatego, że są różni! Dlatego, że stanowią wielokulturowe społeczeństwo! Zulusi nigdy nie zgodzą się na dominację ludu Kosa, a ci z kolei odrzucą dominację Zulusów — tak jak Francuzi nie zgodziliby się być pod władzą Niemców...

— Co pan sądzi o African National Congress, kierowanym przez Oliviera Tambo, utworzonym w 1912 i zakazanym w 1960, jednym z najbardziej zaciekłych przeciwników rządu RPA?

— ANC jest niczym innym jak organizacją terrorystyczną zdominowaną przez komunistów, która chce zrobić rewolucję w Południowej Afryce z największą korzyścią dla Rosjan.

— Jak pan tłumaczy, że południowoafrykańscy przemysłowcy uznali za stosowne spotkać się z przedstawicielami ANC w 1985 r. Czyżby byli naiwni?

— Podjęli taką próbę, gdyż nie wierzyli w moją wersję faktów. Ale po tym spotkaniu byli całkowicie przekonani o zasadności mojej tezy — zapewniam panal Komuniści z ANC wyjaśnili im, co zamierzają zrobić z Południowej Afryki, a ponieważ nasi przemysłowcy nie są oczywiście gotowi zdradzić swojego kraju, powrócili do mniej dziwacznych idei (...).

Doktor Żywago (Fragmenty)

BORYS PASTERNAK

ROZDZIAŁ XII

8.

Boje toczyły się u zachodnich granic tajgi. Ona sama była tak rozległa, iż dla niej wszystko to rozgrywało się jakby na dalekich rubieżach imperium, zaś zagubione w jej głębiach ludzkie mrowie było tak liczne, że ilu by nie szło do walki, to na miejscu zostawało jeszcze więcej, i wnętrze tajgi nigdy nie pustoszało.

Echa dalekiego boju niemal nie docierały do obozu. Nagle w lesie rozległo się kilka wystrzałów. Zabrzmiały jeden za drugim, bardzo blisko, aby po chwili przemienić się w gęstą i bezładną strzelaninę. Zaskoczeni palbą ludzie rozpierzchli się. Partyzanci z obozowych odwodów skoczyli do swoich furmanek. Wszczął się popłoch. Wszyscy zaczęli gorączkowo szykować się do walki.

Wkrótce paniką ucichła. Alarm okazał się fałszywy. I znów do miejsca gdzie strzelano podeszli ludzie. Tłum rósł. Do już obecnych dołączali nowi.

Gromada gapiów otaczała leżący na ziemi, zakrwawiony ludzki kadłub. Okaleczony żył jeszcze. Miał odrąbaną prawą rękę i lewą nogę. Było rzeczą niepojętą, w jaki sposób nieszczęśliwiec mógł w takim stanie dotrzeć do obozu. Straszne krwawe kawałki odrąbanych kończyn przywiązane miał do pleców wraz z deseczką, zawierającą długi napis, w którym obok zestawu wyszukanych przekleństw dołączono informację, że jest to odwet za bestialstwa takiego to a takiego oddziału czerwonych, z którym to oddziałem leśni partyzanci nie mieli zresztą nic wspólnego. Z napisu wynikało też, że podobny los czeka wszystkich, o ile do wyznaczonego terminu nie poddadzą się i nie złożą broni przed przedstawicielami wojsk korpusu Wicyna.

Brocząc krwią i tracąc co chwila przytomność umęczony kaleka rwącym się, słabym głosem nieskładnie opowiadał o torturach, zadawanych ludziom przez żandarmerię polową i oddziały pacyfikacyjne generała Wicyna. Karę śmierci przez powieszenie, mówił kaleka, na którą był skazany, zamieniono mu w drodze łaski na odcięcie ręki i nogi, aby w tak zmasakrowanej postaci wysłać go do obozu partyzantów dla postrachu. Do pierwszej linii partyzanckich czujek nieśli go na rękach, a potem położyli na ziemi i kazali pełznąć, popędzając wystrzałami w powietrze.

Konający człowiek ledwie poruszał nogami. Aby zrozumieć jego niewyraźne mamrotanie, wszyscy słuchali zgięci wpół, pochylając się ku kalece. On zaś mówił:

— Strzeżcie się, bracia. Przerwał nas.

— Posłali odwody. Wielka bitwa tam idzie. Zatrzymamy.

— Przerwał. Przerwał. On chce znienacka. Wiem Nie mogę już. Popatrzcie no, krwią spływam, krwią kaszlę. Zaraz umrę.

— A ty, bracie, poleż, odetchnij. Nic już nie mów. Czego męczycie człowieka, potwory jedne. Toż widzicie, że od mówienia mu gorzej!

— Żywego miejsca na mnie nie zostawił, krwiopijca, pies. We krwi, powiada, swojej kąpać się u mnie będziesz, gadaj, ktoś ty taki. A co ja, bracia, mam gadać, jak ja sam prawdziwy dezerter jestem. Tak. Od niego do waszych przeszedłem.

— On, powiadasz. A kto to u nich nad tobą był?

— Oj, bracia, pali mnie we wnętrzu. Niech trochę odetchnę. Zaraz powiem. Ataman Biekieszyn był. Sztreze pułkownik. Wicyńscy oni. Wy tu w lesie nic nie wiecie. W mieście jeden płacz. Żywcem ludzi gotują. Z żywych pasy drą. Wciągną za kołnierz nie wiedzieć gdzie, ciemność zupełna. Obmacasz wkoło — klatka, wagon. W klatce na samym tylko dole ludzi z pół setki. I coraz to klatkę otwierają, i łapska do środka. Wyciągają kogo popadnie. Jakby kto kury zarzynał. Jak Boga kocham. Kogo powiesić, kogo pod wyciory, kogo na przesłuchanie. Katują, rany solą posypują, wrzątkiem polewają. Kto zwróci, albo zrobi pod siebie na podłogę, każą — zeżryj! A co do dzieciaków, a z kobietami — o Boże!

Nieszczęśnik gonił resztką sił. Nie dokończył. krzyknął i wydał ostatnie tchnienie. Wszyscy zrozumieli to jakoś od razu, zaczęli zdejmować czapki, żegnać się.

Wieczorem obiegła obóz inna nowina, jeszcze straszniejsza od tego wydarzenia.

Pamfił Pałych znajdował się w tłumie zgromadzonym wokół umierającego. Widział go, słyszał jego opowieść, czytał budzący grozę napis na deseczce.

Towarzyszący mu bezustannie lęk o los swoich w razie jego śmierci wzmógł się do granic wytrzymałości. Oczami wyobraźni widział najbliższych na powolnych torturach, widział ich wykrzywione przerażeniem twarze, słyszał ich jęki i wołanie o pomoc. Aby uchronić rodzinę przed przyszłymi męczarniami i skrócić swoje własne, w przypływie szaleńczej zapobiegliwości zabił wszystkich sam. Zarąbał żonę i troje dzieci tym samym ostrym jak brzytwa toporem, którym wycinał z drzewa zabawki córeczkom i ukochanemu synowi Filonuszce.

Dziwne było to, że nie popełnił samobójstwa natychmiast po dokonaniu swego czynu. O czym myślał? Co mogło go powstrzymać? Jakie zamiary, rojenia? Był oczywiście chory psychicznie — bezpowrotnie skończone ludzkie istnienie.

Podczas gdy Liwierij, doktor i członkowie rady żołnierskiej naradzali się co z nim zrobić, Pamfił wlóczył się po obozie ze zwieszoną głową, patrząc spode łba mętnożółtymi, niczego nie widzącymi oczami. Bezmyślny, pełen nieludzkiego, niezwyciężonego cierpienia uśmiech nie schodził z jego twarzy.

Nikt go nie żałował. Wszyscy odsuwali się od niego. Rozlegały się głosy żądające samosądu. Nie znalazły poparcia.

Nie miał już nic do roboty na tym świecie. O świcie zniknął z obozu, tak jak ucieka od samego siebie ogarnięte wodowstrętem wściekłe zwierzę.

9.

Od dawna była już zima. Nastały trzaskające mrozy. Pęknięte dźwięki, nieokreślone formy pojawiały się w mroźnej mgle, trwały, poruszały się, znikały. Słońce — nie to znajome, do którego wszyscy przywykli, a jakieś inne, zamienione — wisiało w lesie jak purpurowa kula. Powoli i leniwie niczym we śnie lub w baśni ściekały z niego promienie gęstego jak miód bursztynowożółtego światła, i nie docierając do ziemi zastygały w powietrzu albo przymarzały do drzew.

Zostawiając nikłe ślady i wywołując każdym krokiem gniewny zgrzyt śniegu, we wszystkich kierunkach poruszały się niewidzialne nogi w walonkach, a dopełniające je sylwetki w baszłykach i półkożuszkach zdawały się oddzielnie płynąć poprzez powietrze jak krążące po nieboskłonie gwiazdy.

Znajomi przystawali i zaczynali rozmowę. Zbliżali ku sobie poczerwieniałe jak po łaźni twarze o pokrytych szronem koniuszkach bród i wąsów. Kłęby gęstej, lepkiej pary wyrywały się z ust i łączyły w obfite obłoki o rozmiarach niewspółmiernie wielkich wobec skąpych, jak gdyby zamarzniętych słów.

Na ścieżce Liwierij zetknął się z doktorem.

— O, kogo widzę! Kopę lat! Wieczorem zapraszam do mojej ziemianki. Nocować może pan u mnie. Powspominamy, pogadamy. Jest komunikat.

— Łącznik wrócił. Są wiadomości z Warykina?

— O moich i pańskich w komunikacie ani dźwięku. Ale właśnie stąd czerpię krzepiące wnioski. Znaczy to, że w porę się uratowali. W przeciwnym razie wspomniano by o nich. O tym zresztą wieczorem. A więc czekam.

W ziemiance doktor powtórzył swoje pytanie.

— Proszę powiedzieć mi tylko jedno — co pan wie o naszych rodzinach?

— Znów pan nie chce spojrzeć poza koniec własnego nosa. Nasi z pewnością są żywi i bezpieczni. Nie o naszych jednak chodzi. Przewspaniałe wiadomości. Chce pan mięsa? Zimna cielęcina.

— Nie, dziękuję. Niech pan nie odbiega od tematu.

— Szkoda. A ja sobie pożuję. Szkorbut w obozie. Ludzie zapomnieli co to chleb, zielenina. Trzeba było jesienią lepiej zorganizować zbieranie jagód i orzechów, kiedy były uciekinierki. Mówię panu, sytuacja rozwija się jak najwspanialej. Jest tak jak zawsze przepowiadałem. Lody ruszyły. Kołczak cofa się na wszystkich frontach. To kompletna, żywiołowo postępująca klęska. Widzi pan? A nie mówiłem? A pan biadolił.

— Kiedy biadoliłem?

— Ciągle. Szczególnie jak nas Wicyn przycisnął.

Doktor przypomniał sobie niedawną jesień, rozstrzelanie spiskowców, dzieciobójstwo i żonobójstwo Pałycha, nie kończący się krwawy młyn i zabijanie. Bestialstwa białych i czerwonych rywalizowały w wymyślności, jak na licytacji okrucieństwo jednych stawało się pretekstem do jeszcze większego okrucieństwa drugich. Obfitość krwi wywoływała mdłości, krew podchodziła do gardła, uderzała do głowy, nabiegała do oczu. Nie, to nie było biadolenie, to było coś całkiem innego. Tylko jak to wytłumaczyć Liwierijowi?

W ziemiance pachniało aromatycznym dymem. Osiadał on na podniebieniu, łaskotał w nosie i w gardle. Ziemiankę oświetlały cieniutkie, równo pocięte szczapki, umieszczone w żelaznym trójnogu. Gdy jedna dopalała się, jej zwęglony koniec spadał do podstawionej miski z wodą, a Liwierij umieszczał w uchwycie nową, zapaloną.

— Widzi pan, co palę. Zabrakło oleju. Przesuszyli polano. Łuczywo za szybko się wypala. Tak, szkorbut w obozie. Co pan proponuje, doktorze? Może narada sztabowa, naświetlenie sytuacji, referat o szkorbucie i metodach jego zwalczania?

— Na miłość boską, niechże mnie pan nie dręczy. Co pan konkretnie wie o naszych najbliższych?

— Powiedziałem już panu, że nie mam żadnych konkretnych wiadomości. Ale nie dokończyłem jeszcze o ogólnej sytuacji wojennej. Wojna domowa skończona. Kołczak doszczętnie rozbity. Armia Czerwona goni go po linii kolejowej na wschód, żeby zepchnąć go do morza. Inne oddziały Armii Czerwonej śpieszą ku nam, by po połączeniu sił wspólnie zająć się likwidacją licznych i wszechobecnych tyłów Kołczaka. Południe Rosji oczyszczone. Dlaczego pan się nie cieszy? Mało panu?

— Nieprawda. Cieszę się. Ale gdzie są nasze rodziny?

— W Warykinie ich nie ma, i to jest duże szczęście. Chociaż letnie bajdurzenia Kamiennodworskiego tak jak przypuszczałem nie potwierdziły się — pamięta pan te głupie plotki o najściu na Warykino jakiejś zagadkowej nacji? — ale osada wyludniła się całkowicie. Coś tam chyba jednak musiało się stać, i dobrze, że obie rodziny w porę stamtąd wyjechały. Musimy wierzyć, że się uratowały. Takie są, według słów mojego zwiadu, przypuszczenia nielicznych ocalałych.

— A Juriatin? Co tam? W czyich jest rękach?

— Też coś niedorzecznego. Niewątpliwa pomyłka.

— A konkretnie?

— Ponoć są tam jeszcze biali. To bezwarunkowy absurd, jawna niemożliwość. Zaraz udowodnię to panu z całą oczywistością.

Liwierij wstawił nową szczapkę, i znalazłszy potrzebny fragment na wymiętej, pogniecionej sztabówce zaczął wyjaśniać sytuację pomagając sobie ołówkiem.

— Niech pan spojrzy. Na wszystkich tych odcinkach biali zostali odrzuceni do tyłu. O tu, tu, tu, wszędzie. Uważa pan?

— Tak.

— Nie może więc ich być na kierunku juratińskim. W przeciwnym wypadku przy braku dróg zaopatrzenia trafiają w kocioł. Tego nie mogą nie rozumieć nawet ich najgłupsi generałowie. Ubiera się pan? Dokąd to?

— Proszę wybaczyć, ja na chwileczkę. Zaraz wrócę. Tu jest duszno od machorki i czadu. Niedobrze się czuję. Odetchnę świeżym powietrzem.

Wyszedłszy z ziemianki doktor zgarnął rękawicą śnieg z grubej kłody leżącej przy wejściu. Usiadł na niej i zamyślił się, opierając głowę na splecionych dłoniach. Zimowa tajga, leśne obozowisko, osiemnaście miesięcy pobytu u partyzantów — wszystko to przestało nagle istnieć. Myślał tylko o swoich najbliższych. Wyobraźnia podsuwała mu coraz to nowe obrazy — jedne straszniejsze od drugich.

Oto Tonia brnie w zamieci przez pole z Szuroczką na rękach. Opatula go w koc, grzęźnie w śniegu, z trudem wyciąga nogi, zamieć zasypuje ją, wiatr przewraca na ziemię. Tonia pada, wstaje, nie ma siły ustać na osłabłych, uginających się nogach. Ach, przecież on zapomina, stale zapomina. Tonia ma dwoje dzieci, karmi to młodsze. Obie ręce ma zajęte, tak jak te uciekinierki na Czilimce, oszalałe z nieszczęścia i przerastającego ich siły napięcia.

Obie ręce ma zajęte, i nigdzie nie ma nikogo kto mógłby jej pomóc. Ojciec Szuroczki nie wiadomo gdzie. Jest daleko, zawsze daleko, całe życie obok nich, jaki to zresztą ojciec, czy tacy są prawdziwi ojcowie? A gdzie jej własny ojciec? Gdzie Aleksander Aleksandrowicz? Gdzie Niusza? Gdzie pozostali? Lepiej nie zadawać sobie takich pytań, lepiej nie myśleć, lepiej nie wnikać.

Doktor wstał z kłody z zamiarem ponownego zejścia do ziemianki. Nagle owładnęła nim inna myśl. Postanowił nie wracać do Liwierija.

Narty, worek z sucharami i pozostałe rzeczy niezbędne do ucieczki miał już od dawna przygotowane. Zakopał je w śniegu poza linią obozowych wart, pod wielką jodłą, którą dla pewności oznaczył nacięciem. Ruszył wydeptaną wśród zasp ścieżką, kierując się właśnie w tamtą stronę. Noc była jasna. Świecił okrągły księżyc. Doktor wiedział, gdzie rozmieszczone są posterunki, i wyminął je bez przeszkód. Jednakże na polanie obok oblodzonej jarzębiny zatrzymał go głos wartownika. Wartownik szusem podjechał ku niemu.

— Stój! Będę strzelać! Ktoś ty? Hasło!

— Coś ty, bracie, zwariował? Swój. Nie poznajesz? Doktor wasz, Żywago.

— Moja wina. Nie gniewajcie się, towarzyszu Żelwak. Nie poznałem. Ale choć i Żelwak, dalej nie puszczę. Trzeba po porządku.

— No dobrze już. Hasło — Czerwona Syberia, odzew — precz z interwentami.

— To inna sprawa. Idź gdzie chcesz. Ki diabeł gania cię po nocy? Chorzy?

— Spać się nie chce i pragnienie męczy. Pomyślałem sobie: przejdę się, śniegu łyknę. Zobaczyłem jarzębinę i te jagody jej mrożone, zechciałem podejść, pojeść.

— Ot, durnota jaśniepańska, zimą na jagody. Trzy lata bijemy takich, bijemy, i masz, do końca jeszcze nie wybiliśmy. Idź po swoją jarzębinę, nienormalny ty. A bo to ci żałuję?

Wartownik silnie odepchnął się z miejsca, zjechał na bok, i rozpędzając się coraz bardziej na swoich długich świszczących nartach sunął po śniegu coraz dalej i dalej, znikając za ciemnymi jak rzedniejące włosy, nagimi zimowymi krzakami. Ścieżka zaś, po której szedł doktor, doprowadziła go do jarzębiny.

Na wpół w śniegu, na wpół w zamarzniętych liściach i jagodach, wyciągała ku niemu dwie ośnieżone gałęzie. Przypomniał sobie duże białe ręce Łary, krągłe i szczodre, i pochwyciwszy gałęzie przyciągnął drzewo ku sobie. Jak gdyby w świadomym geście odpowiedzi jarzębina obsypała go śniegiem od stóp do głów. Mamrotał nie rozumiejąc własnych słów i zapominając o samym sobie:

— Ujrzę cię, moja malowana, księżniczko, jarzębinko, rodzona ty moja...

Noc była jasna. Świecił księżyc. Doktor zagłębił się w tajgę, dotarł do swojej jodły, odkopał rzeczy i opuścił obóz.

ROZDZIAŁ XIII

2

Do grupy czytających zbliżył się wychudły, dawno nie myty i dlatego sprawiający wrażenie smagłego człowiek o zdziczałym wyglądzie z sakwą na plecach i kijem w ręku. W jego przydługich włosach nie było jeszcze siwizny, ale porastająca policzki broda koloru ciemnoblond zaczęła już siwieć. Był to Jurij Andriejewicz Żywago. Szubę najprawdopodobniej zabrali mu gdzieś w drodze, albo też wymienił ją na żywność. Miał na sobie czyjeś pozbawione rękawów i nie dające ciepła łachmany. W sakwie niósł nie dojedzoną kromkę chleba, ofiarowaną mu w ostatniej podmiejskiej wsi i kawałek słoniny. Mniej więcej przed godziną wszedł do miasta od strony linii kolejowej, i całą godzinę zajęło mu pokonanie trasy od rogatek do tego skrzyżowania — tak był słaby i zmęczony wędrówką. Często przystawał, z trudem powstrzymując się, by nie paść na ziemię i nie całować bruków miasta, którego nie miał już nadziei oglądać, i które witał radośnie jak żywą istotę.

Niemal połowa trasy jego pieszej wędrówki wiodła wzdłuż linii kolejowej. Linia znajdowała się w stanie kompletnego opuszczenia i bezczynności, i cała była zasypana śniegiem. Doktor szedł obok nie kończących się białogwardyjskich składów, towarowych i pasażerskich, uwięzłych w zaspach, unieruchomionych przez klęskę Kołczaka i brak węgla. Te zmartwiałe, zastygłe na zawsze pociągi ciągnęły się niemal nieprzerwanym rzędem przez wiele dziesiątków wiorst. Stawały się twierdzami uzbrojonych band, grabiących na drogach, schroniskiem kryminalnych i politycznych zbiegów, przymusowych włóczęgów tego czasu, a najczęściej bratnimi mogiłami i grobami zbiorowymi ofiar mrozu oraz tyfusu, szalejącego w okolicy i wyludniającego całe wsie.

Czas ten potwierdził starodawne powiedzenie, że człowiek człowiekowi wilkiem. Wędrowiec krył się na widok innego wędrowca, każdy zabijał, aby samemu nie zostać zabitym. Zdarzały się pojedyncze przypadki ludożerstwa. Prawa ludzkiej cywilizacji przestały istnieć. Działały zwierzęce. Człowiekowi śniły się prehistoryczne sny epoki jaskiniowej.

Samotne, chyłkiem skradające się i bojaźliwie przebiegające w bezpiecznej odległości ścieżkę cienie, które doktor w miarę możności starannie omijał z daleka, zdawały mu się czymś znajomym, gdzieś już widzianym. Miał wrażenie, że wszyscy ci ludzie są z obozu partyzantów. Przeważnie mylił się, ale pewnego razu oko go nie zawiodło. Wyrostek, który wypełzł ze śnieżnej góry kryjącej w sobie pudło międzynarodowego wagonu sypialnego, i który po załatwieniu potrzeby dał nurka z powrotem w śnieg, rzeczywiście należał do leśnego oddziału. Był to rzekomo rozstrzelany Tierientij Gałuzin. Podczas egzekucji został ranny, długo leżał bez przytomności, ocknął się, odpełzł z miejsca kaźni, ukrywał się w lasach, wylizał się z ran, a obecnie pod innym nazwiskiem szedł do swoich do Kriestowozdwiżeńska, kryjąc się przed ludźmi w zasypanych wagonach.

Te obrazy i widoki sprawiały wrażenie czegoś nadprzyrodzonego, transcendentalnego. Zdawały się elementami jakichś niepojętych, pozaziemskich bytów, które przypadkowo trafiły na Ziemię. I tylko w przyrodzie wzrok odnajdywał barwy i kształty, znajome z obrazów współczesnych malarzy.

Zdarzały się ciche zimowe wieczory, jasnoszare, ciemnoróżowe. Na tle świetlistej zorzy rysowały się czarne wierzchołki brzóz delikatne jak linie hieroglifów. Czarne strumienie, spowite szarym dymkiem lekkiego mrozu, płynęły wśród obłych pagórków białego, podmytego od spodu przez ciemną wodę śniegu. I taki właśnie wieczór, mroźny, przezroczyście szary, siwobrody, łaskawy jak wierzbowe bazie, obiecywał za godzinę, dwie zapaść naprzeciwko domu z kariatydami w Juriatinie.

Jarzębina w cukrze

Przełożył:
MICHAŁ B. JAGIEŁŁO

C.D.N

1

Jugosławia bliska i nieznana

Jugosławia! Kiedy zacząłem bliżej zajmować się problematyką jugosłowiańską z dużym zaskoczeniem nieraz stwierdzałem żenująco niski poziom owej wiedzy wśród rodaków. W powszechnej świadomości funkcjonuje kilka stereotypów zniekształcających lub wręcz prymitywizujących obraz współczesnej Jugosławii. O jej historii lepiej nie wspominać, gdyż wiadomości na ten temat, jakie posiadają nawet bywający tam, sprowadzają się nierzadko do odnotowania pięciowiekowej niewoli tureckiej

Nie zamierzam podejmować się nader trudnego zadania wyjaśnienia przyczyn tego stanu rzeczy. Pewne jednakże wnioski nasuwają się na podstawie obserwacji i spostrzeżeń, jakie poczyniłem w ciągu kilku miesięcy, gdy przebywałem na Uniwersytecie Belgradzkim jako stypendysta SFRJ. Spotkałem tam sporo Polaków, którzy przybywali do Jugosławii w różnych celach. Od pracowników polskich placówek do wycieczek i indywidualnych turystów, czasem mających znaczną wprawę w pokonywaniu odległości znad Wisły czy Warty nad Dunaj i Sawę. Tych ostatnich nawet surowa, jak na tamtejsze warunki, zima nie zniechęciła, ani duże opóźnienia pociągów z Polski i Węgier.

Przez pewien czas nadziwić się nie mogłem determinacji, która gnała do Belgradu lub Panczewa objuczonych bagażami młodych ludzi i rencistów, mężczyzn i zażywne panie, które do złudzenia przypominały mi postacie i twarze z łódzkiego „Górniaka" czy warszawskich ekskluzywnych bazarów. Z rozmów, jakie prowadziłem z rodakami na belgradzkim bruku wynikało, że każdego przywiódł tam jakiś interes.

Przyjeżdżają, załatwiają swoje sprawy i wracają. Jedni udają się na dworzec kolejowy z nadzieją, że może uda się załatwić kuszetkę. Miejsca sypialniane są na ogół wcześniej wykupione przez tych, co przyjeżdżają służbowo lub przez bardziej zamożnych wędrowców. Ci, którym się spieszy, a stać ich na to, latają samolotami. To duża oszczędność czasu. Lot trwa około dwóch godzin. Pociągi miewają niekiedy opóźnienia liczone w tysiącach minut. Ileż wtedy trzeba przejść? Co mniej doświadczonych zmusza to do naruszenia pakietu walut. Banknoty 100-dolarowe czy nawet 50-markowe (DM) niełatwo w podróży rozmienić. Ale każdy jakoś sobie radzi, bohatersko znosząc przeciwności natury czy brak wyrozumiałości celników, kolejarzy lub współpasażerów. I choć nieraz bywa chłodno i głodno, warto zaprzeć się w sobie.

Widziane na belgradzkim dworcu sceny i zasłyszane tam teksty mogą skłonić człowieka do pewnych bezpodstawnych uogólnień.

To chyba one nadają treść i barwy opinii, jakie nieraz o Polakach wygłaszali niektórzy moi jugosłowiańscy znajomi. Trudno wyperswadować im, że są to opinie uproszczone i ostatecznie nieprawdziwe. Kiedy nie trafiły argumenty statystyczne, typu, że przecież w Jugosławii bywa znikomy odsetek (albo i mniej) obywateli polskich, wówczas zwalałem całą winę na gospodarzy. Zarzucałem im mianowicie sztuczne obniżanie kursu dolara i innych walut wymienialnych, co jest niezwykle silnym magnesem przyciągającym istniejących w każdym społeczeństwie amatorów łatwych zysków. Wytykałem też niebywałą chłonność prywatnego, pokątnego rynku prawie na wszystkie polskie towary, ich zauroczenie polskimi futrami, biżuterią a nawet prostymi narzędziami (kombinerki, młotki, klucze itp.). No i dodawałem, że przecież to wszystko kupujecie wy, nie żadne tam kosmopolityczne krasnoludki. Kogo jednak udało się przekonać?

Przy okazji tego typu dyskusji powstawała sprawa masowych wyjazdów niby-turystycznych Jugosłowian do Polski, co nasiliło się w ostatnich latach. Drogi dla odmiany dolar w Polsce jest magnesem dla Jugosłowian. Jeden z moich znajomych, często bywający w Polsce, przytoczył kiedyś rozpowszechnioną teorię wyjaśniającą różnice charakteru kryzysów gospodarczych w obu krajach. Otóż w myśl jej założeń, w Jugosławii kryzys polega na tym, że towarów jest tam w bród, lecz ludzie nie mają pieniędzy. Polski zaś kryzys cechować ma się tym, że pieniędzy ludzie mają dużo, lecz w sklepach półki świecą pustkami. Pytałem go, co on sam kupuje w Polsce za te drobne osiemdziesiąt pięć tysięcy uzyskane w zamian za zielony banknot o nominale 100. Może przywozisz do Jugosławii złotówki? Wiem, że kolekcjonerzy np. za „Chopina" dają nawet 10 tysięcy dinarów!?

Zawsze nasuwała mi się wątpliwość, czy dałoby się w jakiś sposób ten żywiołowy przepływ dewiz skierować do kasy społecznej, choćby w jakiejś znaczącej części? Wskaże ktoś „Pewex". Oczywiście, tam też zostaje trochę zielonych. Cudzoziemcy wiedzą bowiem dobrze, iż większość artykułów peweksowskich jest w Polsce tańsza niż w innych krajach. O wiele korzystniejsze jest jednak kupowanie za złotówki. I kto się ośmiela mówić o słabości naszej waluty? Cudze chwalimy, nie wiedząc pewnie, jak złotówka jest lubiana przez inne nacje i to tu, w Polsce! Naturalnie, byleby nie trudzić transakcjami wymiennymi kas walutowych NBP i tak nie nadążających z obsługą samych tylko obywateli PRL pragnących bez litości wywozić i wydawać za granicą po te 10 dolarów na głowę raz w roku albo i rzadziej.

Czy zatem rzeczywiście potoczna wiedza, a więc ta, która kształtuje masowe wyobrażenia i stereotypy, jest w naszym społeczeństwie — w odniesieniu do Jugosławii — taka skromna, jak to zauważyłem na wstępie? Jest tak z całą pewnością, bo inaczej być nie może, skoro główne formy bezpośrednich kontaktów, te najbardziej masowe są tak zekonomizowane w sensie najbardziej absurdalnym. Jest to skutek paradoksalnych nieraz dysproporcji rozwojowych, różnic kulturowych, słabości jednej i drugiej gospodarki, niekomplementarności wymiany, zawinionych i niezawinionych błędów organizatorów turystyki, przyczyn tkwiących w odległych już czasach, a także pojawiających się obecnie. Niezwykle trudno było objaśnić to wszystko moim jugosłowiańskim przyjaciołom. Różnice mechanizmów społeczno-ekonomicznych nie sprowadzają się bowiem do odmienności rozwiązań organizacyjnych, prawnych, czy nawet politycznych. Sięgają one poza próg świadomości obywatelskiej i własną filozofię układania sobie życia.

A cóż może wiedzieć taki Kowalski zanim wybierze się na wycieczkę do Jugosławii? Literatura naukowa i publicystyka poświęcona tym sprawom jest u nas nader uboga i w większości przestarzała nieco. Cenne i efektowne inicjatywy Wydawnictwa Łódzkiego, od lat prowadzącego wspaniałą bibliotekę jugosłowiańską, nie wypełnią same tej rażącej luki. Brak jest popularnych wydawnictw upowszechniających rzetelną wiedzę o tym kraju. W środkach masowego przekazu częściej pojawiają się informacje dotyczące Filipin niż Jugosławii.

Większość pytanych przeze mnie studentów ostatni raz stykała się z szerszymi, w miarę systematycznymi wiadomościami o Jugosławii w szkole średniej. Ale i tak w pamięci niewiele zostało. W kilku przypadkach „dowiadywałem się", że kraj ten leży nad Morzem Czarnym. Zagadnienia ustroju społeczno-politycznego wprawiały w zakłopotanie. *„Skoro wszystko można kupić za dolary, więc jest to kapitalizm"* — brzmiała jedna opinia. Autor innej obwieszczał: *„jest to najprawdziwszy na świecie socjalizm, a może nawet już komunizm. Całkowity samorząd"*.

Stosunkowo najlepiej prezentują się wiadomości geograficzno-turystyczne. Wszyscy potrafili wymienić główne kurorty nadmorskie. Zadowalająca jest również znajomość czołowych przedstawicieli literatury, gwiazd estrady i ekranu. Ivo Pogorelić był wymieniany obok Josipa Broz-Tito. Wszyscy chętnie już teraz wybraliby się do Jugosławii.

Mimo wszystko trudno ustrzec się uczuć mieszanych. Przecież chodzi tu o kraj tak nam bliski, a jednak tak mało znany!

ALFRED LUTRZYKOWSKI

1

Plaga wilków i cichodajek

Plaga — to inaczej klęska, dopust, nieszczęście. Otóż takie nieszczęście nawiedziło Bieszczady. Pojawiły się tam wilki, które nie tylko atakują jelenie, sarny i owce, ale też podchodzą w pobliże ludzkich siedzib. No i wyją po nocach. Strach pomyśleć, co się tam dzieje. Szacuje się stado bieszczadzkich wilków na 300 i służba leśna Bieszczad uważa, że powinno się je zmniejszyć co najmniej o 70 wilków. Szkopuł jednak w tym, że zimą śniegi były w Bieszczadach ogromne, trudno było się dostać do lasu, a od 1 kwietnia obowiązuje do końca lipca czas ochronny na te drapieżniki.

Wilki w lesie być muszą, ale nie może ich być za dużo. Wybić ich wszystkich nie można. Podobnie było z rysiami. Niewiele brakowało, aby wyginęły, ale stado rysiów bieszczadzkich odbudowało się i dziś jest ich tam około 180, co stanowi największą ostoję rysia w Europie. Rys jest „sanitariuszem lasu", poluje tylko na chore i słabe zwierzęta i tylko tyle zabija, ile mu potrzeba do najedzenia się. Plagi rysiów nie zanotowano.

Można się spodziewać, że ktoś wpadnie na pomysł i będziemy organizować polowania na wilki, albo może i rysie — kto to wie? — za dewizy. Bo my nade wszystko kochamy dewizy, czyli walutę wymienialną. Doskonale rozumiem, że najpierw napożyczaliśmy, a teraz musimy zwracać, ale mimo wszystko, mimo całego racjonalizmu, nie podobają mi się moralne skutki, jakie niesie za sobą to „umiłowanie" waluty.

Otóż „Kurier Polski" doniósł niedawno, że w Warszawie pojawiła się plaga... obiadowych cichodajek. Solidne wydawałoby się uczennice szkół średnich, z dobrych — jak to się mówi — mieszczańskich domów, po lekcjach zamiast iść do domu, biegną do warszawskich hoteli, gdzie kuszą dewizowych gości. Czasu mają mało i biorą tanio. „Only ten dolars" — tylko 10 dolarów, co jest ceną konkurencyjną nawet wobec prostytutek z Trzeciego Świata. Zawodowe prostytutki dewizowe są tą konkurencją postawione w sytuacji niezręcznej i niemal bez wyjścia, gdyż one biorą najmniej 50 dolarów, a teraz klienci rozbestwieni konkurencją obiadowych cichodajek targują się i o te 50 dolarów.

Zawodowe prostytutki nic im zrobić nie mogą, bo porą po lekcjach śpią jeszcze lub się przygotowują do pracy, a małe konkurentki działają bezkarnie. Portierzy też im zabronić tego procederu nie mogą, bo do hotelu wchodzić może każdy. Wchodzą, zachowują się jak trusie, i starszym panom na delegacji w Warszawie proponują swoje szybkie usługi. Panowie są też często zajęci, prowadzą na przykład handlowe rozmowy, mają różne spotkania i tylko krótką przerwę na obiad. Obie strony są zadowolone, bo i panowie mają tanio, co lubią, a dziewczyny na czas zjawiają się na obiedzie w domu.

Wprawdzie niektórzy zagraniczni goście odmawiają, ale zawsze znajdzie się taki, który chętnie skorzysta z młodocianego pogotowia seksualnego. — Panienki te — zwierzył się reporterowi „Kuriera Polskiego" portier jednego z warszawskich hoteli — zaraz po robocie biegną do kiosku „Pewexu" i kupują sobie różne fatałaszki, a jedna to kupiła nawet dużą lalkę, czym mnie wzruszyła.

Panienki — jak twierdzą same — dorabiają w ten sposób do 100 dolarów miesięcznie. Poza tym dobrze się uczą, chodzą na korepetycje, są grzeczne i wieczory spędzają w domu lub z koleżankami, a nawet z sympatiami. Wieczorami nigdy nie chodzą na robotę, nie umawiają się z klientami. Wiedzą, że zawodowe konkurentki ostro policzyłyby się z nimi. Litości w tym zawodzie nikt nie zna.

Są też na tyle sprytne i doświadczone, iż nie boją się „Adidaska". Jedna z nich kupiła w aptece 200 prezerwatyw — bogaty i ambitny ma program — wywołała tym sensację, ale też wpadła w domu, bo mama odkryła ten zapas. Dziecko wyjaśniło mamie, że to... na bal zamiast balonów. Czy rodzice się nie dziwią, że mają drogie ciuchy? Dziwią się, ale są naiwni i wierzą, że to bogate koleżanki z klasy obdarowują inne. Takie altruistki.

Jestem już na tyle dorosły i uświadomiony, że nie wierzę w automatyczne znikanie prostytucji wraz ze zmianą ustroju. Jest to zjawisko ponadustrojowe. Nie przeszkadza mu ani swoboda obyczajowa, ani skrajny purytanizm. Niektórzy po prostu udają, że tego nie ma, choć wiedzą, że jest. Nie słyszałem też, aby prowadzono jakieś badania naukowe nad prostytucją. Nie budzi więc prostytucja mego niepokoju moralnego. Ten niepokój budzi co innego.

Niepokoi mnie bałwochwalstwo dolara, marki niemieckiej i innej waluty wymienialnej. Wiem, że każdy dolar jest nam potrzebny, ale mam obawy, czy cena, jaką za ten dolar płacimy i to wcale nie w złotówkach, nie jest przypadkiem zbyt wysoka? My tu sobie od czasu od czasu dyskutujemy o różnych wartościach, piszemy o moralności i wychowaniu, a w praktyce rodzi się kult dolara, za który można zapłacić każdą cenę. Za 10 dolarów tylko można mieć młodocianą cichodajkę. Taniej niż na całym świecie. Najtaniej. I zupełnie nie ma się czym chwalić niestety. W 1986 roku milicja zatrzymała w Polsce 44 nieletnie prostytutki. A ile nie zatrzymała?

WITOLD BOROWY

2

Urzędowy punkt widzenia

Kupiłem książkę i nie żałuję. W ogóle nie żałuję kupowanych książek. Żałuję tylko, że mogę kupować ich coraz mniej, bo stają się niebotycznie drogie i — mimo to — mało dostępne. Coraz częściej szukam jakiejś pozycji i nie mogę jej znaleźć, choć na czarnej giełdzie już jest. Tak było między innymi z „Wydarzeniami poznańskimi czerwiec 1956" Jana Ptasińskiego, którą wydał warszawski KAW w nakładzie 20 tysięcy egzemplarzy, a która jakoś do Łodzi dotrzeć nie może, mimo że jest obecna na czarnym rynku. Ale nie o tej książce chciałem pisać.

Kupiłem antologię: „Polska myśl demokratyczna w ciągu wieków", wydaną przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą, której pierwsze wydanie ukazało się w 1945 roku w Londynie i Nowym Jorku. Wielce ciekawa to lektura, a i zestaw dokumentów i autorów bogaty i wielce interesujący. W tej to książce znalazłem fragmenty „Przestróg dla Polski" Stanisława Staszica, opublikowanych w 1790 roku. Proszę szybko policzyć: 197 lat temu. I w opublikowanym fragmencie znalazłem takie oto zdanie:

„niech się dzieje z krajem co chce; ja to wiem, iż zawsze w mojej wsi będę wójtem".

Wprawdzie wiele się w Polsce przez te 197 lat zmieniło. Podobnież na świecie. Ale myśl zawarta w tym cytacie — niestety — pozostała jakby nadal aktualna. Wielu różnych ludzi może bowiem dziś spokojnie myśl tę powtórzyć: „niech się na świecie dzieje co chce, oni i tak pozostaną niezbędni, jako urzędnicy różnych szczebli i ludzie z różnych funkcji". Bo urząd jest niezniszczalny.

Nie jestem urzędnikożercą. Przeciwnie. Uważam, że o sprawności życia w państwie, jego funkcjonowaniu, spełnianiu służebnej roli administracji wszelkich szczebli decydująca jest wysoka pozycja urzędnika. Powinien on być dobrze wykształcony do pełnienia swojej roli, dobrze opłacany, dobrze wykorzystywany. Ale powinien ciągle pamiętać, że spełnia tylko i wyłącznie rolę służebną. Jest cząstką aparatu wykonawczego.

Usłyszałem taką oto opowieść. Na sesji Rady Narodowej Miasta Łodzi, na którą zaproszono posłów, jeden z nich zabrał głos i podziękował urzędnikom UML, że umożliwili mu załatwienie kilku spraw. Na to wstała radna i przywróciła porządek rzeczy, wyjaśniając wielce grzecznemu posłowi, że jest to obowiązek każdego urzędnika. Mogę dodać do tej opowieści tylko tyle, że to urzędnicy powinni podziękować posłowi, że zechciał skorzystać z ich wiedzy, umiejętności i łatwego dostępu do różnych materiałów. Ale dość żartów, choć opowieść ta jest absolutnie prawdziwa. Znam nazwisko posła, ale nie powiem.

Kończmy natomiast żarty o tym, że urzędnicy będą za cokolwiek dziękowali. Urząd — jaki by on nie był — ma niezmiennie rację. Często odnoszę wrażenie, że to ciała wybieralne, mające faktyczną władzę terytorialną i nie tylko, czują się niekiedy jak nieśmiałe, skromne gremia, które najwyżej mogą tylko służyć opinią, a ciała wykonawcze korzystają z okazji i władzę tę im spokojnie odbierają. Badania wykazały, że samorządy terenowe korzystają zaledwie w 10 proc., ze swych statutowych uprawnień. Nie potrafią inaczej, nie mają odwagi, nie czują potrzeby. A to utwierdza urząd, że ma wyłączną rację. I daje mu podstawy, aby całą resztę traktować z góry, w sposób autorytatywny.

Poczta na przykład ogłasza, że za zaginięcie przesyłki poleconej płaci 500 złotych, co jest bezczelnością, że taką możliwość w ogóle zakłada. Dewizą poczty powinno być to, że cokolwiek dostanie się w jej ręce, to niechybnie i w całości dotrze do odbiorcy. A gdyby — co jest wręcz wykluczone — coś zginęło, no to oni gotowi są zapłacić dużo, bo sobie nie wyobrażają takiej sytuacji. Jest nieprawdopodobna. Znów zachciało mi się żartów.

Krzysztof Krupski w „Dzienniku Łódzkim" poinformował, że handel w Łodzi rozpatrując skargi na ogół sobie przyznaje rację. Co prawda niegdyś w teorii głoszono, że „Klient zawsze ma rację", ale wiadomo, że co innego się głosi, a co innego robi. W Łodzi spróbowano inaczej załatwiać niepełnosprawnych klientów i to się podobało, przyjęło i było dobre, ale urzędnicy w Warszawie poczuli się urażeni. Jak to, w Łodzi chcą inaczej niż w całej Polsce, inaczej niż oni raczyli wymyślić? Skandal! Niedopuszczalne! I zagrozili zawieszeniem tych burzycielskich eksperymentów. Bo urzędnicy warszawscy lepiej wiedzą niż łódzcy.

W hasłach nawołuje się u nas do udziału w życiu politycznym, społecznym. Przekonuje się, że my, zwykli ludzie możemy wpływać na kształt tego życia. Ale, gdy tylko dojdzie do czegoś takiego, to okazuje się, że nasze zdanie się nie liczy. Urzędnicy już postanowili i oni wiedzą lepiej, jak ma być i jak być powinno. Społeczny i polityczny koszt takiego poglądu może być ogromny.

Tyle myśli mi przyszło po lekturze fragmentu „Przestróg dla Polski" Stanisława Staszica.

LUCJAN BOGUSZ

3

Sport

Zbigniew Boniek nie przyjechał...

Nasza drużyna wygrała w Rybniku 3:1 z Finami i choć niektórzy jeszcze wybrzydzają, mecz mógł się podobać. Potrzeba nam trochę optymizmu i ten wynik można przyrównać do przysłowiowego już „światełka w tunelu". Coś się zmienia. A mnie najbardziej się podobało, że niektórzy piłkarze uśmiechali się. Również Wojciech Łazarek uśmiechał się. Jakby o tremie zapomnieli i o obciążeniach psychicznych, o czym kiedyś tyle było mowy. Może, ten uśmiech jest nawet ważniejszy od wyniku.

I dobrze stało się również, że Zbigniew Boniek do Rybnika nie przyjechał, bo okazało się, że rośnie nam młoda kadra, która umie strzelać. I tak być powinno. Ale mimo to, że Zbigniew Boniek do Polski nie przyjechał, wywołał sensację.

Jeden z kibiców: M. K. — imię, nazwisko i adres tylko do mojej wiadomości — napisał do mnie list pełen oburzenia. Jest on oburzony na „Przegląd Sportowy" i na Zbigniewa Bońka za incydent w meczu AS Roma z Torino. Otóż w czasie tego meczu — strzelec zwycięskiej bramki — Agostini, Zbigniew Boniek i inni piłkarze AS Roma — jak każe zwyczaj, a zabraniają przepisy — manifestowali swoją radość przed trybunami. A gdzie mieli demonstrować? Na boisko ostatni wracali właśnie Agostini i Boniek. Im właśnie sędzia pokazał kartki. Były to kartki żółte. Ale dla Zbigniewa Bońka nie było już różnicy, bo miał trzy żółte na koncie i czwarta żółta równała się czerwonej. Podszedł więc do sędziego i powiedział mu, żeby pocałował go w d... Dostał więc zasłużoną czerwoną i musiał zejść z boiska.

M. K. jest nie tyle oburzony opublikowaną rozmową ze Zbigniewem Bońkiem, w której przyznaje on, że postąpił fatalnie każąc się sędziemu pocałować w d..., że żałuje tego, ale trudno, stało się. M. K jest oburzony brakiem komentarza redakcji „Przeglądu Sportowego". Pisze: „ja, jak i moi najbliżsi, sądzimy, że przydałby się ze strony „Przeglądu Sportowego" tytuł do tego artykułu: „zarozumiałość — buta — czy chamstwo". M. K. uważa dalej, że takie postępowanie jest godne potępienia „w imię walki o kulturę w sporcie". Jest bezsprzecznie prawdą, że „PS" mógł sobie darować cytat z wypowiedzi Zbigniewa Bońka w tytule.

Sądzę, że stanowisko „Przeglądu Sportowego" jest jednak tylko odbiciem sprawy nieco szerszej. Naszego stosunku w ogóle do tego — co tu ukrywać — zasłużonego i utalentowanego piłkarza. Mecz z Finami był towarzyski. Wynik wszakże odnotowały agencje prasowe i będzie zapisany w kronice polskiej i fińskiej piłki nożnej. Mecz ten był obserwowany przez naszych przeciwników w grupie eliminacyjnej. Wszystko to nadawało mu odpowiednią rangę. Niegdyś protestowałam na tych łamach przeciw lekceważeniu meczów towarzyskich. I zdania nie zmieniłam. Ale też nie sądzę, że koniecznie musi dojść do klęski, gdy Zbigniew Boniek nie zagra w kadrze. I okazało się, że klęski nie było.

Zbigniew Boniek stał się w pewnej mierze symbolem, a jego legenda osiągnęła już rozmiary mitu. To trochę tak, jak czary. Z Bońkiem nic nam złego się nie stanie. Bez Bońka może być tragedia. Kibic lubi czarować. Sportowcy i trenerzy też. Publiczną tajemnicą jest, że Kazimierz Górski przed ważnymi meczami nie golił się. Zbigniew Boniek miał poważne powody, aby nie przyjechać: mecz AS Roma z Argentyną, wizyta u Jana Pawła II, pertraktacje z komisją dyscyplinarną w sprawie zmniejszenia kary. I dobrze, że nie przyjechał. Ale kibice zaniepokoili się. A „PS" stanął na stanowisku, że Zbigniewowi Bońkowi wszystko wolno.

Uważam, że obecnie Zbigniew Boniek wyrządza na boisku więcej szkody niż przynosi pożytku. Gdy wybiega wraz z drużyną reprezentacyjną, paraliżuje kolegów, wszyscy oczekują od niego cudów i nie potrafią z nim grać. Bez niego wiedzą, że mogą liczyć tylko na siebie i to im wychodzi na dobre. Tak zatem trzymać!

Zresztą Zbigniew Boniek sam uważa, że czas już wycofać się z honorem z reprezentacji i ma właśnie po temu znakomitą okazję. Tworzy się nowa drużyna, z którą można wiązać nadzieje. Niech więc rosną młodzi i wzorują się na Bońku, ale bez Bońka. Należą mu się serdeczne podziękowania, wielki mecz pożegnalny z reprezentacją. Do głosu niech dochodzą coraz śmielej młodzi. Przed nimi wielka szansa, aby tylko umieli z niej skorzystać!

BOGDA MADEJ

Sodoma

„Z Witkacym łączy Jacka Krakowskiego skłonność do filozofowania na własny rachunek i chyba równie mało nabożny stosunek do akademickich i w ogóle oficjalnych filozofii. (...) Witkiewicza stać na gwałt, karykaturę i sadyzm w stosunku do intelektualnego języka (...) W SODOMIE parodiuje się filozoficzną oficjalność, nie naruszając w niczym założeń językowej intelektualności powszechnego użytku, konfrontując ją zewnętrznie bądź z niskim językiem wulgarnym, bądź z wysokim językiem natchnionym".

JACEK KRAKOWSKI

(6)

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Nie dziwcie się im, rzekł Lancelot. W wieku przejściowym, w którym od dłuższego czasu przebywają Atanazja i Aurora, tego rodzaju ekscesy nie należą do rzadkości. W zasadzie nie utrzymuję z żadną z nich stosunków cielesnych, wysłuchując jedynie ich nie kończących się zwierzeń, żalów, rozpamiętywań, sprawozdań z urojonych dolegliwości, historii przypuszczalnych nerwic i epopei udręk dnia codziennego.

Znamy Aurorę Borealis bardzo dobrze, usłyszeliśmy piskliwy głos Xeni. Przez pewien czas uczestniczyłyśmy w wycieczkach przyrodoznawczych, które właśnie ona prowadziła. Wyruszałyśmy zwykle w niedzielę o świcie i pieszo, tylko z plecakiem na ramionach, szłyśmy kilometrami przez lasy i łąki, przed siebie, het, gdzie oczy poniosą, po zdrowie, tężyznę i urodę. Nieraz spotykałyśmy na swej drodze pasące się bydlęta lub kwiaty zapylane przez owady, co wzmagało w nas tylko ciekawość świata. Patrzcie i zapamiętajcie sobie moje kochane adeptki, jak przyroda daje dupy, a wy co? Tak mówiła do nas Aurora, kiedyśmy brnęły przez knieje i moczary. Szła szybko i raźnie, podśpiewując sobie pod nosem, nierzadko przypięczętowując wesołym pierdnięciem szczególnie udany skok przez strumień. Była dla nas wtedy nieosiągalnym ideałem, toteż za wszelką cenę starałyśmy się ją naśladować. Niestety, nie zawsze nam się to udawało. Pewnego razu, gdy przechodziłyśmy na ukos przez łąkę, pogonił za nią rosły byk i choć próbowałyśmy odwrócić jego uwagę, on jednak wybrał ją, a nas dorwał krzepki pastuch, który kąpał się w pobliskim stawie. Aurora Borealis nigdy nam tego nie wybaczyła, iż po niedługim czasie pastuch, trzymając się za przyrodzenie, uciekł od nas ze strasznym krzykiem. Jesteście skończonymi egoistkami, wrzeszczała na nas Aurora, przyroda ma swoje prawa! To nie był byk, lecz krowa-safistka! Dlaczego właśnie ja muszę się tak poświęcać!

Uczyła nas także podglądać przyrodę, wtrąciła się Felixa, co zwykle sprowadzało się do filmowania ukrytą kamerą kochanków kopulujących w krzakach. Po wielu seansach podglądanie nie stanowiło już dla nas żadnej atrakcji, a jednak pewien letni wieczór przyniósł wydarzenie, które na długo utkwiło w mojej pamięci. Aurora wymyśliła nocną wycieczkę po dzikim, podmiejskim parku w celu zwabienia ewentualnych zboczeńców... Jakoż po niedługim czasie z gęstych zarośli wyłonili się dwaj mężczyźni. Jeden z nich oświadczył, że jest gwałcicielem, a drugi, że ekshibicjonistą...

Przestańcie mi zawracać głowę tymi idiotyzmami, huknęła na nie Atanazja, i idźcie wreszcie stąd do ciężkiej cholery! Toleruję tylko tak długo wasze gadanie, bo jesteście moimi córkami, ale Bóg mi świadkiem, nie zniosę tego dłużej. Od dawna chce mi się siku i zaraz popuszczę w majtki! Idźcie zatem i niech was więcej moje oczy nie widzą. Mogę teraz powiedzieć wyraźnie, że nie cierpiałam was od urodzenia: sprawiłyście mi straszny ból, zdeformowałyście moją cudowną figurę, zniszczyłam swoje piękne dłonie, nieustannie piorąc wasze posrane pieluchy. A wy w zamian za to odwdzięczyłyście mi się całonocnymi wrzaskami, chorobami i grymasami. Dlatego lałam was pasem gdzie popadnie, co przynosiło mi pewną ulgę fizyczną, ale nie umysłową. Uczyniłyście ze mnie matronę, którą na ulicy ludzie pokazują sobie palcami, śmiejąc się z moich rozbuchanych bioder i obwisłych cycków. Straciłam dla was wszystkie swe młode lata. Hej, moje latka młode gdzieżcie się podziały... Ten żal, ten płacz rozrywający moje serce jest niczym w porównaniu ze wstrętem jaki żywię do was i do mężczyzn. Od chwili waszego poczęcia nie oddałam się Lancelotowi ani razu. Na wszelki wypadek zawsze trzymam w szufladzie nocnego stolika duże, krawieckie nożyczki, gdyby mu przyszła ochota na coś niestosownego. Wiedząc dobrze o tym, mój mąż udaje się do pani Borealis, która szczerze współczując moim cierpieniom, nieustannie wabi go do siebie, nie dopuszczając jednakże nigdy do spełnienia. Dlatego też Lancelot spedalizował się doszczętnie, co najlepiej świadczy o słabości jego charakteru. Idźcie już zatem i dajcie mi święty spokój! Prawdopodobnie przez dłuższy czas nie będę mogła znaleźć sobie miejsca w tym domu, chodząc z kąta w kąt, paląc papierosa za papierosem i skrycie popijając wódkę, zaprawioną kroplami na serce. Oczywiście, Lancelot będzie się starał być dla mnie nadzwyczaj wyrozumiały, ja jednak wkrótce poczuję się fatalnie i będę leżeć całe dnie w brudnej pościeli, odpowiadając głupkowatym śmiechem na jego pytania. I kiedy jego czułość i troskliwość sięgną zenitu, zacznę umierać: początkowo raz dziennie, później przed każdym posiłkiem, potem będę go zrywać o trzeciej w nocy atakami histerycznego płaczu, połączonego z żalem za utraconym życiem, aż wreszcie pewnego pięknego dnia umrę naprawdę. Sztywna i cicha będę leżała w łóżku, wyglądając jak królowa, albowiem tajemnym zrządzeniem losu moja twarz odmłodnieje o dobre trzydzieści lat. I to będzie właśnie moja zemsta! Aaa!!!

Dziewczyny wybiegły z wrzaskiem z kuchni i roztrąciwszy nas, wypadły z domu. Chcieliśmy udać się do naszego pokoju, gdy w drzwiach stanęła Atanazja i ująwszy się pod boki, rzekła:

No, czemu się tak gapicie?! Podsłuchiwaliście zapewne. Jazda mi do kuchni! Już ja z wami sobie porozmawiam.

Nie sprzeciwiajcie się jej, szepnął Lancelot. Tylko w ten sposób możecie się dowiedzieć, co naprawdę dzieje się w naszym mieście.

Weszliśmy więc we troje do kuchni, a Atanazja natychmiast przekręciła w zamku klucz i włożyła go sobie za stanik.

Póki nie umrę naprawdę, rzekła z naciskiem, nikt nie opuści tego pomieszczenia. Nie będę przecież zganiała ludzi z ulicy, żeby wysłuchali mojej mowy przedśmiertnej.

Kochanie, powiedział Lancelot, całując ją w rękę, na pewno nas wszystkich przeżyjesz. Naprawdę nie ma powodu...

Nie kłóć się ze mną, wrzasnęła Atanazja. Wiem, co mówię! Dłużej tego nie zniosę, a moje zszarpane nerwy nie wytrzymają tego napięcia. To ostatnia okazja, rzekła, zwracając się do nas, abyście powiedzieli wreszcie wyraźnie, o co wam chodzi. W tych kieckach i perukach wyglądacie szkaradnie. Lancelocie, zrób mi herbatę z rumem. Chcę jeszcze raz przed śmiercią użyć trochę tego życia.

Lancelot pośpieszył do kredensu, a my zostaliśmy zmuszeni przez Atanazję do zajęcia miejsc przy stole.

No, jazda, krzyknęła do nas, czego tutaj chcecie! Okraść nas, uwieść nasze córki? Na szczęście pod byle pretekstem wyprawiłam je z domu. A może chcieliście m n i e znieważyć lub szantażować mego ukochanego męża? Co!? Kto was tutaj nasłał? Gadajcie mi tu zaraz!

Hieronim prosił nas, odezwał się nieśmiało Laurenty.

Cha, cha, cha, zaśmiała się Atanazja, znam ja dobrze tego starego pryka. Dawno już pomieszało mu się we łbie. Musiałam zdzielić go kilka razy pałką od kartofli po ciemieniu, bo zachowywał się wprost skandalicznie i od tego czasu zupełnie postradał rozum. Domagał się co dzień, zniżyła głos do szeptu, perwersyjnych masaży, twierdząc, że to mu poprawia krążenie. Stara świnia! Ale mówcie, mówcie... Proszę bardzo, ciekawa jestem jakie jeszcze kłamstwa macie w zanadrzu.

Hieronim prosił nas, rzekł cicho Sylwester, abyśmy przyszli tu do was...

Ha, wrzasnęła Atanazja, to przekracza ludzkie pojęcie. Co za bezczelny staruch. A ty cicho siedź, skarciła Lancelota, który próbował zaprzeczyć. Wiem dobrze, co wyprawiałeś ze swoim tatusiem pod moją nieobecność. Tyrałam jak głupia, piorąc po domach cudze brudy, a on tutaj z tobą.... Tfu! Szkoda gadać, machnęła ręką. No, kiedy będzie wreszcie ta herbata. Mówcie, mówcie, to mnie poniekąd trochę rozwesela.

Hieronim wysłał nas z poleceniem, powiedział Laurenty, abyśmy ostrzegli was...

To stary kretyn, buchnęła rechoczącym śmiechem Atanazja, bijąc się z uciechy rękami po udach. On myśli, że n a s można przed czymś ostrzec! To was powinno się ostrzec, żebyście się z nim nie zadawali. Na pewno sprawił wam tyle rozkoszy, podkreśliła to słowo, przeciągając zgłoski i wypinając biust, że wierzycie teraz we wszystko, co wyślini ze swojej bezzębnej gęby. Tak, cóż, tego należało się spodziewać. Lancelocie, co z tą herbatą?

Już kochanie, już ci podają. Chciałbym tylko zauważyć, jeśli pozwolisz, że wyganiając go z naszego domu własnoręcznie pozbawiłaś go sztucznej szczęki, twierdząc, że zęby zrobione były z twojej złotej bransoletki.

Bo tak właśnie było, a jeśli wierzysz nie mnie, lecz tej zapijaczonej mordzie, to wynoś mi się stąd natychmiast, a ja ogłoszę wszem i wobec, że jesteś szpiclem i nie chcesz burzyć Sodomy.

Atanazjo! Wiesz dobrze, że to nieprawda!

Wiem, że to prawda, ale na razie nie potrafię jeszcze tego udowodnić. W każdym razie moja kobieca intuicja jest nieomylna i nie ma o czym gadać. Dawaj herbatę i nie zawracaj głowy, a wy mówcie, co macie do powiedzenia.

Mieliśmy was ostrzec przed zagładą, rzekł Sylwester, i wyprowadzić z miasta.

Tak?... To ciekawe, co ten stary pierdoła jeszcze wymyśli, aby wyrzucić nas z tego domu. Tylko czyha na to, żebyśmy go opuścili, by mógł wprowadzić się tutaj wraz ze swoimi kochankami. Nigdy i po moim trupie! Nie mam zamiaru opuszczać tego domu tylko dlatego, że jakiś idiota ma sklerotyczne przywidzenia. Zagłada, zniszczenie, proszę bardzo, ale tymi oto własnymi rękami. A to sprytne dziadzisko. Przejrzał widocznie sytuację i próbuje ją wykorzystać. Na pewno ma na mieście swoich donosicieli. W porządku, powiedzcie mi w takim razie, dlaczego to miasto ma być zniszczone o d z e w n ą t r z.

Grzech i nieprawość, powiedział z zażenowaniem Laurenty, czerwieniejąc na twarzy, grzech i nieprawość szerzą się wśród ludzi.

A to dobre, zawołała Atanazja. Lancelocie, dawaj herbatę, bo cię chyba zatłukę. Ten stary rozpustnik uważa, że wolność i sprawiedliwość, które nareszcie zapanowały w tym mieście po jego wyjeździe, są rodzajem kary boskiej nękającej Sodomę. I wy mu uwierzyliście, o, naiwni! W czasie jego rządów lud tarzał się w nędzy, a warstwy rządzące pławiły się w luksusach. Nękactwo, szpiclostwo i cichodajstwo było tak rozpowszechnione, że prości ludzie bali się nosa wychylić za próg. Dnie i noce spędzali w łóżkach, udając chorobę, a niebotycznie przekupywani lekarze wystawiali im lewe zaświadczenia o niezdolności do uczestnictwa w życiu publicznym. To były straszne czasy. Hieronim kazał zbudować w centrum miasta ogromną świątynię, w której czczono by boskość jego osoby. Oczywiście, wszyscy musieli zostać wyznawcami tego kultu. W przeciwnym razie...

Oto twoja herbata, kochanie. Pół na pół z rumem, jak zwykle. A swoją drogą chciałbym zaznaczyć, że świątynia istniała już przed objęciem rządów przez Hieronima, a poświęcona była Wielkiej Macicy, której młodzieńcy w okresie dojrzewania zmuszeni byli świadczyć swe usługi. Polegało to na tym...

Nie przerywaj mi, wrzasnęła Atanazja, waląc pięścią w stół. Ta herbata jest ohydna, lecz mimo to wypiję ją, bo w gardle mi zasycha od tego nieustannego mówienia. Poza tym to oni, wskazała na nas palcem, mieli mówić, a nie ja. Jak zwykle mężczyźni chcą wykorzystać berbronną kobietę do swoich świńskich celów. O nie, zapamiętajcie sobie, że ze mną nie pójdzie wam tak łatwo. Teraz będę pić herbatę, a wy mówcie. Najlepiej prawdę, bo będę musiała wam ciągle przerywać, demaskując wasze kłamstwa.

Hieronim polecił nam, rzekł cicho Laurenty, abyśmy uratowali rodzinę Lancelota przed zagładą, która nastąpi o świcie.

Pierwsze kłamstwo, parsknęła herbatą Atanazja, łapiąc przez chwilę oddech. Coś ty mi za świństwo dał do picia?! Jedynie samozniszczenie Sodomy może nas uratować, oczywiście, przed ludźmi Hieronima. Liczy on na to, że damy namówić się na ucieczkę z miasta, aby wejść do niego i ponownie przywrócić terror. Jesteście zapewne płatnymi mordercami, a nie chcecie tutaj dopuścić się tego czynu, obawiając się zemsty ludu. Czyż nie mam racji?

Atanazjo, wybacz, znam ich dobrze i nawet jeżeli kłamią, to czynią to z nieświadomości. Intencje Hieronima zawsze były zbyt niejasne, aby przywiązywać do nich jakąkolwiek wagę. Pamiętasz zapewne ten dzień, w którym nakazał rozdać wszystkim cukierki. Było to zaraz po wielkim samobiczowaniu się przed świątynią.

Już ty go nie broń, rozwścieczyła się Atanazja. Dostałam same landrynki, od których rozbolały mnie wszystkie zęby. Czekoladki przypadły wyłącznie jego zausznikom. Pocieszającym jedynie może się wydać fakt, że część pomadek była spleśniała. Mimo to pożarli je z apetytem, a na drugi dzień jedna połowa ludności miasta wiła się w boleściach, a druga ustawiła się w gigantyczne kolejki przed gabinetami dentystycznymi. Wtedy właśnie Hieronimowi udało się przeforsować pogląd, jakoby rzeczywistość tego miasta była nadawana.

Przesadzasz, przesadzasz moja droga. Mój ojciec zaproponował jedynie osobisty brak odpowiedzialności za to, co się dzieje w mieście. Nie myślisz chyba, że te tłumy pątników przybyły z całego kraju na jego rozkaz. Nieustanne parady kawalerii, corsa kwiatowe i objazdowe pandemonium także nie wiadomo skąd się wzięło. Nie przypuszczasz chyba także, że aniołowie-gwałciciele byli jego wymysłem?

Już ja dobrze wiem, co przypuszczam, a co nie. Przede wszystkim uważam, że tych dwóch chłoptasiów, których na nas nasłał, to płatni mordercy, którzy....

Ależ proszę pani, żachnął się Laurenty. Przybyliśmy po to, aby was uratować.

W przeciwnym razie wszyscy zginiecie, dodał Sylwester.

W takim razie, zawołała Atanazja, możecie już uważać mnie za umarłą.

Wdrapała się na stół, zepchnęła talerze i położyła się na białym obrusie, podkładając sobie wałek pod głowę i kładąc ręce wzdłuż ciała.

Kochanie, rzekł Lancelot, *możesz zakrztusić* się śliną. A poza tym nie powinnaś kłaść się zaraz po kolacji. Pamiętaj o swojej tuszy.

Umieram teraz, rzekła, cedząc słowa Atanazja, i gówno mnie to wszystko obchodzi. Anieli niebiescy bierzcie mnie w swoje ramiona! A wy nie stójcie jak te słupy, tylko ruszajcie się. Trzeba mnie przebrać, obstawić bukszpanami i świecami, zamknąć mi oczy i złożyć ręce. Lancelocie, masz mi założyć na palce wszystkie złote pierścionki. Na pewno przyjdą sąsiadki, żeby mnie oglądać i jak ja będę wyglądać?! Nic mnie nie obchodzą żadne zaglądy i ratunki. Dosyć tego dobrego. Na szczęście, my kobiety zachowałyśmy jeszcze zdrowy rozsądek, który każe nam w ostatecznych sytuacjach zachować trzeźwość spojrzenia na tę waszą męską politykę. Ciekawa jestem, co teraz zrobicie. Widzę, że was zatkało, co? Póki nie zorientujecie się w sytuacji, udzielę wam kilku cennych rad, które niewątpliwie ułatwią wam dalsze postępowanie. Słuchajcie zatem uważnie i nie róbcie takich głupich min. Lancelocie, podłóż mi poduszkę pod głowę, bo wałek uwiera mnie w potylicę.

A więc, moi drodzy, przystępując do rzeczy. Śmierć jak zwykle jest sprawą nad wyraz poważną, tym bardziej jeżeli jej ceremoniał musi odbywać się w t a k i e j sytuacji. A sytuacja jest przerażająca. Nie chcę was martwić, ale to, czego dowiedziałam się ostatnio, sprawiło, że postanowiłam czym prędzej umrzeć, albowiem nie chcę brać udziału w tym, co się dzieje i co się jeszcze może wydarzyć. Nie będę się nad tym długo rozwodzić, bo chciałabym wreszcie spokojnie skonać, ale muszę was ostrzec z dobroci serca: gdy będziecie postępować za karawanem, wiozącym trumnę z moimi zwłokami, miejcie oczy i uszy otwarte, ale nie rozglądajcie się na boki, a już, broń Boże nie odwracajcie się za siebie. Może was spotkać przykra niespodzianka. Przypuszczam, że Hieronimowi byłoby to na rękę. W każdym razie pamiętajcie, że was ostrzegałam.

Ponadto zastrzegam sobie, aby w pierwszej parze szedł mój mąż pod rękę z Aurorą Borealis. To moja najlepsza przyjaciółka i nie mam przed nią żadnych tajemnic. Podejdźcie bliżej. Teraz mogę wam już zdradzić, że ma ona trzy zęby sztuczne oraz platfusa lewej stopy, o czym, przypuszczam, nie wie nawet Lancelot. Ale to nie ma nic do rzeczy. Poza tym tańczy okropnie. Kilka lat temu byłyśmy na balu Towarzystwa Popierania Rzeczywistości. Był tam także Hieronim przebrany — rzecz jasna — za dewotkę. A muszę wam powiedzieć, że w tym czasie był z niego sławny jebajdusza. Poprosił Aurorę do obracanego, a ona, niestety, zaczęła utykać...

C.D.N.